

MEDIA

Piotr Semka o karierze Tomasza Lisa.
Dlaczego odszedł z „Newsweeka”?

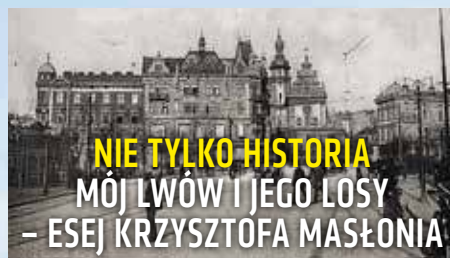


Ziemkiewicz odsłania plany
globalistów z Davos

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 22/478 30 MAJA–5 CZERWCA 2022 CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



NIE TYLKO HISTORIA
MÓJ LWÓW I JEGO LOSY
– ESEJ KRZYSZTOFA MASŁONIA

Książka Łysiaka demaskuje mit
Słowackiego homoseksualisty

POLITYKA GOŚCINNOŚCI

Jak ukraińscy uchodźcy zmieniają Polskę



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 54 000 egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Wywiad z lotnikiem,
który zbombardował
Hiroszimę!

- Jacek Bartosiak – Atomowe groźby Putina
David Holloway – Wielka bomba Stalina
Grzegorz Janiszewski – Świat na krawędzi apokalipsy
Wiktor Suworow – Zabójczy urok „Tatiany”
Tymoteusz Pawłowski – Jak działa bomba atomowa
Mikołaj Iwanow – Wielka czystka w Mińsku
Tomasz Stańczyk – Nadbałtyckie Zakopane
Rafał A. Ziemkiewicz – Polemika z Mearsheimerem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

Co tam wojna, gdy ginie Ziemia



PAWEŁ LISICKI

Jak wygląda polityczna poprawność w praktyce? O czym wolno mówić, a co stanowi prawdę nie do podważenia? Nie ma tu oczywiście całkowitej jasności, bo w miarę upływu czasu kryteria tego, co dozwolone i co zabronione, się zmieniają, ale od kilkunastu lat jednym z takich nienaruszalnych dogmatów stała się na Zachodzie kwestia rzekomo spowodowanego przez człowieka ocieplenia klimatycznego. Dziś podważanie tej opinii jest jeszcze bardziej zakazane, jeśli tak można powiedzieć, niż kiedykolwiek wcześniej.

Przypomnę, że rzecz zaszła tak daleko, że w 2019 r. papież Franciszek ogłosił, że w Katechizmie Kościoła pojawi się nowe pojęcie „grzechu ekologicznego”. Nowymi grzesznikami staną się ci, którzy zanieczyszczają środowisko (sami lub zbiorowo) i zrywają solidarność między stworzeniami. Potworek ten jeszcze w tekście katechizmu się nie pojawił, ale prace są ponoć zawansowane. Papież, o czym być może w Polsce niewielu wie, jest też zwolennikiem zmian w międzynarodowym prawie karnym, tak żeby można było ścigać „ekobójstwo”, czyli działalność nieprzychylną naturze. Tym osobliwym wielce pomysłem, doskonale pasującym do mentalności radykalnych ekologów, towarzyszyła nie mniej oszałała, kasandryczna przepowiednia: „Jeśli się nie opamiętamy, to zgotujemy sobie piekło na Ziemi”.

Tak było jeszcze w 2019 r. I, jakkolwiek by to osobliwe brzmiało, nawet wojna na Ukrainie niczego pod tym względem nie zmieniła. Zielone szaleństwo jak kwitło, tak kwitnie. Właśnie teraz, raptem kilkanaście dni temu, przekonał się o tym jeden z szefów HSBC, który to publicznie ośmielił się głosić zielone herezje. Jak

napisała nieoceniona pod tym względem i zawsze wierna postępowi „Gazeta Wyborcza”: „Dyrektora banku HSBC zawieszono, bo deprecjonował wpływ zmian klimatu”. No po prostu piękne, nieprawdą?

Do myślozbrodni doszło podczas konferencji organizowanej przez dziennik „Financial Times”. Dyrektor wystąpił tam z referatem „Dlaczego inwestorzy nie muszą się martwić o ryzyko klimatyczne”. Za swoje słowa podczas tej prezentacji Stuart Kirk, szef działu odpowiedzialnego inwestowania w banku HSBC, został natychmiast zawieszony. „GW” i pierwotnie opisujący to zdarzenie „Financial Times” najwyraźniej karę pochwala!

A oto myślozbrodnia w szczegółach: dyrektor oskarżył bankierów centralnych o przeszacowanie ryzyka finansowego związanego ze zmianami klimatycznymi. I dodawał: „Nieuzasadnione, przenikliwe, stronnicze, wyrachowane, apokaliptyczne ostrzeżenia są ZAWSZE błędne”. Ba, Kirk napisał te słowa na slajdzie towarzyszącym jego prezentacji. W ten sposób skrytykował komentarze urzędników ONZ i Banku Anglii, którzy regularnie i coraz bardziej histerycznie alarmują, że w związku z globalnym ociepleniem ginie Ziemia – oburzają się dziennikarze.

Na zawieszeniu dyrektora się nie skończyło. Jak w typowym procesie inkwizycyjnym, należało ustalić współsprawców myślozbrodni. Tym zajął się dziennik światowej finansjery, „FT”, usłużnie donosząc, że „temat i treść przemówienia miały zostać uzgodnione w zespole. Materiał miał być uzgodniony dwa miesiące wcześniej i w przededniu wydarzenia opublikowany na stronie internetowej”. No po prostu w głowie się nie mieści. Iluż to

klimatycznych heretyków musiało mieszać w tej podłej operacji swoje brudne i zanieczyszczone dwutlenkiem węgla paluchy? Jeszcze niejedna głowa zostanie odcięta. Ale i na tym nie koniec. Jak się okazuje, co znowu wytrpił dzielny „FT”: „HSBC wprowadził klientów w błąd w dwóch reklamach, selektywnie promując swoje zielone inicjatywy, pomijając informacje o finansowaniu firm o znacznej emisji gazów cieplarnianych”. Brr, ciekawe, co jeszcze wykryje dziennikarskie śledztwo. Ile to jeszcze ekologicznych trupów znajdą w szafach różnych korporacji?

Nie zamierzam już dalej tego pokazywać. To, co napisałem, wystarczy, żeby pokazać schemat. Najpierw grupa szaleńców, przy wsparciu mediów, ogłasza, że świat znajduje się na skraju przepaści. Jeśli nic nie zrobimy – mówią – to za 20 lat Ziemia zniknie. Cała nadzieja w młodych, którzy to zmienią. Wszyscy razem za zielonym ładem! – brzmi hasło. Lada moment wskutek zmian klimatycznych wywołanych przez człowieka – to kluczowy punkt dogmatu – Ziemię ogarnie piekło. Szatan zstępuje obecnie pod postacią CO₂, a imię jego węgiel. Kto to podważa, ten staje się heretykiem, narzędziem i sługusem niecznych mocy. Każdy, kto nie widzi związku między działaniem człowieka a nadchodzącą, dziejową apokalipsą, jest podejrzany i trafia na listę wrogów ludzkości. Na szczęście młode pokolenie to dostrzega i dobrzy dziennikarze pomagają wskazać czarne, nomen omen, owce.

Wielkie polowanie na ekologicznych negacionistów i heretyków trwa. Nawet prawdziwa wojna na Ukrainie nie jest go w stanie powstrzymać. Czym ona jest wobec groźby końca Kosmosu? ©©

TEMAT TYGODNIA

16 JAKUB WOZINSKI
OD PRZYBYTKU GŁOWA BOLI
Jak poradzić sobie z uchodźcami

20 WOJCIECH GOŁONKA
GRANICE GOŚCINNOŚCI



KULTURA

40 KRZYSZTOF MASŁOŃ
MÓJ LWÓW
Miasto utracone

44 SŁAWOMIR GRALKA
PAN JULIUSZ

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ŁUKASZ WARZECHA
KUNKTATORSTWO BERLINA
Niemcy wobec Ukrainy

55 MIKOŁAJ IWANOW
WIZJA DRUGIEJ ROSJI

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
**LITERATURA
W SŁUŻBIE IMPERIUM**

HISTORIA

60 MIROSŁAW SZUMIŁO
UKRAIŃCY W OBRONIE POLSKI
Wspólny bój z bolszewikami

ŚWIAT

64 TERESA STYLIŃSKA
PLATYNOWY JUBILEUSZ
Siedem dekad na tronie

66 JAN BOGATKO
**KSIADZ OKO
SKAZANY NIE SKAZANY**

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
**„ANTYINFLACYJNE”
NAPĘDZANIE INFLACJI**
Jak rząd zarabia na drożyznie?

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
NIE MÓW TEGO SŁOWA
Problem otyłości, problem poprawności

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
SŁALOMEM PO SPALONEJ ZIEMI
Tomasz Lis – z „Newsweeka” do polityki?

28 ROZMOWA Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM
PUNKT ZWROTNY

30 PIOTR GOCIEK
JESIEŃ PATRIARCHY

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
U GLOBALISTÓW NIC NOWEGO

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
DOROBKIEWICZE W KITLACH

36 TOMASZ ROWIŃSKI
WOJNA WĘGŁOWA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TYSIĄCE ZA LECHA

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (10), ZYCHOWICZ, KOPER (63), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowski**,
Wojciech Ciejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić** (*Brusela*),
Tomasz Cukiernik, **Krzysztof Czabański**, **Wojciech Golonka**,
Ryszard Gromadziński, **Piotr Gursztyn**, **Marek Jurek**, **Jerzy Karwelis**,
Jacek Komuda, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*), **Grzegorz**
Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Jan Pospieszalski**, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Agnieszka Rybak**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Błażej Torąński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Małgorzata Woźniak**, **Jakub Wozniński**, **Tomasz Wróblewski**,
Tomasz Zbigniew Zapet

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Zofia Magdziak, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz**
Grzymowicz, **Dawid Sienkowski**, **Paweł Zdziarski**, **Łukasz Żygadlo**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik), **Marta Michałowska**,
Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobilka zdjęć)

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agata Błaszczak-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **Beata Zawrzel/NurPhoto/Getty Images**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład 54 000 egzemplarzy

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia w trybie operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Zakaz importu z Rosji. I co dalej?

Jako wierny Państwa czytelnik pozwalam sobie na napisanie tej krótkiej i trochę emocjonalnej wiadomości.

Mam wrażenie, że sprawa ukraińska zajmuje ostatnio we wszystkich mediach ok. 90 proc. czasu antenowego, wszyscy wiemy, jak ważna geopolitycznie jest to sprawa, ale proszę nie zapominać o naszej wewnętrznej sytuacji i o tym, iż całe gałęzie gospodarki i całe polskie społeczności zostały pozostawione same sobie.

Piszę tę wiadomość w imieniu swoim, jak również całej grupy polskich ogrodników szklarniowych, nasza sytuacja od czasu rozpoczęcia wojny na Ukrainie i tak ochoczo wprowadzenia embarga na rosyjski węgiel przez nasz rząd w Warszawie uległa całkowitemu załamaniu.

Do produkcji upraw szklarniowych przez cały sezon potrzebujemy regularnych dostaw miazgu węglowego, do tej pory był to miazg polski i rosyjski. Premier Mateusz Morawiecki, wprowadzając embargo na rosyjski węgiel, powinien zapewnić dostępność polskiego węgla z polskich kopalń.

Niestety, nic takiego nie ma miejsca. Ceny miazgu z polskich kopalń poszybowały z 300 zł w roku 2021 do 1,6 tys. zł netto w chwili obecnej. Teraz stoimy przed wyborem zakupu miazgu o 500 proc. droższego lub przestaniem ogrzewania naszych upraw, co będzie się wiązało z ich likwidacją. Może rozwiązanie problemu poprzez likwidację naszych gospodarstw będzie lepszym wyjściem niż zadłużanie się na zakup miazgu po pięciokrotnie wyższej cenie?

Cała sytuacja jest tym bardziej bolesna, że polski rząd jako właściciel polskich kopalń pozwala na tak drastyczny wzrost cen węgla.

[...]

Cała ta sytuacja spowoduje upadek polskiego ogrodnictwa szklarniowego – jest nas ok. 800 ha. Skorzystają na tym oczywiście Holendrzy i Belgowie, dla których jesteśmy w Europie i na naszym rodzimym rynku jedyną przeszkodą do całkowitego uzależnienia klientów od swoich produktów.

My jako gospodarstwo posiadamy 5 ha upraw pomidora malinowego, którego Państwo możecie kupić w hipermarketach.

[...]

Pozostaje mieć nam tylko nadzieję, że poprzez spokojne i merytoryczne nagłaśnianie tej sprawy ktoś z polskich władz zainteresuje się sytuacją rodzimych przedsiębiorców.

[...]

Pozdrawiam

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji



C E Z E R Y Z Y J E T O R A



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Traktowanie rzeczy serio

Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny nie uznaje ordynacji kobiet w Kościele Ewangelicko-Augsburskim w RP. List z takim przesłaniem ogłosił prawosławny metropolita warszawski i całej Polski abp Sawa, kierując go do prezesa Polskiej Rady Ekumenicznej bp. Andrzeja Malickiego. Jak wskazał abp Sawa, jest to reakcja na doniesienia medialne, że ewangelicy ordynowali, czyli w rozumieniu prawosławnych – dokonali święceń kapłańskich, grupę dziewięciu diakonów.

Jak poinformował abp Sawa: „Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, zachowując naukę świętych apostołów i praójców, takiej praktyki nie uznaje”. Głowa Kościoła prawosławnego w Polsce zaznacza, że w związku z tym prawosławni wstrzymują udział swoich przedstawicieli w różnorodnych spotkaniach ekumenicznych, takich jak modlitwy, konferencje, robocze spotkania itp., na których obecne będą prezbiterki. I zaznacza: „W przypadku nasilenia się problemu członkostwo Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Polskiej Radzie Ekumenicznej zostanie zawieszone”.

W odpowiedzi na list abp. Sawy zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-

-Augsburskiego RP, bp Jerzy Samiec, podkreślił, że Kościół prawosławny ma prawo do własnych poglądów i teologii, podobnie jak ewangelicy. Wypomnił jednak, że już wcześniej Kościoły ewangelicko-metodystyczne, ewangelicko-reformowane oraz zielonoświątkowy w Polsce ordynowały kobiety na duchownych i nie powodowało to zakłócenia relacji między Kościołami. Wskazał też, że prawosławni współpracują z Kościołami ewangelickimi ordynującymi kobiety od wielu lat, chociażby w światowej Radzie Kościołów, i dotąd na gruncie ekumenicznym obie strony starały się szanować swoją różnorodność.

Decyzja polskich prawosławnych musi budzić szacunek. Owszem, można wskazywać, że wcześniej nie zareagowali na ordynowanie kobiet u ewangelików reformowanych czy zielonoświątkowców, ale wynikało to być może z niewielkiej liczby przedstawicieli tych odłamów reformacji w Polsce. Ewangelicy augsburscy to jednak stosunkowo spore wyznanie. Cała sprawa przypomniła, że coraz więcej wątpliwości pojawia się przy inicjatywach ekumenicznych. Prawosławni zawstydzili w ten sposób katolików, którzy formalnie także odrzucają możliwość udzielania

kobietom święceń kapłańskich. Wynika to z poświadczanego przez Pismo Święte przykładu Chrystusa, który wybrał swoich apostołów wyłącznie wśród mężczyzn. Zasady te zostały potwierdzone w deklaracji Kongregacji Nauki Wiary „Inter Insigniores” z 1976 r. i w liście apostołskim Jana Pawła II „Ordinatio sacerdotalis” z 1994 r. Papież Polak oświadczył w nim jednoznacznie, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom.

Zdecydowanie prawosławnych w Polsce ma dodatkowo znaczenie wobec coraz wyraźniej formułowanych postulatów kapłaństwa kobiet w Kościele niemieckim. W wielu diecezjach katolickich za naszą granicą działa bez żadnej zdecydowanej reakcji biskupów oddolny ruch Maria 2.0, który coraz głośniej domaga się wyswięcenia kobiet na księży katolickich. Całego problemu zdaje się nie zauważać papież Franciszek, który stosunkowo rzadko wypowiada się na ten temat. Wobec narastającego chaosu pojęć w tej kwestii można stawiać sprawy jednoznacznie albo odwracać się plecami do zmian, które ewangelicy wprowadzają u siebie. Warto pilnować, by sól wiary nie straciła smaku. © ©

CORAZ BLIŻEJ PIENIĘDZY Z KPO

Mateusz Morawiecki potwierdził w Sejmie, że rząd zakończył proces negocjacji z Komisją Europejską w sprawie Krajowego Planu Odbudowy. – Zakończyliśmy negocjacje kamieni milowych – ogłosił premier, zapowiadając zaplanowaną na 2 czerwca wizytę przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen w Warszawie. W ramach KPO Polska może otrzymać z Unii Europejskiej nawet 36 mld euro. (*jap*) © ©



FOT. DURSUN AYDEMIR/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES



1610
KŁUSZYN

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

 W PEŁNI POLSKA
PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306
eprasa.pl 1753148712

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa
• ul. Jagiellońska 88/24
• ul. Plac Piotra Szembeka 4

RED IS BAD™



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Efekt Domosławskiego

Gazeta Wyborcza” ma wielkie zasługi w nagłaśnianiu szczególnie jaskrawych przypadków głupoty i śmieszności lewicowo-liberalnych elit. Fakt, że prezentuje różne kuriozalne postacie i pomysły, zachwalając je i komplementując, nie zmienia istoty sprawy: dowiadujemy się, jacy to ludzie są „na narodu wierzchu”. Na wierzchu, nie na czele – nie przypadkiem sięgam po to rozróżnienie, użyte w dawnej scenie „Salonu warszawskiego” przez Adama Mickiewicza, bo ta akurat demaskacja „Wyborczej”, na którą chcę zwrócić państwa uwagę, ma związek z „Bratem Wieszczem”.

Otóż z zachwytem zapowiada „GW” premierę spektaklu będącego nowatorskim odczytaniem „Pana Tadeusza” przez panią Agatę

Biziuk. Jak wynika z załączonej notki, reżyser Biziuk zdobyła sławę spektaklem pod charakterystycznym tytułem „Dr@cula. Wagina dentata”, a przed Mickiewiczem znęcała się nad Zapolską. Jej autorska przeróbka arcyepoematu to zaledwie „druga część” cyklu scenicznych parafraz polskiej klasyki, więc żaden z wielkich naszej literatury nie może spać w trumnie spokojnie.

Wywiad z panią Biziuk trzeba by zacytować w całości, bo nie wystarczy przecież fragmentaryczny opis, choćby sceny początkowej, w której artyści wychodzą z wraków rozbitych w wypadku samochodów jako „metafora kultury, która próbuje się po pandemii jakoś reaktywować i dynda niczym ostatnie ogniwo łańcucha pokarmowego

w kolejce do rządowych dotacji”. Albo wykładnia, według której „Pan Tadeusz” to dzieło „mizoginiczne”, bo „współczesnej singielce, wykształconej, znającej się na literaturze i nie tylko” (to „nie tylko” dotyczy chyba puszczenia się z zaborcami w „Peterburku?”), przeciwstawia Zosię, „wyidealizowaną wizję mężczyzny wobec polskiej dziewicy”, a takowych, jak mówi gazecie pani Biziuk, nie ma. Nawet wśród 14-latek.

Nieodparcie kojarzą mi się takie publikacje z trudem biografisty Ryszarda Kapuścińskiego (też z „GW”), który opublikował dowody jego konfidencji z KGB w przekonaniu, że to wspaniała zasługa w walce o wyzwolenie ludów od amerykańskiego imperializmu, przydająca jego bohaterowi chwały. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Zwrócony ku Panu

Historia ma wielu cichych bohaterów. Prace Klausa Gambera największy wpływ wywarły już po jego śmierci, choć trudno powiedzieć, by za życia był niedoceniony. Kierował ratybońskim Instytutem Liturgicznym, Republika Federalna uhonorowała go Krzyżem Zasługi, monachijski Wolny Uniwersytet Ukraiński przyznał mu doktorat honorowy (Gamber był wybitnym znawcą liturgii bizantyjskiej). Największy wpływ jego dzieło wywarło jednak później i poza granicami ojczyzny.

W 1992 r. benedyktyni z Barroux opublikowali książkę „La Réforme liturgique en question”, która w niemieckim oryginale ukazała się jedynie w małym nakładzie,

na prawach rękopisu. Francuskie tłumaczenie poprzedziło wstępem dwóch kardynałów. Joseph Ratzinger, ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary, w swoim wprowadzeniu wyjaśniał, że jest to praca o tym, jak „liturgia będąca owocem ciągłego rozwoju zmieniona na liturgię sfabrykowaną [...], porzucając wielowiekowy proces organicznego dojrzewania, który zastąpiono – tak, jakby chodziło o przeróbkę techniczną – banalnym produktem chwili”.

Gamber pisał bowiem, że „ani w Kościele rzymskim, ani na Wschodzie” nigdy wcześniej nie doświadczonej wymiany form kultu. Zmiany, którym w ciągu wieków liturgia podlegała, nie były bowiem wynikiem „unowocześnia-

nia”, ale drobnymi, wynikającymi z teologii i pobożności, niemal niezauważalnymi dla żyjących korektami, jak umieszczenie imienia św. Józefa w kanonie Mszy przez Jana XXIII. Gamberowska koncepcja organicznego rozwoju liturgii stanowiła w istocie liturgiczne rozwinięcie teorii jednorodnego (tradycyjnego) rozwoju doktryny katolickiej, sformułowanej przez św. kard. Newmana.

Późniejsze liturgiczne nauczanie i decyzje Benedykta XVI były w znacznym stopniu owocem prac Klausa Gambera. Mija właśnie 33. rocznica jego śmierci. Ksiądz prałat Gamber odszedł do Pana 2 czerwca 1989 r., w uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O feminizmie archeologicznym

W Rzymie po 1977 latach zmieniono nazwę świątyni boskiego cesarza Hadriana tak, by dzielił ją z małżonką. Teraz to Świątynia Vibii Sabiny i Hadriana.

Cesarz Hadrian został uznany za boga. W 145 r. n.e. wzniesiono mu monumentalną świątynię

Sabina, ponoć kobieta ogromnych wpływów i sławy w swoich czasach, wielkiej wiedzy, kultury i urody. Jej podobizna widnieje na monetach. Ma wiele posągów.

Izba Handlowa i władze Rzymu postanowiły niewiastę dowartościować. Odbyła się wzniosła uroczystość. Przemówił szef Izby Handlowej: „Zwracamy sprawiedliwość Vibii i roli, którą odgrywała. Jest to dla nas okazja, by zwrócić ją wszystkim kobietom aktywnym w historii, poczynając od starożytnego Rzymu”. Wtórował mu komendant karabinierów chroniących zabytki, którym udało się odzyskać skradziony i znaleziony w Stanach Zjednoczonych posąg niewiasty: „Rolę kobiet w historii umniejszano i ukrywano przez wieki. Życzyłbym sobie, żeby instytucje kulturalne podejmowały podobne inicjatywy i przedstawia-

ły kobiety w historii we właściwym świetle”.

Smutne. Dwaj poważni, rozsądni mężczyźni jednak musieli się ugiąć pod presją zideologizowanych szaleńców i publicznie robić z siebie idiotów. Jak amen w pacierzu doczekamy się niebawem Forum Plotyny i Trajana, a Markowi Aureliuszowi przed Kapitołem pewnie dosadzą na rumaka z przodu małżonkę Faustynę. Miejsce jest.

Historyk Eliusz Spartianus pisze, że cesarzowa Vibia była wredna i zdradzała swego męża. Być może dlatego, że Hadrian wołał wdzięki 30 lat młodszego Greka Antinousa. Tak czy inaczej Hadrian w końcu zoną otruła. Dziwi, że szaleńcy pamiętali o Vibii, a nieostrożnie zapomnieli o Antinousie. Niechybnie czekają ich oskarżenia o homofobię. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Dwaj poważni mężczyźni musieli się ugiąć pod presją zideologizowanych szaleńców i publicznie robić z siebie idiotów

w sercu starożytnego Rzymu nieopodal Panteonu na Polach Marsowych. Dziś ze świątyni pozostało 11 z 13 wielkich kolumn i ściana. Za ścianą od 150 lat działa rzymska Izba Handlowa. Cesarzowi przez 36 lat towarzyszyła małżonka Vibia

W sprawie odblokowania przez Brukselę kasy z KPO czekamy na szczegóły. Deal był bowiem gotowy już ze dwa miesiące temu, ale Warszawa nie procedowała, gdyż chciała jeszcze, żeby odpuszczono Polsce płacenie kar. O tym pisaliśmy. Ale w ostatnich dniach usłyszeliśmy, dlaczego rządowi tak zależało na tym dodatkowym warunku. Otóż temat kar to podobno ulubione paliwo Zbyszka. A Mateusz nie chciał dawać Zbyszkowi tego paliwa. Takie, widzicie, rządowe bezpieczeństwo energetyczne.

A propos Zbyszka Zizou – dużą radość sprawiła nam sejmowa filipika premiera Mateusza w jego obronie. Na brytyjskich uniwersytetach uczy się retoryki w ten sposób, że polemisci muszą wobec przeciwników bronić tezy, z którą się nie zgadzają. Mateusz mógłby zrobić w tej dziedzinie profesurę.

Bardzo zaciekało nas też zdanie pewnej wiewiórki, która wypaplała niechcący, że „Mateusz nie chciałby Zbyszkowi dawać paliwa jesienią”. Hej, a co niby ma się wydarzyć jesienią? Przecież oficjalnie żadnych wyborów nie ma aż do przyszłego roku.

Well, w sprawie wyborów doły partyjne wierzą bardziej Tomaszowi Lisowi niż szeregowemu wicepremierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu. I uważają, że jesienią jednak będą takie przedterminowe. W związku z tym, jak Polska długa i szeroka, zaczęło się wycinanie konkurentów do miejsc na listach, donoszenie, kompromitowanie i inne takie zabawy. Nie, nie dlatego, że wszyscy żądni są władzy. Motywacja jest inna – w opozycji przetrwa tylko ten, kto ma nietykalną posadę w garści.

Skoro już padło nazwisko największego z redaktorów i jedyne go człowieka, którego ego może konkurować z Radkiem Sikorskim. Wszyscy mówią, że Tomasz Lisa posunięto z „Lisweeka” za błędy i wypaczenia. Nie polityczne, tylko takie międzyludzkie, w stylu Durczoka. My nie bardzo w to wierzymy. Wszyscy znają bowiem gołębie serce Tomka. Inna wersja mówi, że padł na skutek konfliktu z jakimś nołnejmem zajmującym się w firmie onlajnem. Zważywszy na niedawny przykład „GazWybu”, gdzie zarząd spacyfikował etosowe legendy firmy, nie

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

jesteśmy w stanie tego wykluczyć. Ale główny powód podajemy poniżej.

No więc tak: doszły do nas słuchy, że niemiecka centrala Springera miała się wystraszyć wybuchu kolejnej afery obyczajowej w koncernie. Już wyjaśniamy: nie tak dawno temu „Bild” musiał zwolnić wszechmocnego redaktora naczelnego za zbyt bliskie stosunki z podwładnymi. Co ma to wspólnego z Polską? Oczywiście nic. Podobnie jak to, że w „Lisweeku” nuci się przebój „A na imię miałaś właśnie Beata, piękne imię, musisz przyznać, miła ma. Zabierałem cię co dzień na fregatę, byś miłością swą upajała mnie”. Pracownicy koncernu zmieniają jednak nieznacznie tekst, korygując imię bohaterki. Które nawet po zmianie rymuje się z „fregata”.

Wcieniu przemocowych zalotów między Rafciem, Donaldem a nawet nuworyszem Szymonem (żeby nie było – zaloty z poprzedniej notki nie miały charakteru przemocowego, tylko obopólnej zgody), umknęła opinii publicznej deklaracja, że PeŁo będzie miała nowy program. Kibicujemy, gdyż uwielbiamy czytać programy, a ten

Platformy zmienia się nawet częściej niż telewizyjny. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale w życiu trzeba znaleźć też czas na odrobinę rozrywki.

Spragnieni rozrywki z radością powitaliśmy nową koalicję zorganizowaną przez Peezel. Ludowcy, widzicie, zmieniają koalicjantów nawet szybciej niż PeŁo programy. PiGoKo? KoPiGo? Jak tu ładnie nazwać sojusz Piskorskiego, Gowina i Kosiniaka-Tygrysa? I jeszcze europejskich demokratów od Misia i Protasia? Poddajemy się. Trudno jednak nie zauważyć, że w owej menażerii mamy klasykę literatury dla dzieci. Michu Kamiński to Miś, Kosiniak – Tygrysek, Piskorski – Prosiaczek. A Gowin? Gowin to Kłapouchy, musicie to przyznać.

Tymczasem Kazek Sowa, ksywa Książ, wytrawny obrońca Lisów, Misiów i innych Donaldów, ogłosił że „dla symetrystów jest osobne miejsce w piekle”. Raczej nie mówi tego z doświadczenia prywatnego, gdyż symetrystą nie jest. Ale skoro Kazek może mieć jakieś przecieki służbowe z dołu, to chcielibyśmy od razu dopytać o to, gdzie są miejsca dla kapłanów dających fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu. Tak, uważamy PiS-owców za bliźnich.

Nie wszędzie jest tak wesoło. W służbach narasta niezadowolenie. Nasze wiewiórki podsłuchały szefa CBA, który żalił się, że przez Polski Ład przestało mu starczać do pierwszego. Nie lepiej jest w innych służbach i prokuraturze. Nastroje robią się buntownicze. Wprawdzie służby zostały zasilone dodatkową kasą w związku z wojną na Ukrainie, ale te pieniądze idą akurat na fundusz operacyjny, czyli wynagrodzenia agentury. Powiedzmy szczerze: to nie jest zdrowe, gdy oficer prowadzący wypłaca agentowi nieopodatkowaną kasę w kwocie większej, niż sam zarabia.

Na szczytach ABW też zgrzyty. Otóż premier odmówił kontrasygnaty pod nominacją generalską płk. Krzysztofa Waclawka, szefa tej największej w Polsce służby. Awans generalski osłodziłby mu straty poniesione na skutek Polskiego Ładu. Podobno odmowa ma coś wspólnego z wyciekami e-maili Dworczyka. ABW chyba aluzję zrozumiała, bo zamknęła dostęp do strony, gdzie e-maile były publikowane. ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
 STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)



PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNER
GŁÓWNY





MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Sasin powiedział, iż mamy obecnie najtańsze paliwo w Europie, i naszym zdaniem powinniśmy się tego wstydzić. Nie po to cały świat promuje samochody elektryczne, żebyśmy teraz zachęcali naszych rodzimych wąsatych Januszów, aby tankowali swoje kopące polonezy czy golfy II w dieslu i jechali nimi do najbliższego miasta powiatowego na zakupy w sieciówce i kebab.

Paliwo w tym kraju powinno być droższe, iżby ograniczyć popyt na jeżdżenie samochodami i promować zrównoważony transport, szczególnie w przestrzeni miejskiej. Wyobrażamy sobie np., iż dostawca może podjechać pod market rowerem typu cargo i dowieźć w ten sposób świeże bułki, wędliny itd.

Podobnie uważamy, iż osoby transport samochodowy typu taksówki może śmiało zostać zastąpiony przez riksze bądź osobowe elektryczne hulajnogi z przyczepką. W ten sposób wykonamy kolejny ważny krok do odzyskania przestrzeni miejskiej, a w dalszej kolejności także wiejskiej. Bo w ogóle dowiedzieliśmy się, ile pali taki traktor albo kombajn. A kiedyś ludzie używali kosi i też się dało.

Pewnie słyszeliście o rozprzestrzenianiu się po Europie chorobie, którą w przestrzeni publicznej nazywa się małpiał ospą. Naszym zdaniem stosowanie takiej nazwy wynika wprost z głęboko zakorzenionego w społeczeństwach antropocentryzmu.

Otóż nie może być i nie będzie naszej zgody, aby używać przymiotnika „małpia”. To bardzo krzywdzące stereotypizowanie i wprost przypisanie zarzutu, jakoby osoby małpie były odpowiedzialne w jakiś sposób za powstanie lub rozpowszechnianie się tego osobowirusa.

Czy w przypadku innej ospy mówimy, iż jest to ospa ludzka? Czy raczej funkcjonuje nazwa „ospa wietrzna” (czy tam wieczna, nie jesteśmy pewni, jak się to

zacji używania określenia „małpia ospa”, jeśli ktoś tak napisze, to powinien iść do więzien... a niech to!

Bardzo nas martwi, iż w światowym tenisie trwa dominacja osobotenisistki z tego kraju Igi Świątek. Nie podoba nam się także jej nazwisko, iż jest jak na nasze potrzeby zbyt mało świeckie.

Poza tym Iga Świątek nie przegrała żadnego ze swoich ostatnich 28 meczów. Jest to zachowanie bardzo niesportowe oraz tak po prostu niekoleżeńskie, iż jej koleżanki z kortów ponoszą karę za to, iż są słabsze. Dlatego postulujemy – i mamy nadzieję, iż czytają nas posłowie Partii Razem – iżby osoborywalki Igi rozpoczynały mecz od prowadzenia 1:0 w setach oraz jakieś przynajmniej 4:0 w gemach w drugim secie.

Takie postępowanie byłoby właściwe i pozwoliłoby na zachowanie wyrównanej rywalizacji. No i też się boimy, iż dalsza dominacja Igi będzie prowadziła do eskalacji nastrojów patriotycznych i fashystofskich, a także do tego, iż innym osobotenisistkom będzie tak zwyczajnie i po ludzku przykro.

Awracając do wicepremiera Sasina. Obiecał on, iż Polacy niebawem będą zarabiali tyle samo co Niemcy, i zastanawiamy się, dlaczego aż tak źle żyćzy on Niemcom? ©



powinno pisać). No właśnie. Nie wskazuje się na ludzkie pochodzenie wirusa – wszyscy winni, tylko nie człowiek.

Dlatego chcemy, w imię solidarności między osobami ludzkimi a małpimi, aby nazwę „ospa małpia” zastąpić nazwą „ospa ludzka”, oraz postulujemy nadanie praw wyborczych i obywatelskich małpim osobom pokrzywdzonym przez ten ekspansywny przykład antropocentryzmu. A, no i nie zapominajmy o penali-

PODSŁUCHANE

Rozdział Kościoła od państwa

Tomek, ty taki bardziej oblatany jesteś w tych sprawach, ministrem obrony byłeś, tam dużo było kościelnych uroczystości – weź mi

przygotuj jakiś konspekt spotkania z biskupami, z mszą i takimi tam.

Ale Donek, przecież przedwczoraj ogłosiłeś to zrywanie z Kościołem. Oj, no nie będziemy tego robić za dwa dni. Odczeka się tak z miesiąc i wtedy. Przecież nikt jednego z drugim nie skojarzy. Ty wyborców nie znasz?

Okej. A jeśli mogę spytać – po co to ma być?

Muszę ci elementarz tłumaczyć? Było coś dla antyklerykałów, to

teraz będzie coś dla klerykałów, takich nowoczesnych oczywiście. Nie możemy ich przecież oddać Szymkowi, beksie jednej.

A może to byśmy 15 sierpnia zrobili?

Świetnie. A na początku września pokażemy ten projekt rozdziału Kościoła od państwa.

A na koniec września umówię sobie sesję, że niby mnie przypadkiem sfotografują na modlitwie w kościele. ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kłamali rano, kłamią w południe i będą kłamać wieczorem. PiS w pigułce...”

BORYS BUDKA, wiceprzewodniczący PO, na Twitterze



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

OKO



na niedzielę
nowy program
w Telewizji Republika

sobota
premiera

21:50

niedziela
powtórka

14:50

zaprasza

ks. prof. Dariusz Oko



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl oraz drogą naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2 w Warszawie na kanale 23, Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.



Nie musisz się męczyć – pozbądź się zaćmy

Zaćma to choroba, którą można wyleczyć krótkim zabiegiem. Mimo to w ostatnich dwóch latach mniej osób korzystało z tej możliwości. Warto pozbyć się obaw i cieszyć się dobrym wzrokiem

Wiele razy dziennie przecierasz okulary z nadzieją na poprawę widzenia, a mimo to obraz wciąż jest zamglony i nieostry, kolory wyblakłe, a wokół latarni i innych źródeł światła widzisz aureole. Gdy na dworze robi się ciemno, jest jeszcze gorzej. W jasny, słoneczny dzień widzenie wcale się nie poprawia, ponieważ bardzo cię drażni światło – dosłownie kłuje w oczy i musisz je mrużyć. Problemu nie rozwiązują nawet przeciwsłoneczne okulary. Nosisz je zresztą niechętnie, gdyż przez ciemne szkła widzisz jeszcze mniej wyraźnie. Jesteś już tym zmęczony, nie możesz się w pełni cieszyć długimi, pogodnymi dniami. Być może planujesz wizytę u optometrysty, by dobrać ci szkła w nowych okularach,

bo sądzisz, że „poleciały” ci dioptrie. Wstrzymaj się z tym!

UMÓW SIĘ DO OKULISTY

Przy takich objawach jest bardzo prawdopodobne, że to nie wina źle dopasowanych szkieł korygujących. Przyczyną twoich problemów z widzeniem mogą być zmiany, które zachodzą – najczęściej z wiekiem – w naturalnej soczewce oka. Zużywa się ona, mętnieje i przepuszcza do środka coraz mniej światła – stąd pogorszenie widzenia. Najczęściej problem ten dotyczy osób po 60. roku życia. Ryzyko zaćmy mogą również zwiększać niektóre schorzenia, m.in. cukrzyca, wysokie ciśnienie tętnicze czy otyłość. Dlatego, zamiast iść do optyka po mocniejsze okulary, umów się do okulisty. Jeśli stwierdzi on zaćmę, to nie pomogą nawet najlepiej dobrane okulary. Nie oznacza to jednak, że nic się nie da zrobić.

NIE MA SIĘ CZEGO BAĆ

Jedyną metodą leczenia zaćmy jest zabieg chirurgiczny. Polega on na zastąpieniu naturalnej zmętniałej soczewki oka sztuczną soczewką wewnątrzgał-

kową. Choć może to dla kogoś brzmieć niepokojąco, to nie ma powodów do obaw. Ten zabieg chirurdzy przeprowadzają bardzo często i mają w tym wieloletnie doświadczenie. Zazwyczaj robi się go w znieczuleniu miejscowym. Trwa to zaledwie kilkanaście minut i nie wymaga pozostania w szpitalu łącznie dłużej niż trzy godziny. Parę dni przed zabiegiem wpuszcza się do oka przepisane przez lekarza krople. Trzeba tę czynność kontynuować również po zabiegu, kilka razy dziennie. Należy się także oszczędzać, jak po każdej operacji – np. nie dźwigać. Jeżeli zabiegu wymaga dwoje oczu, to zwykle przeprowadza się go po kolei – przeważnie najpierw na słabszym, a po paru miesiącach na silniejszym oku.

TERMINY JUŻ NIE ODSTRASZAJĄ

Wiele osób podczas pandemii zrezygnowało z zabiegu, m.in. w obawie przed zakażeniem koronawirusem. Liczba zabiegów usunięcia zaćmy refundowanych przez NFZ spadła w 2020 r. o ok. 35 proc. w porównaniu z rokiem 2019 (233 tys. vs. 355 tys.), a dostępne dane za 2021 r.



lepiej wybrać płatny zabieg w prywatnym centrum okulistycznym.

MASZ WYBÓR

Mogłoby się wydawać, że skoro istnieje możliwość refundacji, to nie ma się nad czym zastanawiać i trzeba z niej skorzystać. Warto jednak wiedzieć, że „na NFZ” możemy przeprowadzić ten zabieg tylko w ograniczonym zakresie. Aby się zakwalifikować do refundacji, trzeba spełnić kryterium określonej ostrości wzroku – nie może być ona wyższa niż 0,6 (przy takiej ostrości pacjent widzi na tablicy okulistycznej 6 z 10 rzędów cyfr). Poza tym podczas refundowanego zabiegu są standardowo wszczepiane najprostsze soczewki jednoogniskowe (patrz: ramka). Soczewki wewnątrzgałkowe toryczne mogą też korygować astygmatyzm, czyli wadę wzroku najczęściej wynikającą z asymetrii w budowie rogówki. Jednak w wypadku refundowanego zabiegu do soczewek jednoogniskowych torycznych są uprawnieni tylko pacjenci z astygmatyzmem rogówkowym równym lub wyższym niż dwie dioptrie.

Jeżeli natomiast zdecydujemy się na zabieg płatny, to możemy go przeprowadzić wtedy, gdy zaćma zaczyna nam utrudniać życie – niezależnie od wyniku badania ostrości wzroku. Przede wszystkim jednak soczewki wewnątrzgałkowe są dobierane indywidualnie do potrzeb i możliwości finansowych pacjenta. Dzięki nowoczesnym soczewkom możliwa jest znacząca poprawa jakości widzenia. Prywatny zabieg daje możliwość zastosowania soczewek trójogniskowych

oraz soczewek o wydłużonej ogniskowej, które ograniczają lub eliminują potrzebę używania okularów po operacji. Również soczewki toryczne są dostępne bez ograniczeń związanych z wielkością astygmatyzmu. Poza tym mogą być stosowane nie tylko w wersji jednoogniskowej, lecz także dwu- i trójogniskowej oraz niedyfrakcyjnej.

DLACZEGO WARTO ZOPEROWAĆ ZAĆMĘ?

Zoperowanie zaćmy pomoże się ustrzec także innych problemów, nie tylko z oczami. Nieleczona, rozwijająca się choroba systematycznie ogranicza jakość widzenia i życia tysięcy Polaków, w konsekwencji prowadząc do społecznego i zawodowego wykluczenia dotkniętych nią osób. W badaniu opublikowanym niedawno w piśmie „JAMA Internal Medicine” wykazano też, że operacyjne usunięcie zaćmy przyczynia się do zmniejszenia ryzyka demencji u seniorów. Przywrócenie funkcjonalnego widzenia może również zmniejszyć znaczne obciążenie opiekunów osób niedowidzących. Szacowany czas, jaki opiekun poświęca na pomoc pacjentom 70+ z zaburzeniami wzroku, to aż 17 godzin tygodniowo. Dobry wzrok pozwala seniorom nie tylko na samodzielne funkcjonowanie i uczestnictwo w życiu społecznym, lecz także na pracę zarobkową czy wsparcie rodziny, np. w opiece nad małymi dziećmi. Jeden kilkunastominutowy zabieg może całkowicie odmienić życie osoby operowanej i jej bliskich.

również pokazują malejącą ich liczbę. Dziś strach przed COVID-19 nie powinien już nikogo powstrzymać przed leczeniem. Obecnie obowiązujące w szpitalach procedury zapewniają bardzo wysoki standard bezpieczeństwa. Skrócił się także czas oczekiwania na zabieg – do większości placówek nie ma obecnie dużych kolejek.

JAK SIĘ UMÓWIĆ NA ZABIEG?

Zaćma nie „przejdzie” sama. Zabieg nas nie ominie. Odwlekanie go może spowodować wzrost ryzyka powikłań, a choroba w zaawansowanym stadium grozi całkowitą utratą widzenia. Lepiej więc nie odkładać operacji na później. Od czego zacząć? Trzeba się udać do swojego lekarza POZ po skierowanie do okulisty, który skieruje na zabieg. Skierowanie na bezpłatną operację może też wystawić okulista prowadzący prywatną praktykę (nie jest wówczas konieczna wcześniejsza wizyta u lekarza POZ). Gdy już mamy skierowanie, warto rozważyć, czy skorzystać z usług publicznego szpitala lub prywatnej placówki, która ma podpisany kontrakt z NFZ, czy może

Rodzaje soczewek wewnątrzgałkowych:

- Soczewki jednoogniskowe są najpopularniejszym rodzajem soczewek stosowanych w leczeniu pacjentów z zaćmą (i jedynym refundowanym przez NFZ). Ich podstawowym zadaniem jest przywrócenie zdolności skupiania światła i ostrości widzenia. Można ją jednak dostosować tylko do jednej odległości: bliży lub dali. Do innych dystansów trzeba więc zwykle używać okularów.
- Soczewki trójogniskowe dają dobre widzenie do dali oraz do bliży i odległości pośrednich, a tym samym możliwość rozstania się z okularami do czytania czy do pracy z komputerem.
- Soczewki niedyfrakcyjne, o wydłużonej głębi ostrości, pozwalają na ograniczenie korzystania z okularów do dali, na odległości pośrednie, a także do tzw. funkcjonalnej bliży. Okulary mogą być potrzebne jedynie do czytania bardzo małego druku i w warunkach słabego oświetlenia. Jednocześnie jest małe ryzyko wystąpienia niepożądanych efektów fotooptycznych (halo, glare).
- Soczewki toryczne mogą korygować astygmatyzm, czyli wadę wzroku najczęściej wynikającą z asymetrii w budowie rogówki. Są dostępne w wersji zarówno jedno-, jak i dwu- oraz trójogniskowej, a także niedyfrakcyjnej.

Więcej informacji o zaćmie na: <https://zaczmanaoku.pl/>.

Od przybytku głowa boli



Jakub Wozinski

W ciągu trzech ostatnich miesięcy największe polskie miasta przyjęły nawet dwa miliony uchodźców z Ukrainy, co postawiło je przed niespotykanymi dotąd wyzwaniami



FOT. PETER KALCZAK/EPAST NEWS

Otym, jak wielkie przeobrażenia ludnościowe przechodzi w ostatnim czasie nasza część kontynentu, świadczy najlepiej los Lwowa, który zwiększył swoją populację z nieco ponad 700 tys. mieszkańców do ponad 2 mln i jest obecnie najbardziej ludnym miastem Ukrainy. Tuż za Lwowem w rankingu najbardziej chłonnych względem uchodźców miast znajduje się Warszawa, a w dalszej kolejności także inne największe polskie ośrodki na czele z Krakowem, Wrocławiem, aglomeracją śląską i Trójmiastem.

REKORDOWA POPULACJA

Gdyby uwzględnić faktyczną liczbę osób zamieszkujących nasze największe miasta, okazałoby się m.in., że Kraków przekroczył już być może barierę miliona mieszkańców, Wrocław – 850 tys., Gdańsk – 600 tys., a Rzeszów – nawet 300 tys. (i to nie wliczając całych obszarów metropolitalnych). Przy naszej rodzimej katastrofalnej demografii każdy wzrost liczby mieszkańców powinien teoretycznie cieszyć, lecz nagła migracja uchodźców do polskich miast stawia je przed wieloma trudnościami, które ich władze ze względów politycznych starają się przemilczeć.

Gdy po drugiej wojnie światowej trwała w Polsce wielka wędrówka ludności ze wsi do miast, tworzenie dla niej odpowiedniej bazy mieszkaniowej trwało nawet kilka dekad. Gdy teraz w przeciągu zaledwie kilku tygodni w Polsce pojawiło się ponad 3 mln Ukraińców, dostępne zasoby mieszkań na wynajem stopniały w błyskawicznym tempie.

Ekspert Polskiej Federacji Rynku Nieruchomości Wojciech Kuc zauważa, że w segmencie najtańszych mieszkań na wynajem zaszły ogromne zmiany. – Zauważamy od paru miesięcy ogromne zainteresowanie najmami, przede wszystkim jedno-, dwu- i trzypokojowymi. Cały rynek najmu odnotowuje ożywienie z racji tego, że napływają do nas sąsiedzi zza wschodniej granicy. Głównie do wielkich miast, ponieważ szukają tutaj dodatkowej opieki socjalnej, pracy, a także aklimatyzacji, ponieważ uważają, że tutaj będzie im z tym łatwiej – mówi Kuc. – Druga kwestia jest taka, że imigranci wojenni w większości poszukują mieszkań jak najtańszych, czyli dwupokojowych, w związku z tym ten segment rynku jest niemal całkowicie zapełniony. Oczywiście pojawiają się nieruchomości

jedno-, dwu- czy trzypokojowe, które nie znajdują najemców, ale dzieje się tak tylko dlatego, że ich właściciele nie chcą wynajmować Ukraińcom lub kwoty, których żądają, są zdecydowanie wyższe niż stawki rynkowe. Jednocześnie trzeba też zauważyć, że zmienił się także rynek wynajmu mieszkań droższych, apartamentów i domów. Spowodowane jest to tym, że najtańsze oferty z tego segmentu stały się przedmiotem zainteresowań Ukraińców, którzy często wynajmują nawet cały dom dla kilku rodzin.

Motorem napędzającym rozwój głównych polskich miast pozostawały od lat wyższe uczelnie, lecz na studentów, którzy już w lipcu zaczęli intensywnie poszukiwać dla siebie lokum, czeka niemiła niespodzianka. – Występujące obecnie problemy będą moim zdaniem narastać, ponieważ jesteśmy w przededniu momentu, w których wyższe uczelnie ogłaszają, kto dostał się na studia, i w ten sposób do grona poszukujących lokali na wynajem dołączy kolejna grupa osób. Być może też do zakupu, choć podejrzewam, że tych osób będzie zdecydowanie mniej. Ta sytuacja będzie trwała do końca września i podejrzewam, że przez to czynsze jeszcze bardziej wzrosną. Natomiast po wakacjach pojawiają się jeszcze osoby, które przyjeżdżają do pracy w dużych ośrodkach miejskich – przewiduje Wojciech Kuc.

Mówiąc wprost, dużym polskim miastom zagraża nie tylko drożyzna na rynku wynajmu i spadek liczby nowych nieruchomości, lecz także permanentny problem z dostępnością lokali mieszkaniowych. Będzie to szczególnie dokuczliwe dla studentów oraz osób przyjeżdżających do pracy z prowincji, które do tej pory napędzały rozwój dużych aglomeracji.

WYSIŁEK SAMORZĄDÓW

Przed zupełnie innymi wyzwaniem są związane z napływem tak znacznej liczby uchodźców stoją z kolei miejskie samorządy. Jak wykazało badanie przeprowadzone w kwietniu przez Centrum Analiz i Badań Unii Metropolii Polskich, aż 70 proc. wszystkich uchodźców skierowało się do największych metropolii.

Proporcjonalnie największy do swoich rozmiarów ciężar do udźwignięcia ma Rzeszów, w którym Ukraińcy stanowili na 1 kwietnia aż 35 proc. mieszkańców całego miasta. Jak mówi „Do Rzeczy” rzecznik prasowy prezydenta Rzeszowa Marzena Kłeczek-Krawiec, w maju sytuacja uległa

już zmianie. – Obecnie już tak wielu Ukraińców do Rzeszowa nie przybywa. Jeszcze w marcu czy kwietniu na nasz dworzec przyjeżdżało nawet 2 tys. osób dziennie, ale teraz przyjeżdża już tylko kilka, kilkanaście osób – mówi Kłeczek-Krawiec. – Część uchodźców pojechała dalej, do innych miast, a część została w Rzeszowie i tutaj na razie mieszka.

Mimo że populacja stolicy Podkarpacia ustabilizowała się na nowym, wyższym poziomie, wyzwaniom wciąż przybywa. Zdaniem rzecznika prezydenta Rzeszowa jako szczególnie wymagający przedstawia się obszar edukacji. – Rozmowy między władzami miasta a stroną rządową trwają, ponieważ Rzeszów ponosi w tej chwili bardzo duże koszty. Część z tych kosztów pokrywa rząd, oferując świadczenia pieniężne na zakwaterowanie i wyżywienie. My zgłaszamy zapotrzebowanie, środki są przyznawane i nasi pracownicy miejskiego ośrodka pomocy społecznej je wypłacają. Natomiast jeśli chodzi o koszty typowo miejskie, to trzeba powiedzieć przede wszystkim o edukacji – mówi Kłeczek-Krawiec. – Obecnie w szkołach mamy ok. 1 tys. dzieci z Ukrainy, ale zakładając, że mamy u siebie 100 tys. Ukraińców, wiadomo, że od września wszystko się zmieni. Uchodźcy nie wiedzą jeszcze, jak długo tu zostaną, i dlatego tylko część dzieci została zapisana do szkół, a część będzie chodzić do szkoły prawdopodobnie dopiero od nowego roku szkolnego. Z badania Unii Metropolii Polskich wynika, że mamy w Rzeszowie ok. 30 tys. dzieci, a to oznacza, że nie zmieszczą się w naszych szkołach i przedszkolach. Obawiam się, że dojdzie tu koszt budowy nowych szkół, oddziałów szkolnych i przedszkoli. Te koszty liczymy i rozmawiamy z rządem i Unią Europejską na temat pomocy.

KOSZTY ADMINISTRACYJNE

Rząd na początku marca przyjął speculację o pomocy dla uchodźców z Ukrainy, w ramach której oprócz wspomnianych już świadczeń pieniężnych przewidziano wprowadzenie różnego rodzaju ułatwień dla jednostek edukacyjnych, m.in. zniesione zostały dotychczasowe limity dzieci przypadających na jednego opiekuna. Lokale nie muszą także spełniać określonych standardów. Przy założeniu, że wojna na Ukrainie potrwa znacznie dłużej, samo poluzowanie przepisów może jednak nie wystarczyć, gdyż samorządy będą musiały zmierzyć się z koniecznością rozbudowy infrastruktury. Potrzebne będą nie tylko

nowe szkoły i przedszkola, lecz także nowe placówki medyczne, urzędowe i wiele innych.

Marzena Kłeczek-Krawiec zwraca na przykładzie Rzeszowa uwagę na jeszcze jedną niezwykle istotną kwestię. – Oprócz systemu edukacji jako miasto wzięliśmy na siebie obsługę administracyjną – wskazuje. – Zgłaszają się do nas uchodźcy, którzy chcą otrzymać PESEL. Musieliśmy w tym celu otworzyć dodatkowy punkt obsługi, gdzie pracownicy urzędu pracują w systemie zmianowym, także w soboty. Dodatkowo pracują też pracownicy miejskiego ośrodka pomocy społecznej. Obsługują oni wypłatę środ-

1 mln

TYTU MIESZKAŃCÓW MA JUŻ OBECNIE KRAKÓW, UWZGLĘDNIAJĄC IMIGRANTÓW Z UKRAINY

ków na zakwaterowanie i wyżywienie, świadczenia rodzinne, gdzie przyjęliśmy już ponad 600 wniosków dla ponad 1 tys. dzieci. Już w tym momencie przyjęliśmy już ponad 3 tys. wniosków o jednorazowe świadczenia pieniężne dla ponad 6 tys. osób. Wszystko to oznacza dodatkową pracę ludzi. Kolejna rzecz to pomoc medyczna. W Rzeszowie oprócz punktów dostępnych dla wszystkich, wraz z Centrum Medycznym Medyk, otworzyliśmy przychodnię specjalnie dla uchodźców z Ukrainy. Pracują w niej lekarze i pielęgniarki z Ukrainy, dzięki czemu nie ma bariery językowej. Pytania mieszkańców wzbudza na pewno to, że z opieki medycznej, i tak już obciążonej, korzystają dodatkowi mieszkańcy miasta. Obawiają się dłuższych kolejek do specjalistów i myślę, że rozwiązanie tego problemu jeszcze przed nami – dodaje.

Ogromne zaangażowanie Polaków w niesienie pomocy ofiarom wojny sprawia, że nie wybuchł żaden poważny konflikt na tle narodowościowym. Gdyby jednak obecny stan miał się przedłużać, istnieje prawdopodobieństwo, że kwestia ograniczonego lub utrudnionego dostępu do służby zdrowia, edukacji czy zasobów mieszkaniowych może przyczynić się do znacznego wzrostu niepokojów. Jeszcze przed wybuchem wojny w dużych polskich miastach dawał się zaobserwować kryzys związany m.in. z niewystarczającą

liczbą łóżek na szpitalnych oddziałach dziecięcych, który teraz daje o sobie znać ze zdwojoną siłą. Obecny entuzjazm wcześniej czy później przygaśnie i dlatego lepiej zawczasu przygotować się na tę sytuację, przyjmując odpowiednie rozwiązania systemowe.

SKAZANI NA AGLOMERACJE

Jedno z nich mogłoby polegać na próbie „relokacji” uchodźców do średnich i mniejszych ośrodków. Podstawowy problem polega jednak na tym, że przybywając do naszego kraju, Ukraińcy sami wybierali miejsce pobytu, w znacznej mierze kierując się dostępnością zasobów mieszkaniowych. Te zaś są w Polsce skumulowane w największych aglomeracjach, co czyni je niejako skazanymi na to, aby dźwigać większość ciężaru goszczenia uchodźców.

Zdaniem Wojciecha Kuca trudno sobie nawet w obecnej sytuacji ekonomicznej wyobrazić, aby miało być inaczej. – Miasta powiatowe posiadają pewien niewielki zasób mieszkań na wynajem. Nie zakładam, aby miała tam nagle przyjechać jakaś spora grupa osób. Jeśli jednak w pobliżu będzie jakiś duży zakład pracy, który będzie potrzebował dużej liczby pracowników, to z pewnością znajdzie dla nich odpowiednie lokale mieszkalne. Nie wiem jednak, czy poza tym tzw. Polska powiatowa da uchodźcom możliwość zarobkowania na poziomie, który zapewni im możliwość utrzymania i opłacenia wszystkich kosztów – mówi Kuc.

Na Polsce w pewnym sensie „mści się” to, że jej rozwój gospodarczy w ostatnich latach skupił się na największych ośrodkach, a wiele spośród byłych miast wojewódzkich i innych ośrodków średniej wielkości doświadczyło wręcz regresu. W efekcie napływ uchodźców jest nierównomierny i stwarza dla największych aglomeracji realne niebezpieczeństwo w postaci zachwiania struktury narodowościowej, nagłego zwiększenia kosztów ponoszonych przez samorządy bez odpowiadającego im wzrostu przychodów czy też występowania innych kosztów społecznych, które zaczną o sobie dawać znać dopiero wraz z upływem czasu.

WYSIŁEK W DOBIE RECESJI

Jednym z tego rodzaju problemów będzie niestety kwestia socjalna, gdyż przebywający na naszym terytorium uchodźcy to w zdecydowanej większości

kobiety i dzieci. Część z osób dorosłych znalazła już pracę na miejscu, część wykonuje pracę zdalną, a część dopiero rozgląda się za zajęciem. Polska gospodarka była jak dotąd niezwykle chłonna, jeśli chodzi o przyjmowanie pracowników zza wschodniej granicy, lecz zaczynająca się właśnie recesja i galopująca coraz szybciej inflacja mogą to zmienić. W obecnych warunkach znaczna część uchodźców będzie się trwale zaliczała do grona osób o najniższych dochodach. Siłą rzeczy nagły wzrost liczby mieszkańców żyjących w skromnych warunkach będzie się wiązał z występowaniem problemów charakterystycznych dla tego rodzaju grup społecznych. Po wprowadzeniu Polskiego Ładu budżety samorządów zostały uszczuplone, a rosnące koszty związane m.in. z wysokimi cenami energii czynią polskie miasta słabo przygotowanymi na przeznaczanie jeszcze wyższych kwot na pomoc dla ubogich uchodźców, którzy nierzadko stracili w wojnie dorobek całego życia.

Z przyczyn politycznych największe polskie miasta rządzone niemal w całości przez lewicowych polityków starannie pomijają rzeczywiste koszty niesienia pomocy uchodźcom, starając się akcentować rzekome korzyści płynące z rozbięcia dotychczasowej struktury narodowo-kulturowej polskich aglomeracji. Z ust prezydentów można usłyszeć m.in. o nadarzającej się okazji do stworzenia nowego, otwartego systemu szkolnictwa czy też wprowadzenia nowych standardów społeczeństwa multikulturowego. Swoją wymarzoną cel lewicowi politycy chcą jednak zrealizować w znacznym stopniu za pieniądze przekazywane im z budżetu centralnego. Tworząc w mediach swój wizerunek włodarzy multietnicznych metropolii o otwartych szeroko ramionach, prezydenci naciskają jednocześnie mocno na rząd, aby wziął na siebie znaczną część z ponoszonych kosztów.

Jak pokazują badania, spora część uchodźców przebywających obecnie w polskich miastach przekonuje, że po kilku miesiącach zamierza wrócić do swojej ojczyzny. Taki scenariusz byłby dla dużych miast najbardziej korzystny, lecz niestety wcale nie jest on najbardziej prawdopodobny. Całkiem realne jest niestety to, że goszczenie uchodźców z Ukrainy może się okazać w okresie narastającej recesji sporym balastem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



G2A ARENA

Centrum Wystawienniczo-Kongresowe
Województwa Podkarpackiego



Poznaj naszą przestrzeń
otwartą na Twój biznes

- * konferencje
- * koncerty
- * kongresy
- * targi
- * wystawy
- * gale
- * bankiety
- * imprezy okolicznościowe

**Zarezerwuj termin
na swój event!**

+48 790 707 384
+48 533 391 412
sprzedaz@g2aarena.pl
www.g2aarena.pl
Jasionka k. Rzeszowa

Granice gościnności



Wojciech Golonka

Polska zdała egzamin z pomocy. Nie możemy jednak unikać rozmów o tym, że Polacy ponoszą tego poważny ekonomiczny koszt. I że ściągamy na siebie wiele innych problemów

Podejmowanie tematu imigracji ukraińskiej w Polsce w dobie kryzysu uchodźczego zdaje się obrazoburcze i wywołuje gwałtowne, nieznoszące sprzeciwu reakcje. Samozwańczy cenzorzy debaty publicznej uznają dyskusję o tej kwestii za agresję werbalną na matki i dzieci uciekające do Polski przed rosyjskimi bombami i kulami, podczas gdy ich mężowie i ojcowie bronią Ukrainy przed najeźdźcą, stąd temat stał się społecznym tabu, przynajmniej do czasu zakończenia wojny, być może nawet z perspektywą ad calendas graecas.

Drugim powodem, dla którego wątek ten spotyka się rzeczywiście z ostrą krytyką, jest to, że stawia on niewygodne pytania wobec polityki rządu, nastawionej głównie na doraźność, w polityce zaś lepiej jest zdusić dyskusję w zarodku, jeśli to możliwe, niż dawać adwersarzom argumenty w wojnie podjazdowej mającej kruszyć poparcie sondażowe dla obozu władzy. Nie bez powodu premier Mateusz Morawiecki zapewniał z Davos, że Polska wręcz zarabia na obecności uchodźców, a w ogóle to poruszanie tej kwestii jest jątrzeniem właściwym dla skrajnej prawicy.

Trzecim, w końcu, powodem, dla którego podejmowanie pewnych tematów polityczno-społecznych jest nieefektywne, jest przedwczesność – gdy społeczeństwo nie dostrzega jeszcze ich zasadności. Kiedy widok z pokładu nie pokrywa się jeszcze z szerszą wizją z bocianiego gniazda, a tafla wody wciąż jest spokojna, niepokojący wszystkich majątek wychodzi na nawiedzzonego mściciela.

Oczywiście z tymi i innymi powodami można by przekonująco polemizować, wykazując zasadność dyskusji i debaty społecznej w tak istotnej i złożonej zarazem kwestii, ale przede wszystkim temat dość nieoczekiwanie zarzucił sam ambasador Ukrainy Andrij Deszczycia, który w wywiadzie dla Associated Press 20 maja pytał: „Martwię się, bo nie wiem, gdzie leżą granice tej gościnności, gościnności polskiego narodu. [...] Przyjęcie z ich strony jest ciepłe i zdrowe. Ale jak długo będą w stanie gościć uchodźców? Zarówno dla mnie, jak i moich rodaków jest zrozumiałe, że przecież istnieją pewne granice”. Ambasador wskazał przy tym, że w niedalekiej przyszłości mogą zaistnieć w Polsce napięcia społeczne związane z kryzysem uchodźczym, podsycane przez Rosję, ważne jest zatem, abyśmy sami byli w stanie

FOT. ATTILA HUSEJNOW/SPRA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

zdefiniować z jednej strony długotrwale znośną dla państwa i społeczeństwa formę pomocy ukraińskim uchodźcom, z drugiej – odpowiedzialne ramy dalszej imigracji ukraińskiej do Polski, która jest przecież wyraźnym zjawiskiem obserwowanym na przestrzeni ostatniej dekady, a która wraz z kryzysem uchodźczym z pewnością nabierze nowej dynamiki. Warto tu dodać, że imigracja do Polski nie jest jakimś abstrakcyjnym problemem, sztucznie rozdmuchiwany przez pravicową publicystykę – to zatwierdzona w 2020 r. przez prezydenta Andrzeja Dudę i kontrasygnowana przez premiera Mateusza Morawieckiego Strategia

3 mln

SZACUJE SIĘ, ŻE TYTU UKRAIŃCÓW UCHODźCÓW JEST OBECNIE W POLSCE

Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polski postulowała, że należy „opracować i prowadzić kompleksową politykę migracyjną, skoordynowaną z polityką bezpieczeństwa, polityką gospodarczą i społeczną, uwzględniającą zarówno bieżące, jak i prognozowane potrzeby rynku pracy, integrację migrantów ze społeczeństwem polskim, zapewniającą zachowanie spójności społecznej, jak i przeciwdziałanie możliwym zagrożeniom porządku i bezpieczeństwa publicznego związanym z procesami migracyjnymi”. O ile wiadomo, polityka taka nie została od tego czasu sformułowana, a enigmatyczne marzenie prezydenta Andrzeja Dudy o zniesieniu granicy między Polską a Ukrainą prawdopodobnie oznacza, że jej należyte zdefiniowanie pozostanie nieaktualnym życzeniem Biura Bezpieczeństwa Narodowego; trudno zatem mówić o przemyślanej polityce migracyjnej z naszej strony.

MINIMALNE WSPARCIE A SZCZODROŚĆ POLSKI

Zacznijmy jednak od tego, co najświeższe i wyraźniejsze, czyli największego kryzysu uchodźczego w historii Polski i Unii Europejskiej. Jak wskazał prezydent Andrzej Duda w swym przemówieniu przed Radą Najwyższą Ukrainy 22 maja, uciekający przed wojną obywatele Ukrainy „nie są dziś

w naszym kraju uchodźcami. Są naszymi gośćmi”.

Rzeczywiście, wobec tego niespotykanego napływu uciekających przed wojną mas ludzkich polskie władze wybrały najbardziej gościnną, ale zarazem problematyczną na dłuższą metę formę przyjęcia ukraińskich uchodźców, znacznie wykraczającą poza praktykowane standardowe programy podejmowania uchodźców wojennych w takiej skali. Wyzwania wiążące się z podobnym kryzysem uchodźczym sprowadzają się do zaspokojenia podstawowych potrzeb uchodźców i ich ewentualnego sfinansowania. Ramy tej podstawowej pomocy wyznaczają z kolei przepisy dyrektywy Rady Unii Europejskiej z 2001 r., uruchomionej jednogłośnie 3 marca 2022 r. na potrzeby uchodźców z Ukrainy, postrzeganych jako osoby „wysiedlone”. Dyrektywa wyznacza minimum, natomiast poszczególne państwa Unii mogą ją uzupełniać wedle własnej polityki wewnętrznej. Minimum to polega na zapewnieniu „wysiedlonym” dostępu do zakwaterowania, w tym środków finansowych dla osób niezdolnych do jego sfinansowania we własnym zakresie, zapewnienie podstawowej opieki medycznej i dostępu do edukacji.

W związku ze stosowaniem tej dyrektywy mogą zachodzić pewne paradoksy, kiedy np. zapewnienie dostępu uchodźcom do szkolnictwa oznacza tymczasową edukację ukraińskich dzieci w polskich klasach według naszych programów nauczania. Dla przykładu: polskie dzieci na uchodźstwie w czasie drugiej wojny światowej miały dostęp do polskiej edukacji na koszt państwa polskiego, które zorganizowało liczne placówki kształcenia w obozach i miejscach rozmięszczenia uchodźców, choć prawdą jest, że część ukraińskich dzieci w Polsce korzysta w rzeczywistości z nauki zdalnej w ukraińskich szkołach, we własnym języku. Z kolei dostęp na równi z polskimi pacjentami do systemu publicznej opieki zdrowotnej, a także dostęp do różnych benefitów socjalnych to już szczodra decyzja polskiego rządu. Wiadomo, decyzje te były podejmowane na szybko w sytuacji nagłej, jednak za tę nadzwyczajną hojną gościnność w stosunku do tak dużej liczby beneficjentów – hojność, której kosztów nie można nawet w całości oszacować do czasu zakończenia wojny na Ukrainie – zapłacić i już płacić summa summarum podatnicy.

Pełnomocnik rządu ds. uchodźców Paweł Szefernaker w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” dał do zrozumienia, że przeznaczone do pomocy uchodźcom agendy organizacji międzynarodowych nie zamierzają wypłacać uchodźcom w Polsce zwyczajowych z ich strony świadczeń w związku z podjętymi już przez nasz kraj, na nasz wspólny rachunek, działaniami. Być może intencją rządzących, oprócz pośpiechu i jakiejś przyjętej a priori wizji równościowej, wedle której uchodźca ma mieć te same prawa co rezydent, było zmobilizowanie uchodźców do podjęcia pracy w Polsce, na czym rządowi szczerze zależało. Sęk jednak w tym, że programy socjalne (będące z założenia stymulatorami demografii w Polsce) zostały przyznane jako zapomogi dla uchodźców niezależnie od faktu, czy zechcą podjąć u nas pracę, a dotychczasowe statystyki pokazały, że jedynie jedna czwarta uchodźców w wieku produkcyjnym podjęła w Polsce pracę, co być może jest dużo z punktu widzenia samej obiektywnej liczby nowych pracowników, ale mało z punktu widzenia całości. Kolosalne wydatki budżetowe po

24 mld zł

ROCZNY KOSZT PRZYJĘCIA UCHODźCÓW W POLSCE WEDŁUG ANALITYKÓW PEKAO

wszystkich już tarczach covidowych, a potem inflacyjnych nie są jednak jedynym odczuwalnym problemem w tej sytuacji, naznaczonej w dodatku galopującą inflacją.

Wbrew szantażowi moralnemu stosowanemu przez krytyków rozmowa o problemach ekonomicznych i społecznych generowanych przez kryzys uchodźczy jest zasadna właśnie dlatego, że Polska zdała egzamin z nagłej, masowej pomocy naszym sąsiadom w potrzebie i nikt o zdrowych zmysłach nie może sugerować, że ukraińskim matkom z dziećmi może grozić krzywda ze strony polskiego społeczeństwa. Problemy te zaś są rzeczywiste i odczuwalne, przynajmniej tam, gdzie jest codzienna styczność z kwestią uchodźczą: wymienione już olbrzymie koszty, a także np. postawy niewdzięczności i roszczeniowości, owszem, statystycznie nie do uniknięcia w takiej masie ludzkiej, ale niezwykle uciążliwe, gdy gospodarz ma podobnego lokatora ■

pod własnym dachem i nie ma się jak od niego uwolnić.

Dodajmy możliwe przeciążenie poszczególnych placówek szkolnych czy perturbacje wynikające z napływu takiej liczby uczniów nieznających naszego języka, a nawet prozaiczny, ale na dłuższą metę też kruszący cierpliwość społeczną element – wszechobecny czasem w niektórych miejscach język obcy, który sprawia, że ludzie mają prawo zadawać sobie pytanie, czy żyją jeszcze we własnym kraju.

NIE BAGATELIZOWAĆ

Otóż, jeśli nie istnieją nagle magiczne rozwiązania dla wymienionych bolączek, to już ich bagatelizowanie na dłuższą metę koliduje z odpowiedzialnością. Trwały kryzys uchodźczy, o wciąż niespotykanej skali mimo powrotu części uchodźców na Ukrainę, to nie krótkotrwały wysiłek gościnności, który polskie społeczeństwo przejawia dość ochoczo przy okazji corocznych pielgrzymek czy nadzwyczajnych wydarzeń, jak np. ugoszczenie uczestników Światowych Dni Młodzieży. Należy zresztą pochwalić decyzję rządu z połowy kwietnia, polegającą na wsparciu budowy miasteczek dla uchodźców na zachodniej Ukrainie, ale ten krok jedynie częściowo powstrzymuje dalsze piętrzenie problemu, a nie rozwiązuje problemów już zaistniałych w Polsce i nie daje odpowiedzi na postawione przez ambasadora Deszczycię oczywiste pytanie.

Można oczywiście, zwłaszcza przy obecnych nieznosnych cenach benzyny, prowadzić zakrojoną akcję propagandową o potrzebie dalszego samopoświęcenia na polu walki ze złowrogim Putinem, można wciąż próbować szantażu moralnego w stosunku do formułujących zastrzeżenia i krytykę, ale umożliwi to jedynie chwilowe zakrzywienie zasadnego pytania pozostawionego bez odpowiedzi przy jednoczesnym pogłębianiu braku zaufania części obywateli do własnego państwa. Ma się rozumieć, w ministerstwach i gabinetach politycznych oraz w samorządach zapewne masa ludzi – a przynajmniej dopingujemy, aby tak było – głowi się i troi, jak najsensowniej zaradzić obecnemu kryzysowi, i z pewnością różne doraźne ruchy mogą budzić podziw całego świata, by wspomnieć tylko miasto, które było przyczółkiem kluczowej podstawowej pomocy humanitarnej dla przybywających z Ukrainy mas uchodźców, Przemysł, z pre-

zydentem Wojciechem Bakunem na czele. Ale czy istnieje w państwie, choćby nieoficjalnie, jakaś zdefiniowana długofalowa strategia – i wobec kryzysu uchodźczego... i wobec samego zjawiska ukraińskiej imigracji do Polski? Czy w ogóle jest coś złego albo wrogiego w posiadaniu wizji natury metapolitycznej, która dotyczy np. integracji „migrantów ze społeczeństwem polskim, zapewniającej zachowanie spójności społecznej, jak i przeciwdziałanie możliwym zagrożeniom porządku i bezpieczeństwa publicznego związanym z procesami migracyjnymi”, by wspomnieć dokument zatwierdzony dwa lata temu przez prezydenta i premiera?

MULTIKULTURALIZM Z MNIEJSZOŚCIĄ UKRAIŃSKĄ

W rzeczywistości jeszcze przed wojną mieliśmy do czynienia z milionową diasporą ukraińską w Polsce, a w efekcie rosyjskiej agresji na Ukrainę powstanie w naszym kraju wręcz kilkumilionowa mniejszość ukraińska – sam premier Morawiecki szacuje, że ok. 70 proc. uchodźców zostanie po wojnie na stałe w Polsce! Z jednej strony część z nich może nie mieć gdzie wrócić, tym bardziej jeśli chodzi o tereny anektowane przez Rosję, z drugiej – trzeba pamiętać o obsesji rządu

znać, że ten model asymilacji dawno został zarzucony, przynajmniej w zachodniej Europie, targanej zjawiskiem wielowspółnotowości rozsadzającej de facto społeczeństwo – a przecież i sama II Rzeczpospolita nie była wolna od tego zjawiska napięć, które, kiedy zabrakło państwa polskiego, zakończyły się tragedią.

Jaki mamy zatem pomysł, aby w dobie skrajnego liberalizmu, kiedy nie jesteśmy w stanie ani zjednoczyć skrajnie podzielonego społeczeństwa, ani zaszczerpić poczucia dumy narodowej u części polskich dzieci, dokonać skutecznej asymilacji mas z kraju o własnej silnej dumie narodowej, a który w dodatku postrzega nas historycznie jako niesprawiedliwego onegdaj kolonizatora? Jaki mamy pomysł, aby potencjalna kilkumilionowa mniejszość narodowa nie była rozgrywana politycznie przeciw naszym interesom i wartościom, skoro nie jesteśmy w stanie ukrócić zjawiska rozgrywania naszego własnego społeczeństwa przez najróżniejsze NGO finansowane z zagranicy, a partii politycznych przez zagraniczne stronnictwa?

Przez ostatnich osiem lat, głównie na potrzeby polityki wewnętrznej, a także zapewne w wyniku poczucia odpowiedzialności za kraj, obóz Zjednoczonej Prawicy ochoczo kpił z dysfunkcji zachodnich społeczeństw multikulturowych i towarzyszącej im nowomowy przedstawiającej dysfunkcję jako sukces: „imigracja jest szansą”, „różnorodność jest wartością”, „przeszłość [kolonizatorska] wymaga oczyszczenia” etc. Problem w tym, że załączki tej retoryki widoczne są już od lat w Polsce, a wraz z kryzysem uchodźczym stają się popularnymi sloganami, pozwalającymi zrobić dobrą minę do złej gry. Prawdą jest, że w polityce należy działać w oparciu o realizm, a przez to wystrzegać się idealizacji i utopii – różne bolączki społeczne były, są i będą, ale to właśnie realizm nakazuje przypomnienie, że celem państwa jest strzeżenie praw obywateli i narodowego dobra wspólnego. Masowa imigracja, brak silnych mechanizmów asymilacji, już istniejące tarcia narodowe na rynku pracy (obszerny odrębny temat) i odczuwalna gdzieś niecierpliwość społeczna – to gotowy przepis na przyszłe problemy, nad którymi trzeba pochylić się zawsze. Zgodnie z naszymi cechami narodowymi nie należy obawiać się, że Polakom zabraknie serca dla potrzebujących, ale rozumu i przezorności, gdy idzie o ich własne dobro.

25 proc.

TYTU UCHODźCÓW W WIEKU PRODUKCYJNYM PODJĘTO W POLSCE PRACĘ

i dużych korporacji wypełniania polskiego rynku pracy pracownikami zza granicy. Abstrahuując od tej niebotycznej skali, nie uważam przy tym, że sam napływ imigrantów, w tym imigrantów zarobkowych, oznacza z automatu problemy nie do rozwiązania. Dla przykładu: francuscy nacjonałści gardłowali w okresie międzywojnia wobec napływu kilkuset tysięcy Polaków, sprowadzanych do Francji po hekatombie pierwszej wojny światowej, kiedy brakowało rąk do najcięższej pracy, w kopalniach i hutach. Ich obawy zaburzenia jednoci społecznej okazały się jednak płonne – III Republika, ze swą wymagającą szkołą, skutecznie wychowywała dzieci przybyłych imigrantów na francuskich obywateli. Jeśli Polacy podobnie asymilowali się na całym świecie, to trzeba przy-

Program „Mój Prąd 4.0”

Ruszył program „Mój Prąd 4.0”. Ile dofinansowania można otrzymać?

W połowie kwietnia ruszyła kolejna odsłona rządowego programu „Mój Prąd”. Jednym z jego nadrzędnych celów, podobnie jak w poprzednich edycjach, jest zwiększenie produkcji energii elektrycznej z mikroinstalacji fotowoltaicznych. W programie pojawiło się też kilka istotnych zmian

Jakie są główne założenia programu „Mój Prąd 4.0”?

Ubiegłoroczny program „Mój Prąd 3.0” zakończył się dużym sukcesem – ze względu na znaczne zainteresowanie dofinansowaniem pula środków została w całości wyczerpana. Kolejna edycja programu będzie musiała funkcjonować na nowych zasadach, z uwagi na konieczność dostosowania przepisów krajowych do unijnego prawa, a także z powodu ograniczonych możliwości sieci przesyłowych.

Priorytetem programu „Mój Prąd 4.0” jest nie tylko wzrost produkcji z instalacji fotowoltaicznych, lecz także poprawa w zakresie autokonsumpcji wytworzonej energii oraz bardziej efektywne nią zarządzanie.

Co się zmieniło w porównaniu z poprzednią edycją programu?

Od 1 lipca tego roku będzie obowiązywał nowy system rozliczeń energii produkowanej w mikroinstalacjach fotowoltaicznych zwany net-billingiem, który zastąpi dotychczas obowiązujący system opustów (net-metering). Dotyczy on nowych prosumentów (którzy wytwarzają energię elektryczną w instalacji odnawialnego źródła energii, której przyłączenie do sieci elektroenergetycznej i wprowadzenie z niej energii elektrycznej do sieci dystrybucyjnej elektroenergetycznej po raz pierwszy nastąpiło po 31 marca 2022 r.) oraz tych, którzy dobrowolnie zdecydowali się na zmianę sposobu rozliczeń. W net-billingu nadwyżki energii wprowadzane do sieci będą rozliczane wg średniej ceny rynkowej, a za energię pobraną prosument zapłaci zgodnie z posiadaną umową.

W przestrzeni publicznej pojawiają się pytania, czy net-billing może być mniej korzystny niż obowiązujący wcześniej system opustów, w którym rozliczenia

nadwyżek wytworzonej energii elektrycznej następowały w proporcji 1:0,7 albo 1:0,8 – w zależności od mocy instalacji. Przewaga systemu opustów nie jest jednak oczywista, ponieważ trudno przewidzieć, jak w przyszłości będą kształtowały się ceny energii. Natomiast program „Mój Prąd 4.0” obejmuje wsparciem nie tylko instalacje fotowoltaiczne, lecz także inne urządzenia. Wiele więc zależy od szczegółów inwestycji i od tego, na jakie konkretne rozwiązanie zdecyduje się prosument.

– W programie „Mój Prąd 4.0” można otrzymać dotację nie tylko na instalację fotowoltaiczną o mocy od 2 do 10 kW, lecz także magazyny energii i ciepła oraz inteligentne systemy zarządzania energią (HEMS/EMS). Powinno się to przełożyć na wzrost autokonsumpcji energii wytworzonej przez mikroinstalację fotowoltaiczną poprzez jej magazynowanie, a także precyzyjne sterowanie produkcją i zużyciem. W efekcie mniej prądu ma trafić do sieci przesyłowej – mówi Remigiusz Markizański Kierownik Wydziału Sprzedaży Paneli Fotowoltaicznych Energa Obrót S.A.

Komu przysługuje dotacja i w jakiej kwocie?

Tak jak w poprzednich edycjach o dotację mogą się starać osoby fizyczne wytwarzające energię na własne potrzeby, które mają zawartą umowę kompleksową (są stroną tej umowy) regulującą kwestie związane z wprowadzeniem do sieci energii elektrycznej wytworzonej w mikroinstalacji.

Dofinansowanie nie może przekroczyć 50 proc. kosztów kwalifikowanych. – Na samą instalację fotowoltaiczną można otrzymać do 4 tys. zł lub do 5 tys. zł, jeśli zostanie dokupiony magazyn energii lub ciepła albo system zarządzania energią HEMS/EMS. Z kolei na zakup magazynu energii elektrycznej maksymalna dotacja wynosi do 7,5 tys. zł, a na magazyn ciepła do 5 tys. zł na jedno przedsięwzięcie. Dodatkowo prosument może jeszcze dostać do 3 tys. zł na inteligentny system zarządzania energią HEMS/EMS. W sumie łączna kwota dotacji z programu „Mój Prąd 4.0” może wynieść nawet do 20,5 tys. zł na jedno przedsięwzięcie – dodaje Remigiusz Markizański Kierownik Wydziału Sprzedaży Paneli Fotowoltaicznych Energa Obrót S.A.

Na takie samo wsparcie mogą liczyć prosumenci, którzy zrealizowali inwestycję między 1 lutego 2020 r. a 31 marca 2022 r. i do tej pory nie otrzymali jeszcze dotacji z programu „Mój Prąd”. Warunkiem przyznania dofinansowania jest przejście z systemu rozliczania wyprodukowanej energii net-metering na net-billing.

Co więcej, o dotację mogą również wnioskować prosumenci, którzy otrzymali już dotację w poprzednich edycjach programu i teraz przejdą na net-billing. W takim przypadku mogą liczyć na grant na instalację fotowoltaiczną w wysokości do 2 tys. zł, a także środki na magazyn energii, ciepła i system zarządzania HEMS/EMS.

Na realizację czwartej edycji programu „Mój Prąd” zaplanowano do 855 mln zł.

Jakie warunki należy spełnić?

Nabór wniosków trwa od 15 kwietnia 2022 r. do 22 grudnia 2022 r. z możliwością przedłużenia tego terminu lub do wyczerpania alokacji środków. Wsparcie jest udzielane na inwestycje już zakończone, przy czym zainstalowane urządzenia muszą być nowe, tzn. wyprodukowane w ciągu dwóch lat przed ich montażem. Dofinansowaniem objęte są koszty kwalifikowane poniesione w okresie od 1 lutego 2020 r. do 31 grudnia 2023 r. Program Mój Prąd można łączyć z ulgą termomodernizacyjną, ale nie z programem „Czyste Powietrze”.

Wniosek o dotację można złożyć tylko elektronicznie za pomocą Generatora Wniosków o Dofinansowanie (GWD) dostępnego na stronie internetowej NFOŚi-GW. Wysyłając wniosek, trzeba pamiętać o dołączeniu odpowiednich dokumentów, w tym m.in. potwierdzenia przyłączenia mikroinstalacji do sieci, zaświadczenia/oświadczenia o rozliczaniu energii w systemie net-billing, faktury sprzedaży czy pełnomocnictwa (pod warunkiem, że zostało udzielone). – Gdy klient zawrze z nami umowę na dostawę i montaż instalacji fotowoltaicznych, nasz doradca może zająć się wszystkimi formalnościami i pomoże uzyskać dofinansowanie – mówi Remigiusz Markizański Kierownik Wydziału Sprzedaży Paneli Fotowoltaicznych Energa Obrót S.A.



Piotr Semka

Po rozstaniu „Newsweeka” z Tomaszem Lisem nikt na prawicy nie płakał. Ale cierpkich słów pod adresem tego publicysty nie szczędzi także lewa strona politycznego sporu. Co spowodowało, że Lis zamienił się w oszalałego inkwizytora traktującego „Newsweek” jak młot do walki i zemsty przeciw politycznym adwersarzom? Jak to się stało, że Tomasz Lis stał się własną karykaturą?

Odejście Tomasza Lisa z „Newsweeka” stało się medialną sensacją. Naczelný tego tygodnika został zwolniony w sposób, który zaskoczył całą redakcję. Dziennikarze nie mieli o niczym pojęcia. Jeszcze w poniedziałek odbyło się zwykłe kolegium z udziałem Lisa, a już we wtorek zespół dowiedział się o zwolnieniu szefa. Sam Lis pożegnał się ze swoimi podwładnymi w bardzo wstrzemięźliwy sposób. „Jest czas powitań i czas pożegnań. Serdecznie dziękuję moim koleżankom i kolegom z »Newsweeka« za dziesięcioletnią wspólną pracę, fascynującą przygodę w niezwykłych czasach. »Newsweek« jest w doskonałych rękach i ma przed sobą świetną przyszłość. Powodzenia”.

Wszyscy, którzy pamiętają dosyć burzliwe rozstania Lisa z jego poprzednimi macierzystymi redakcjami, są zaintrygowani. Jeden z przedstawicieli biznesu medialnego mówi: „To typowy przykład cichego wykopania gwiazdy z gwarancją milczenia po obu stronach. I to gwarancją opłaconą grubymi pieniędzmi”.

To dość niespodziewane rozstanie Lisa z koncernem Ringier Axel Springer wywołało jednak w mediach nieporównanie mniej emocji niż w wypadku wcześniejszych „wielkich odejść” znanego dziennikarza z TVN, Polsatu czy „Wprost”. Owszem, tradycyjny obóz jego zwolenników już po raz któryś snuje podejrzenia, że za odejściem stały niejasne naciski PiS, ale tym razem nawet najbardziej zaangażowane

w polską wojnę domową media nie rozpisują się na ten temat zbyt szeroko. Za to młodsza generacja dziennikarzy pisze o Lisie w dość bezlitosny sposób. Publicysta „Dziennika Gazety Prawnej” Marceli Sommer komentuje: „Jeśli [Lis] nie dostanie natychmiast angażu w Big Media (a trochę nie wiem, gdzie miałby dostać), wróżę red. Lisowi turbodołowanie szulskiego dryfu [...] za rok-półtora smaganie ukrytych agentów kaczora-dyktatora ze schowka na szczotki”.

Równie niewiele współczucia dla niedoli niegdysiejszego gwiazdora telewizji ma głośny aktywista gejowski Bart Staszewski: „Za Tomaszem Lisem nie będę płakał. Jest to osoba odpowiedzialna za polaryzację debaty społecznej. Oby poszedł na dziennikarską emeryturę”.

O ile prawica nigdy za Tomaszem Lisem nie przepadała, o tyle zmęczenie znanym gwiazdorem po lewej stronie to nowe zjawisko. Co takiego w ciągu ostatnich 20 lat zrobił cudowny chłopak



Slalomem po spalonej ziemi

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

z Zielonej Góry, że wymęczył swoją osobą tak różnych publicystów?

WIECZNA GORĄCZKA

Jeśli już odchodzić, to z przytupem. Tomasz Lis w ostatnim numerze sygnowanym jego nazwiskiem jako naczelny zamieścił obszerny trzystronicowy manifest o nazwie „Czwarta pseudowładza”. Ogłosił w nim: „W Polsce wolnych mediów już nie ma. Jest kilka wolnych redakcji. Nie trzeba niestety wszystkich palców obu rąk, żeby je zliczyć”. Tekst Lisa to budzący zażenowanie zapis tłumienia świadomości, w którym pojawia się teza, że wpływy PiS i agencji Jarosława Kaczyńskiego są już niemal wszędzie. Lis przypomnia np. casus Krzysztofa Skórzyńskiego z TVN, którego nazwisko pojawiło się w e-mailach Michała Dworczyka.

Tekst zawierał ulubioną tezę szefa „Newsweeka”, którą formułował on już od dobrych pięciu lat. W jej myśl najgorszym zagrożeniem dla demokracji są symetriści, czyli ci dziennikarze, którzy w opinii Lisa tchórzliwie nie dołączają do obozu totalnej wojny z obecną władzą i wypominają błędy zarówno rządowi, jak i opozycji. Wielu obserwatorów rynku medialnego wskazuje, że te oskarżenia formułowane w coraz bardziej fantastycznych odśtonach zaczęły męczyć i drażnić nawet – początkowo bardzo wyrozumiałych wobec Lisa – szefów koncernu Ringier Axel Springer.

Kiedy w kwietniu br. „Newsweek” skomentował wizytę Joe Bidena w Polsce fotomontażem z wielkim prezydentem USA i trzymanym za rączkę małym prezydentem Polski, wiele osób znających wyczulenie amerykańskiej ambasady przepowiadało Lisowi kłopoty. Jeszcze inni analitycy rynku medialnego wskazują, że sprawa była o wiele prostsza. Jeden z przedstawicieli agencji reklamowej mówi: „Już od dawna docierały do mnie informacje, że Lis zamienił się w swej redakcji w brutalnego aroganta pewnego swojej pozycji. Z tego, co słyszałem, lekceważył polski zarząd Ringier Axel Springer, wierząc, że ma solidny parasol w postaci życzliwości niemieckiej centrali Springera”.

Krytycy wskazywali też jednak na rosnące rozczarowanie szefostwa koncernu treścią tygodnika. Jeden z dziennikarzy zbliżonych do „Newsweeka” mówi: „Na szczytach zarządu złośliwie mawiano, że »Newsweek« to jedyny polski tygodnik, który składa się wyłącznie z okładek. Artykuły pisane przez dyżurne wojujące dzien-

nikarki, takie jak Renata Grochal czy Renata Kim, były tekstami, które ilustrowały głównie osobiste mniemania Lisa o tym, jak wygląda polityka. A okładki bywały niekiedy tak agresywne i brutalne, że sami dziennikarze »Newsweeka« przyjmowali je często z niesmakiem”.

Istotnie, jeżeli przejrzeć covery tygodnika z ostatnich pięciu lat, to można powiedzieć, że przekraczane były wszelkie granice dobrego gustu. Słynna okładka z głową młodego ministranta na wysokości rozporzeczki księża wywoływała oburzenie nie tylko osób wyczulonych na antyklerykalizm. Macierewicz w stroju taliba, Kaczyński z napisem „Dzień świra” – „Newsweek” swoimi okładkami zbliżał się do stylistyki „Nie” Jerzego Urbana.

Równie płomienna była też aktywność publicystyczna samego Lisa. Jego wstępniaki były pisane wyłącznie na najwyższym poziomie ostentacji i patosu. Tak naprawdę co tydzień pisał on ten sam tekst. Podobny charakter miało jego konto twitterowe, gdzie oprócz rzadkich nawiązań do sportu dominował gromki język dopingowania opozycji do coraz ostrzejszej walki z kaczynem. Wszystko z użyciem języka totalnej wojny i zapowiedzi totalnej rozprawy po odsunięciu PiS od władzy.

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” w 2018 r. głosił, że zemsta to nie jest dobry sposób na odzyskanie władzy. Ale jednocześnie ostrzegał: „To nie znaczy, że nikt nie zapłaci. Propagandiści nie mają prawa pracować w telewizji polskiej po przełomie. A wśród polityków jest – moim zdaniem – grupa przestępców. Łamanie konstytucji to zbrodnia. Ale poza tym musimy jasno mówić, że nikt nie będzie obywatelem II kategorii. Z jednej strony stanowczość, ale z drugiej powściągliwość i otwartość”.

Każdy, kto czytał te zdania, mógł podejrzewać, że sam Lis chętnie zostanie sędzią, który będzie wydawał werdykt, kto jest propagandzistą, a kto nie. A „ściąganie przestępców” będzie przedstawiał jako ochronę demokracji. Gorączka emocjonalna Lisa rosła w tak szybkim tempie w ostatnich latach, że w trakcie rytualnego już spotkania tzw. trzódki w TOK FM jeden z jej uczestników Jacek Żakowski zaczął na antenie kpić z groteskowej pryncypialności „Tomka”.

Co spowodowało, że niedługo – jeśli nie lubiany, to ceniony – dziennikarz zamienił się w oszałałego inkwizytora traktującego „Newsweek” jak młot walki i zemsty przeciw politycznym adwersarzom. Jak to

się stało, że Tomasz Lis stał się własną karykaturą?

DZIECKO SZCZĘŚCIA

Gdyby nie upadek komunizmu, Tomasz Lis mógłby być znany głównie jako dziennikarz tekstów ukazujących się na łamach „Sztandaru Młodych”. Ta zapomniana już dzisiaj gazeta była organem Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej – młodzieżowych przybudówek do PRL-owskiego aparatu władzy. Jak podaje Wikipedia, „debiutował w prasie tekstem na temat warszawskich barów mlecznych opublikowanym 8 listopada 1984 r. na łamach »Sztandaru Młodych«, dla którego pisał artykuły i reportaże przez kolejnych kilka lat”. Jak się zdaje, był to wyrazisty wybór ideowy, gdyż nikt nie pamięta udziału Tomasza Lisa, który studiował na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, na happeningach i manifestacjach warszawskiego NZS.

Przyjechał do Warszawy z Zielonej Góry. Nie ukrywa w wywiadach, że jego ojciec należał do PZPR. Nie znaczy to, że Lis nie postanowił wykorzystać szansy, jaką dawało powstanie III RP. Będąc na czwartym roku studiów dziennikarskich, wygrał otwarty konkurs na reportera Telewizji Polskiej.

Miał „parcie na bramkę”. Dysponował dobrymi warunkami fizycznymi (był wysoki, przystojny, z dobrze ustawionym niskim głosem). Nic dziwnego, że zwrócono na niego uwagę w TVP. Już 3 maja 1990 r. prowadził pierwsze w życiu wieczorne wydanie „Wiadomości”. Dwa miesiące po rozpoczęciu pracy w TVP przeprowadził wywiad z prezydentem RP Wojciechem Jaruzelskim, który pozostał jego zwolennikiem aż do końca swoich dni. Gdy jesienią 1990 r. prezydenturę wygrał Lech Wałęsa, a do władzy doszli gdańscy liberałowie na czele z Janem Krzysztofem Bieleckim i Donaldem Tuskiem, Lis przeżył swoje pierwsze polityczne zauroczenie. Bardzo szybko zdobył sympatię Wałęsy i życzliwość liberałów, którzy wówczas odgrywali ważną rolę w telewizji. Wtedy też zyskał wsparcie dwóch ważnych postaci – Grzegorza Miecugowa i Milana Subotica, którzy dbali, aby Tomasz Lis stał się twarzą „Wiadomości” TVP.

Nadzieje w nim pokładane chłopak z Zielonej Góry spełnił w czasie nocy obalenia rządu Jana Olszewskiego w 1992 r. Według wielu osób dbał, by przekaz informacyjny był zgodny z zamierzeniami Wałęsy i jego operacją ukręcenia głowy

lustracji. W 1994 r., po wygranej SLD, Lis postanawia na wszelki wypadek usunąć się z linii strzału i wyjeżdża jako korespondent TVP do Stanów Zjednoczonych. Gdy wraca do kraju, zaczyna już powstawać telewizja TVN, w której tworzy magazyn „Fakty”, znów razem z Micugowem i Suboticiem.

Jest to okres jego największej popularności. Jako prowadzący główne wydanie „Faktów” od poniedziałku do piątku wykorzystuje obserwacje, które zdobył w czasie pobytu w USA. Staje się czymś w rodzaju bóstwa dla generacji młodych ludzi, którzy wierzą, że III RP to kraina nieograniczonych możliwości.

Po latach Lis wyznał, że już w momencie powstawania Platformy Obywatelskiej w 2001 r. Donald Tusk proponował mu akces do nowej partii. Potem, w 2004 r., Platforma proponowała mu atrakcyjne miejsce na liście w wyborach do europarlamentu. Lis nie zdecydował się przyjąć zaproszenia Platformy, ale jednocześnie wizja kariery politycznej jakoś go kusila. Jego książka „Co z tą Polską” wywołała furorę wśród ówczesnych 20-latków, spotkania autorskie zaczynały przypominać wiece polityczne. Gdy w sondażu przeprowadzonym na zlecenie „Newsweeka” okazało się, że miałyby pewne szanse w wyścigu prezydenckim, zareagował na te wyniki słowami: „Szok, muszę to przemyśleć”.

Takie postawienie znaku zapytania nad ewentualną karierą polityczną okazało się nie do przyjęcia dla szefa TVN Mariusza Waltera. Lis wyleciał ze stacji z ul. Wiertniczej. Jak wtedy mówiono, jego szefowie obawiali się sytuacji, w której Lis będzie z jednej strony korzystał z priorytetowej roli prowadzącego „Fakty”, a z drugiej strony, mając zapewnioną medialną popularność, będzie powoli przygotowywał się do wyborów prezydenckich w 2005 r. 10 lutego 2004 r. zwolniono go więc pod zarzutem niedotrzymania warunków umowy.

Lis początkowo zapowiadał pozwanie stacji za to zwolnienie, ale w końcu doszło do ugody. Sięgnęli wtedy po niego Zygmunt Solorz i jego stacja Polsat. Lis nie był już prowadzącym, ale miał w głównym programie informacyjnym zarezerwowany czas codziennego komentatora. Co istotne, w tym czasie Lis, który rozszedł się ze swoją żoną Kingą Rusin, według licznych pogłosek przeformował swoją nową partnerkę, Hannę Smoktunowicz, na szefa „Wydarzeń”.

Do legendy przeszły liczne nietakty Lisa i jego nowej partnerki w czasie pracy w Polsce w stosunku do zespołu „Wy-

To Donald Tusk będzie podejmował decyzje o ewentualnej zgodzie na wejście Lisa do PO.

Problem w tym, że to już przyblakła gwiazda

darzeń”. W czasie ostatnich dni życia Jana Pawła II Lis i jego partnerka mieli zamówić całemu zespołowi zwyczajne obiady, a dla siebie zarezerwować osobno wielką tacę z sushi. „Może chcecie, bo my już nie możemy” – te domniemane słowa Hanny Smoktunowicz-Lis stały się wówczas hitem rozmów w warszawskim środowisku dziennikarskim. Lis był wówczas także autorem bardzo popularnego programu publicystycznego „Co z tą Polską?”.

W 2007 r. Lis zostaje odsunięty od kierowania „Wydarzeniami” przez Zygmunta Solorza i odchodzi ze stacji. Ogłasza na prawo i lewo, że jego zwolnienie było wynikiem nacisku PiS, natomiast z wewnątrz Polsatu dochodziły głosy, że maniery gwiazdora i jego apetyty finansowe przekraczały wszelkie granice.

Tak naprawdę odejście z Polsatu było początkiem zjazdu w dół w karierze Lisa. W 2010 r. został naczelnym tygodnika „Wprost”, ale po półtora roku zwolniono go pod zarzutem konfliktu interesów ze stworzonym przez Lisa portalem naTemat.pl. W 2012 r. Lis obejmuje stanowisko redaktora naczelnego polskiej edycji „Newsweeka”. Nie zakończyło to problemów z jego stylem bycia, który zaczął wywoływać coraz więcej zastrzeżeń. Gdy w 2019 r. został felietonistą bulwarówki „Fakt”, już po krótkim czasie kierownictwo Ringier Axel Springer Polska zrezygnowało ze współpracy z nim wskutek krytyki części pracowników gazety. Atrakcyjność straciły też programy publicystyczne Lisa, które miały w sieci przyciągać tyle samo widzów co w telewizjach. Tak się nie stało. Czar Lisa minął.

Za to coraz wyraźniej wchodził on w rolę ognistego uczestnika wojny polsko-polskiej. Widywany był w pierwszych szeregach Komitetu Obrony Demokracji. Ostatnią jego misją była kampania na rzecz powrotu Donalda Tuska do krajowej polityki. Ale Lisa zawodził już dziennikarski słuch. Okładka „Newsweeka” z Tuskiem na białym koniu wzbudzała wśród dziennikarzy powszechne kpiny.

Brak sukcesów Tuska nałożył się na coraz bardziej nerwowe felietony Lisa na łamach „Newsweeka”. Niegdyś gwiazdor zaczął dreptać w miejscu.

KIBIC, KTÓRY WIE LEPIEJ

Bardzo często określa się dzisiaj Donalda Tuska jako politycznego weterana świata, który już nie istnieje. Coś podobnego można powiedzieć także pod adresem Tomasza Lisa. Był dziennikarzem pracowitym i pełnym inwencji, ale długo niosł go w górę życzliwość i sympatia politycznych tużów III RP. Na koncie miał bardzo przypochlebne reportaże o premierze Leszku Millerze czy zorganizowanie fety z okazji urodzin Donalda Tuska w studiu telewizyjnym. A jednak Lis nieodmiennie od lat lubi występować w roli arbitra etyki dziennikarskiej i dąży do zrozumienia, że stanie kiedyś na czele gremiów, które będą rozprawiać się z dziennikarzami sytuującymi się po prawej stronie.

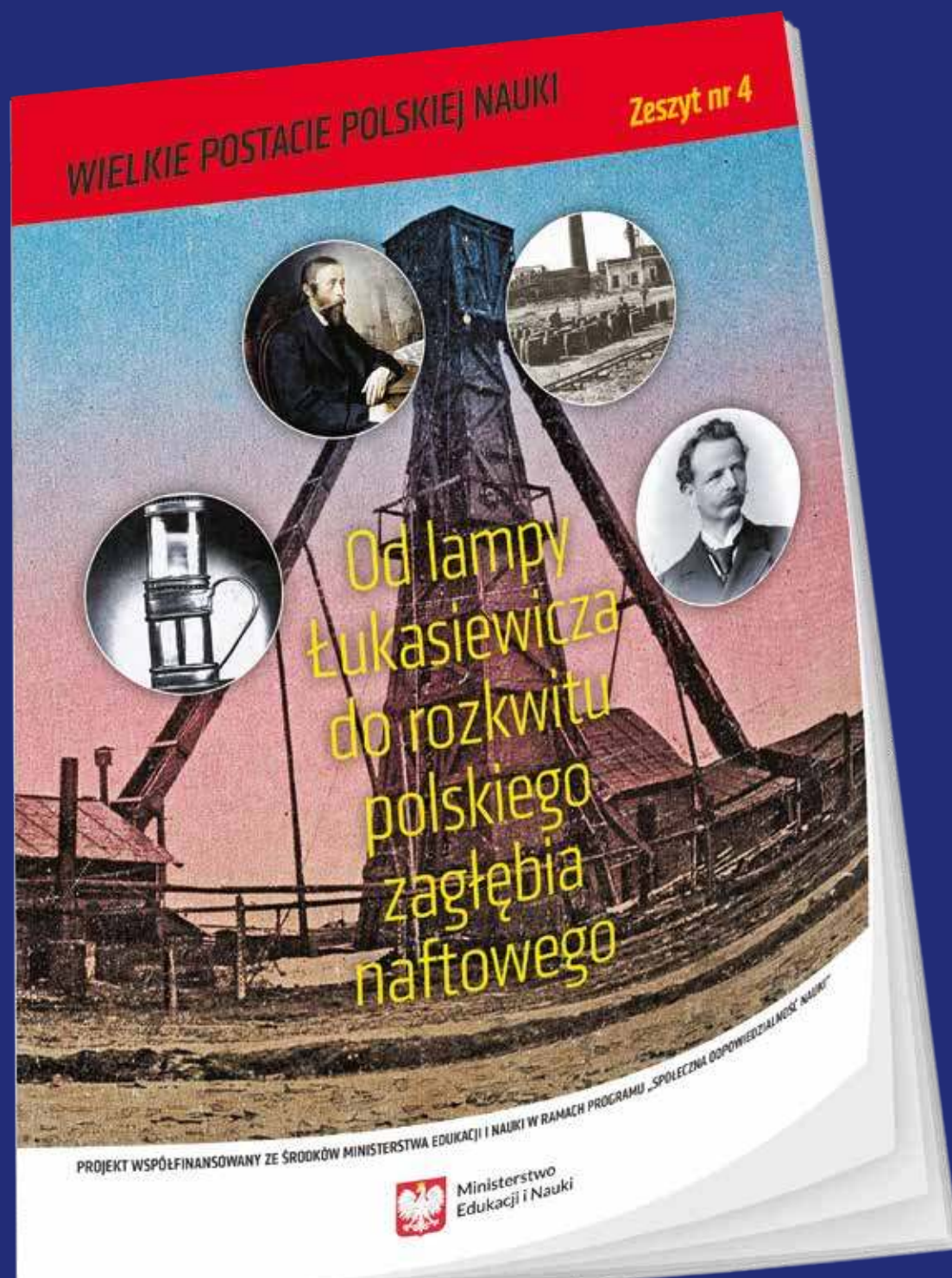
Coraz większe zaangażowanie emocjonalne w konflikty zbiegło się z silnym przebiegiem udaru, który mocno uszczuplił jego zdrowie. A jednak po powrocie do aktywności Lis nie zwolnił tempa. W końcu jego płonące zaangażowanie w politykę zaczął mieć dosyć sam Ringier Axel Springer. Co teraz zrobi? Jeden z analityków firm medialnych mówi: „W przypadku Lisa przypomina się znany filmowy cytat: »Do Bydgoszczy będę jeździł, a tu nie będę kupował« (»Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz«). Lis ma już poobrażane wszystkie medialne firmy i wszędzie za sobą zostawił spaloną ziemię. A jednocześnie nie ma zbyt wielu ofert pracy, które pasowałyby do skali jego ambicji”.

Jedni powtarzają plotki, że Lis ma wyjechać do Stanów na jakieś stypendium, inni zastanawiają się, czy przypadkiem nie pójdzie do polityki. Paweł Kowal z PO zapytany o szanse Lisa odpowiada: „Na pewno w kampanii [PO] by się przydał. Widzę go na naszych listach, to byłoby spore wzmocnienie [...], od dawna go ciągnęło do polityki, więc może wreszcie to zrealizuje”.

Słowa Kowala brzmią pozornie zachęcająco, ale to Donald Tusk będzie podejmował decyzje o ewentualnej zgodzie na wejście Lisa do PO. Problem w tym, że były prezenter „Faktów” i „Wiadomości” to już przyblakła gwiazda. Lis może nie być atrakcyjny ani w nowej roli medialnej, ani w polityce. Żadna bajkowa passa nie może trwać wiecznie. Choć sam Lis pewnie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 1753148712

RYSZARD GROMADZKI: Hasło zakończonego kilka dni temu Forum Ekonomicznego w Davos brzmiało: „Historia w punkcie zwrotnym – polityka rządów i strategię biznesowe”. Ludzie, którzy aspirują do roli architektów światowego ładu, chyba wiedzą, co mówią. Rzeczywiście jesteśmy w czasie największego od dekad przełomu geopolitycznego, społecznego i ekonomicznego?

JAN MARIA JACKOWSKI: Sądzę, że powszechnym doświadczeniem osób, które wnikliwie obserwują otaczającą nas rzeczywistość w aspekcie ideowym, geopolitycznym, gospodarczym, społecznym czy kulturowym, jest intuicyjne przekonanie, że jesteśmy w momencie przełomowym. Wiele z tych osób ma poczucie, że przychodzi kres świata, który znamy od kilkudziesięciu lat, i czekają nas zmiany w wielu obszarach życia. Ponad 30 lat temu, po upadku muru berlińskiego i zmianach w Europie Środkowej i Wschodniej, które dokonały się w dużej mierze dzięki Polsce, Solidarności i pontyfikatowi Jana Pawła II, a także wielu innym czynnikom, amerykański politolog Francis Fukuyama ukuł słynną tezę o końcu historii, a według niego liberalna demokracja oraz rynkowy porządek gospodarczy miały stać się najdoskonalszym z możliwych do urzeczywistnienia systemów politycznych.

W wizji Fukuyamy społeczeństwa żyjące w owej liberalnej demokracji miały już tylko skupić się na konsumowaniu dobrobytu, który był jej owocem...

Tak. Tymczasem wiele czynników, w tym 11 września 2001 r., a potem porażka Zachodu w Afganistanie, kryzys gospodarczy 2008 r., prześladowania chrześcijan: wojna w Syrii czy niebываły wzrost potęgi Chin, w ostatnich dwóch latach pandemia, a ostatnio wojna na Ukrainie, unaocznily, jak kruchy stał się porządek świata wytworzony po upadku komunizmu. Mamy obecnie do czynienia z sytuacją, w której wyłania się zupełnie nowy porządek rzeczy, relacji między narodowych. Jak to będzie ostatecznie wyglądało, trudno przewidywać, ale z pewnością świat, Europa, które znaliśmy do 2019 r., już nie wróci.

Czy lekarstwem na kryzys globalizacji nie będzie jeszcze więcej globalizacji? Agenda tegorocznego forum w Davos, tak jak praktyka polityczna realizowana przez ponadnarodowe organizacje w rodzaju ONZ czy Unii Europejskiej, nie pozostawia w tej sprawie wątpliwości.

To podobna sytuacja jak w wypadku wszystkich kryzysów w Unii Europejskiej – demograficznego czy gospodarczego,



Z Janem Marią Jackowskim, senatorem RP, historykiem rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. MATEUSZ MAREK/RP

Punkt zwrotny

w tym coraz mniejszej konkurencyjności gospodarki europejskiej na globalnej scenie, czy deficytu demokracji w instytucjach brukselskich – odpowiedzią Unii na wszystkie te kryzysy jest powtarzane jak mantra hasło o potrzebie pogłębienia integracji. To trochę podobne myślenie, jak odpowiedzią na kolejne kryzysy w okresie minionym w gospodarkach centralnie planowanych miało być jeszcze więcej centralizacji. Poza tym ten sposób myślenia jest pokłosiem nurtów filozoficznych i ideowych, które stawiały tezę, że źródłem wszelkich konfliktów są silne, czytelne tożsamości religijne, narodowe czy kulturowe. W związku z tym trzeba budować świat, w którym te tożsamości są wykoźnione, i tworzyć „nowego człowieka”, który nie jest zakorzeniony w żadnych tożsamościach, który ma dystans do przyjętych zasad czy konwenansów. Jeśli uda się przeprowadzić taką dekonstrukcję i zbudować społeczeństwo oparte na takich podwalinach, to wyeliminowane zostaną źródła zła, które są w świecie. Jednym z elementów tej wizji jest odejście od państwa narodowego. Tymczasem paradoksalnie wiele państw Unii Europejskiej wykazuje silny egoizm narodowy. Niemcy prowadzą swoją politykę, Francja prowadzi swoją politykę, Węgry prowadzą swoją politykę, eksponując narodowe interesy niekoniecznie zgodne z interesami innych państw Unii Europejskiej i Unii Europejskiej jako całości. Widzimy więc oczywisty rozdźwięk. Człowiek z natury rzeczy jest

ograniczony w dążeniu do budowy świata doskonałego, dzieje ludzkości to ciągle dążenie do budowy świata doskonałego. Wiemy dobrze, jak to się kończyło: utopiami, wojnami czy rewolucjami.

Arkadii nigdy nie udało się stworzyć.

No nie udało się. Ciągłe mamy w pamięci tę biblijną wieżę Babel, która jest symbolem przedsięwzięć niemożliwych do zrealizowania z powodu ograniczeń człowieka. Myślę, że trzeba to wszystkim ideologom i przywódcom nieustannie przypominać, żeby z pokorą podchodzili do rzeczywistości, zamiast brnąć w jakieś fantasmagorie.

Z jakim potencjałem Polska staje w zwrótnym punkcie historii, którego prawdopodobnie doświadczymy? Z diagnozy demograficznej wynika, że jesteśmy narodem wymierającym. Z drugiej strony nawet w największych utrapieniach dziejowych Polacy potrafili wykręsać z siebie energię i siłę, która pozwalała nam przetrwać i zwyciężać.

Jeżeli chodzi o rozwój cywilizacyjny, gospodarczy, to trzeba powiedzieć, że pomimo politycznych sporów i różnych patologii po przemianach 1989 r., przede wszystkim dzięki gigantycznej pracy Polaków, ich zdolnościom, determinacji udało się w bardzo dużym stopniu nadrobić zaległości rozwojowe będące pokłosiem komunizmu. Jeśli chodzi o materialny wymiar funkcjonowania społeczeństwa i państwa, to nastąpiła daleko idąca zmiana w stosunku do sytuacji wyjściowej, jeśli odniesiemy to do 1989 r.

Czy ceną względnej polskiej prosperity nie było odcięcie się od naszej tożsamości, korzeni?

Ja bym tego tak dramatycznie nie stawiał, mimo intensywnych przemian kulturowych, ideologicznych, które miały miejsce w Polsce w ciągu ostatnich dziesięcioleci, pewien – nazwijmy to – kanon polskości został utrzymany. Tożsamość chrześcijańska nadal jest fundamentem, na którym opiera się kultura polska. Nawet jeśli ktoś jest antyklerykałem czy agnostykiem, to musi przyznać, że na tych wartościach zbudowana jest nasza rzeczywistość. Na Dekalogu oparty jest przecież kodeks karny, całe prawo – czy się to komuś podoba, czy nie.

Czy w takim razie polskość ufundowana na chrześcijańskiej tożsamości wciąż jest zwornikiem spajającym społeczeństwo czy raczej przekleństwem, balastem, którego część tego społeczeństwa chciałaby się jak najszybciej pozbyć, żeby wtopić się we współczesny multikulturowy zachodni ideał?

Zacytuję w tym miejscu św. Jana Pawła II, który w 1981 r. mówił tak do uczestników kolokwium „Kryzys Zachodu a duchowa misja Europy”: „Świat potrzebuje na nowo Europy, która uświadomiwszy sobie swoje chrześcijańskie podwaliny i swoją tożsamość, będzie równocześnie gotowa budować na ich mocy własną teźnię i przyszłość”. To przesłanie Jana Pawła II, który zawsze podkreślał rolę chrześcijańskiej tożsamości Europy, ma charakter uniwersalny. Dotyczy to nie tylko Polski, lecz także innych krajów europejskich. W tym miejscu można przywołać np. Francję, gdzie takie myślenie jest bardzo mniejszościowe, niemniej jest obecne. Podobnie jest w Niemczech, we Włoszech czy w Hiszpanii. Wierzę, że po różnych zakrętach historii coraz większa liczba osób uzna, że lepiej opierać się na wartościach potwierdzonych przez wieki, niż poddawać się eksperymentowi, który nie wiadomo dokąd prowadzi.

Wróćmy do perspektywy dla Polski wobec zwrotnego punktu historii, którego – jak wiele wskazuje – doświadczamy...

Moim zdaniem Polska ma potencjał, który pozwala patrzeć z nadzieją na czasy, które nadchodzą. Zgadzam się z panem, że wszystkie rządy po 1989 r. przegrały w sprawie przeciwstawienia się negatywnym trendom demograficznym. To skomplikowany i wielowątkowy temat. Niewątpliwie jest to jedno z podstawowych wyzwań, przed którymi

stajemy. Tym bardziej że teraz pojawiają się koncepcje, iż nasze deficyty demograficzne uda się wyrównać przez falę uchodźców z Ukrainy. Ten koncept niekoniecznie musi się sprawdzić i przynieść oczekiwane rezultaty.

Czy Polska nie potrzebuje dziś ożywczego ruchu społecznego, jakim w latach 80. ubiegłego wieku była Solidarność?

Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć na pana pytanie. Taki ruch, takie podejście do rzeczywistości, bo to przecież pewna postawa nie tylko wspólnotowa, lecz także w życiu indywidualnym, niewątpliwie byłby ożywczy. Pamiętajmy jednak, że współcześnie żyjemy w społeczeństwie, które jest mocno zatimizowane i zindywidualizowane, i bardzo wrażliwe, jeśli chodzi o zachowanie swojej autonomii, poczucia wolności, i to ma silny wpływ na wszelkie postawy wspólnotowe. Sądzę, że wobec tej rzeczywistości podejmowanie dziś inicjatyw tworzenia masowych ruchów społecznych byłoby niezrozumiałe. Potrzeba pogłębionego i mądrego odkrycia i nowego powrotu do własnej, polskiej tożsamości.

Czy tylko prawica gwarantuje dziś utrzymanie Polski na kursie, który pozwoli zachować jej cywilizacyjną tożsamość?

Odpowiedź na to pytanie jest złożona. Po pierwsze, jeśli chodzi o ocenę działań obozu rządzącego, to mamy tutaj do czynienia z etatystycznym populizmem i jednocześnie odwołaniem się, przynajmniej nominalnym, do wartości chrześcijańskich, co jest podkreślane na każdym kroku, ale mimo wszystko to nie jest formacja o charakterze prawicowym czy centroprawicowym w klasycznym rozumieniu tego pojęcia. Po drugie, problemem, który występuje, jest to, że szerokim kręgom społecznym PiS czy obóz rządzący kojarzą się z obroną wartości chrześcijańskich. Z kolei dojście do władzy przez jakiegokolwiek inne środowiska, rozumiem pod tym pojęciem opozycję, oznaczałoby ostry skręt w stronę liberalno-lewicową. Niewątpliwie jest grupa wyborców, która zaciska zęby wobec błędów, odejścia od programu i zasad, bylejakości rządzenia i powszechnej krytyki obozu rządzącego, która się pojawia, mimo wszystko popiera go nadal, wychodząc z założenia, że trzeba zaciskać zęby i oddać głos na PiS, bo nie ma alternatywy. Na scenie politycznej nie ma żadnej wiarygodnej

siły, która byłaby w stanie chronić wartości i jednocześnie nie powielać błędów obozu rządzącego.

Rzeczywiście nie ma takiej alternatywy?

Nie mówię, że takiej alternatywy nie ma, ale z moich rozmów z ludźmi wyłania się taki obraz. Im bardziej środowiska liberalne będą ściagały się z lewicowymi progresistami w zakresie zmian społecznych, kulturowych, cywilizacyjnych, tym bardziej będzie to pogłębiało takie przekonanie, o którym mówiłem wcześniej, a tym samym poparcie dla obozu rządzącego będzie duże. Pytanie zasadnicze brzmi: Czy obóz rządzący jest rzeczywiście w stanie chronić wartości, które określają polską tożsamość? Stawiam to pytanie jako historyk: Co będzie po? Mamy doświadczenia z różnych krajów, gdzie po rządach, które instytucjonalnie odwoływały się do ochrony wartości chrześcijańskich, następowało później przechylenie wahała w drugą stronę. To jest fenomen różnych krajów tradycyjnie katolickich, w których takie przesunięcie nastąpiło. Trzeba prowadzić takie działania, żeby nie tworzyć wrażenia w znacznej części opinii publicznej, że mamy do czynienia z sojuszem ołtarza i tronu. Dlatego że to nie służy ani ołtarzowi, ani per saldo tronowi. Największym błędem obozu rządzącego jest odejście od ideowości oraz obietnic wyborczych, które chroniły najważniejsze wartości i dały mu zwycięstwo.

Co będzie po następnych wyborach parlamentarnych, jeśli PiS nie uda się utrzymać się przy władzy?

Jeśli PiS nie utrzyma władzy w formule, że będzie samodzielnie rządził bądź współrządził w ramach jakiejś koalicji, to nastąpi rozpad obecnego obozu rządzącego. To jest sprawa oczywista. W sytuacji odsunięcia od władzy ten obóz znalazłby się w opozycji. To wcale nie jest jakaś odległa perspektywa, to perspektywa najbliższych dwóch lat. Dlatego stawka nadchodzących wyborów będzie ogromna zarówno dla opozycji, jak i dla obozu rządowego. I dlatego walka polityczna, która już nabiera rumieńców, choć to dopiero preludium wobec tego, co czeka nas za kilka miesięcy, będzie niezwykle ostra. W tej walce poparcie będą mieli ci politycy, którzy prawdziwość głoszonych poglądów potrafią dowieść swoim życiem.

Odpowiedzmy zatem: wrócił do Polski, bo nie miał innego wyjścia. Gdyby tylko istniała szansa, cię szansa, że będzie kontynuował karierę poza krajem, w agendach UE czy ONZ, to na pewno by to uczynił. Tusk podczas drugiej kadencji rządów PO niejednokrotnie dawał do zrozumienia swoim współpracownikom, że polska polityka już go męczy i że uważa się za stworzonego do wyższych rzeczy. A zapatrzeni w oczy króla akolici uważali to za naturalne i przyjmowali jego deklaracje z zachwytem. Wspomnijmy słowa Jacka Krawca, prezesa Orlenu w czasach PO. To on powiedział w rozmowie z Pawłem Grasiem (znamy te słowa z taśm nagranych w restauracji Sowa i Przyjaciele): „Jednak idziesz w zupełnie inną orbitę, odseparowujesz się od tego wszystkiego, od tego syfu, ku...a, jesteś dużym misiem, odseparowujesz się od tego folkloru, od tego syfu”.

Tusk w roku 2014 został „dużym misiem”, kiedy objął stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej. Można się podśmiewać, że po pierwsze, nie aż tak dużym, jak myślał (ładny tytuł, znikome znaczenie i możliwości), a po drugie, że duży miś był jedynie użytecznym pluszakiem kanclerz Niemiec Angeli Merkel. Nie zmienia to faktu, że Tusk zrobił krok poza polską politykę i miał widoki na uczynienie kolejnych. To, że nie zdołał, w dużym stopniu zawdzięcza sobie. Oczywiście nie do przecenienia jest rola siły sprawczej w postaci Merkel – gdyby chciała przeforsować później jego kandydaturę na jakieś inne stanowisko, to by przeforsowała – ale wspomnijmy, jak mało pasował Tusk do unijnych standardów.

OSAMOTNIONY MIŚ

Już latem roku 2015 na łamach „Polska Times” Paweł Sienniki zauważał: „Szef Rady Europejskiej przez pierwszy rok miał duży problem w odnalezieniu się na nowym stanowisku. Musiał szlifować swój angielski, zarzucano mu pasywność i bierność. Musiał uczyć się polityki europejskiej, która w największym stopniu opiera się na negocjacjach, zakulisowym uzgadnianiu stanowisk. W takich finezyjnych gierkach Donald Tusk dotąd nie brał udziału” („Donald Tusk. Jak wystygła ciepła woda w kranie”). Korespondenci polskich mediów w Brukseli opowiadali (a czasem i pisali) o tym, jak mocno odseparowani od życia unijnego są współpracownicy Tuska i on sam. Trzymali się z boku, trzymali się we własnym gronie,

Jesień patriarchy



Piotr Gociek

Dlaczego Donald Tusk obsesyjnie pragnie wspólnej listy wyborczej opozycji? Aby to zrozumieć, trzeba zadać inne pytanie: Po co wrócił do polskiej polityki?



FOT. JACEK DOMISKI/REPORTER

nie mogli brać udziału w grze, do której okazali się kompletnie nieprzygotowani.

Sam Tusk nie palił się do ciężkiej pracy, a gdy próbował wyskoczyć z jakimś własnym przekazem, to okazywało się, że brak mu wyczucia. „Zastanawiałem się, jak wygląda to specjalne miejsce w piekle dla tych, którzy promowali brexit” – wypalił w 2019 r., co zapewniło mu miejsce na paskach telewizji informacyjnych, ale nie wpisywało się w dopuszczalną retorykę ówczesnej dyskusji. Gdy próbował coś pisać na temat Rosji (po 2014 r. zdarzyło mu się rzec, że Rosja jest problemem, i zasugerować sankcje po zaborze Krymu), trafiał jak kulą w płot, to unijne elity przebiegały nogami, żeby jak najszybciej z Moskwą robić business as usual. W sprawie kryzysu uchodźczego próbował balansować. Kiedy w grudniu 2015 r. powiedział w wywiadzie dla „Süddeutsche Zeitung”, że granice Unii powinny być lepiej chronione i że fala uchodźców jest „zbyt duża, żeby jej nie zatrzymać”, oraz sprzeciwił się przymusowi relokacji przybyszów z Turcji, w odpowiedzi usłyszał, że zbyt mocno kieruje się wewnętrznymi interesami Polski i że „ma wszystkich jednaczyć, a nie polaryzować” (mówiła tak m.in. Rebecca Harms, ówczesna przewodnicząca frakcji Zielonych w Parlamencie Europejskim).

Wszystko to sprawiło, że choć wiosną 2017 r. Tusk nie miał kłopotu z przedłużeniem kadencji przewodniczącego Rady Europejskiej na kolejne dwa i pół roku (Bruksela i Berlin chciały dopieć rządowi PiS), to już po zakończeniu kadencji nikt nie miał mu niczego więcej do zaproponowania. Po końcu ery Merkel nie miał już przyjaciół. A własną pracowitością i talentem w Europie nie błysnął. Były premier, zauważmy wreszcie, w odróżnieniu od Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jacka Rostowskiego czy ministrującego potem w rządzie PiS Tadeusza Kościńskiego nie miał też żadnych kwalifikacji, by kontynuować karierę w dużym zagranicznym banku czy międzynarodowej instytucji finansowej. Specjalistów od historii Gdańska oraz szydzenia z Kaczyńskiego nikt tam bowiem z jakichś powodów nie zatrudnia.

OSTATNI LAS TUSKA

Donald Tusk nie miał innego wyjścia, jak tylko powrócić do jedynego lasu na kontynencie, gdzie jeszcze mógł uchodzić za dużego misia – do Polski. Ale w jakiej roli? Tu zaczął się kłopot. Styl, w jakim włączył się w kampanię przed wyborami

Po końcu ery Merkel Donald Tusk nie miał już przyjaciół. A własną pracowitością i talentem w Europie nie błysnął

do europarlamentu (wiosna 2019 r.), przyniósł więcej szkody niż pożytku. Jesienią PiS ponownie wygrał wybory i Platforma zamiast podziałem łupów znów musiała zająć się organizowaniem sobie życia w opozycji. Rok później kandydatem PO na prezydenta został Rafał Trzaskowski (a wcześniej miała to być, przypominajmy, Małgorzata Kidawa-Błońska). Przejęcie kontroli nad Platformą i powrót na stanowisko szefa partii zajęło Tusкови trochę czasu. Nie miał w PO poważnych konkurentów. Co innego poza partyjnym podwórkiem.

Rafał Trzaskowski, choć nie potrafi wciąż odpowiednio zagospodarować poparcia i rozgłosu, jakie zdobył podczas przegranej kampanii prezydenckiej, jest dużo lepiej odbierany i przez elektorat, i członków PO. Włodzimierz Czarzasty odbudowuje lewicę. Miejsce Nowoczesnej skompromitowanego Petru, czyli „partii liberalnej drugiego wyboru, która nie jest Platformą”, zajęli Szymon Hołownia i jego Polska 2050. PSL, największe zombi polskiej polityki, nieustannie składane jest do grobu i nieustannie żyje, niezależnie od tego, jak groteskowe jest to życie (to znaczy: jak groteskowe są kolejne „koalicje polskie” – ostatnio z Gowinem i Piskorskim). Sytuacja, w której wszystkie te ugrupowania wspólnie pokonują PiS, ale startując z własnych list, jest dla Donalda Tuska fatalna. W tym zworokację (kto wie, czy nie pięciokację – jeśli zabraknie paru szabel, to trzeba będzie zabiegać o przychyłność Konfederacji) rozpoczną się negocjacje. Żaden z liderów mniejszych partii nie będzie z otwartymi ramionami witał Tuska na stanowisku premiera. Rozpocznie się skomplikowana gra, w której wszyscy będą grali przeciw niemu – i będzie to zachowanie racjonalne. Bo wszyscy pamiętają, że Tusk wobec swoich sojuszników zachowuje się równie bezlitośnie i toksycznie, jak wobec konkurentów wewnątrz partii. Kandydat kompromisowy nie będzie w tym gronie nazywał się Donald Tusk.

Start jednej wielkiej listy opozycji, z Tuskiem jako liderem i twarzą „powrotu do normalności”, to jedyna szansa dla byłego premiera, by znów zostać premierem. A to chyba jedyne stanowisko, jakie widzi dla siebie w najbliższej przyszłości. Zatem prośbą, groźbą i przemocą o taką zjednoczoną listę walczy (Hołownia nie bez powodu mówił o „przemocowych załotach Platformy”). Nie tylko dlatego, że wciąż napędzają go pycha i ambicja. Nie tylko dlatego, że nie uśmiecha mu się polityczna emerytura. Nie tylko dlatego, że chce pomsty na Jarosławie Kaczyńskim.

WALKA O PRZESZŁOŚĆ

Donald Tusk walczy dziś nie o przyszłość Platformy, lecz o własną przeszłość – o ocalenie własnej przeszłości, to znaczy swojego dorobku z okresu lat 2007–2014. Z każdym kolejnym rokiem rządów PiS, z każdym kolejnym kryzysem, z jakiego partia Kaczyńskiego wychodzi zwycięsko, blask dawnych dokonań Tuska gaśnie. Że wygrał jako pierwszy dwa razy kolejne wybory parlamentarne i rządził dwie kadencje? PiS też to zrobił. I jest bliżej trzeciej kadencji, niż PO była w 2015 r. Namaścił skutecznie prezydenta RP (Bronisława Komorowskiego)? Cóż, Jarosław Kaczyński namaścił trzech (Lecha Wałęsę, Lecha Kaczyńskiego i Andrzeja Dudę) i jest na dobrej drodze do namaszczenia czwartego. Sukcesy w polityce gospodarczej i społecznej? Wolne żarty, hasłem ekipy Tuska było „pieniędzy nie ma i nie będzie”. Symbolem polityki zagranicznej PO zawsze będzie tragedia smoleńska, spacer na molo w Sopocie z Putinem i bezmyślne stawianie na Berlin.

Donald Tusk może odwrócić te trendy, jedynie powracając na fotel premiera, raz jeszcze stając się symbolem triumfu Polski antypisowskiej i budując przekonanie, że osiem lat rządów PiS było błędem w matriksie. Jeśli tego triumfalnego powrotu nie będzie, to z każdym kolejnym rokiem Tusk coraz bardziej będzie stawał się przypisem do współczesnej historii Polski, a nie jej wielkim bohaterem. Tylko zwycięstwo zjednoczonej listy opozycji z Tuskiem na czele daje mu na to szansę. Może cię szansy. Ale będzie się tego trzymał, bo nic innego mu nie pozostało. Walczy, by doczekać w swojej politycznej karierze jesieni patriarchy, a nie jesieni wielkiego przegrywa. Tylko że inni zamiast walczyć o przeszłość Tuska, wolą walczyć o własną przyszłość. Czy można im się dziwić?

U globalistów nic nowego

WORLD
ECONOMIC
FORUM



To, że relacje z Davos zdominowały „newsy” o tym, kto co powiedział na temat wojny, wynika z tego, że w głównych, „gospodarczych” tematach nie powiedziano niczego nowego

FOT. SIKARIN FORN THANAHAIRY/WORLD ECONOMIC FORUM



Rafał A. Ziemkiewicz

**Relacje z dorocznego zjazdu
możnych tego świata
w szwajcarskim Davos
zdominowane zostały przez
wypowiedzi polityków o wojnie
na Ukrainie. To zrozumiałe, ale
szkoda, że w wielu mediach
zabrakło miejsca na dokładniejsze
relacjonowanie paneli i wykładów
poświęconych cywilizacyjnym
planom biznesowo-politycznej elity**

Kto mimo wszystko im się przyglądał, ten mógł wyciągnąć dwa zupełnie przeciwne wnioski. Jeśli jest optymistą – to to, że plany globalistów najwyraźniej się kruszą i budzący obawy „nowy światowy porządek” łapie zadyszkę, jeszcze zanim zbudowano jego podstawy. Jeśli pesymistą – to to, że nawet szalejący po świecie jeźdźcy Apokalipsy nie zdołali globalistycznych elit, coraz

bardziej oderwanych od społeczeństw, wyrwać z samozadowolenia i głębokiej determinacji, by uszczęśliwić ludzkość wykoncypowanymi w ich gronie planami przekształcenia świata w wielkie mrowisko. Oba te wnioski są równie uprawnione.

Znaczenie Forum Gospodarczego w Davos, którego historię i sens opisał kilka miesięcy temu na naszych łamach Wojciech Golonka („Do Rzeczy” nr 7/2022), portretując jego inicjatora Klaus Schwaab, nie polega na przyjmowanych tam oficjalnie dokumentach. Zapewne nawet nie jest najważniejsze to, co pada ze sceny podczas oficjalnych wystąpień. Najważniejsze są kuluary, gdzie dogadują się, czy wręcz spiskują, światowi mogołowie i gdzie media nie mają wstępu. Mimo wszystko coś z atmosfery tych kuluarów przenika do oficjalnej części spotkania i można łatwo wywnioskować, co intelektualnie „nosi się” wśród elit.

Tegoroczne Forum w swej części oficjalnej wiedzie ku konkluzji, że chociaż gros przemówień i dyskusji poświęcone było wojnie, choć „Ukraina”, „Rosja”, „Putin” i „Zełenski” były słowami padającymi częściej niż jakiegokolwiek inne – to w istocie trwająca już prawie trzy miesiące wojna nie wpłynęła na uczestników.

Większość wystąpień sprawiała wrażenie, jakby mówcy napisali je jeszcze przed 23 lutego, a tuż przed odczytaniem zinkrustowali tylko aktualnymi wydarzeniami. A ponieważ ostatnie wydarzenia sporo w światowym porządku zmieniły, to akapity im poświęcone miały się czasem nijak do zasadniczego przekazu wystąpienia.

TEZY KISSINGERA

Największy medialny rozgłos zyskał oczywiście sędziwy Henry Kissinger, ze swoim nawoływaniem Zachodu, by porzucił marzenie o zadaniu Rosji miażdżącej klęski i okazywał „więcej zrozumienia” Chinom. Jego słowa wywołały oburzenie, szczególnie w naszej części świata, wywołały też polemiki części obecnych w Davos polityków, ale większość uczestników spotkania znalazła w nich odzwierciedlenie własnych nastrojów. Po byłym architekcie upokarzającej klęski USA w Wietnamie i polityki ustępstw wobec ZSRS, która przedłużyła istnienie „imperium zła” o co najmniej 10 lat, można się było właśnie takiego apelu spodziewać, i zapraszając go, organizatorzy wiedzieli, że większość obecnych taki właśnie „głos rozsądku” chce usłyszeć.

Tezy Kissingera pasują doskonale do przejawianego nie tylko w Davos marzenia globalistycznych elit, „żeby znowu było, jak było”. Niech Ukraina dogada się z Rosją, niech zawarty zostanie jakikolwiek pokój i niech można będzie wrócić do tych pomysłów na zmianę świata, które powstają na spotkaniach światowej magnaterii, a nie na polach bitew nad Dońcem.

To, że relacje z Davos zdominowały „newsy” o tym, kto co powiedział na temat wojny, wynika w dużym stopniu z tego, że w głównych, „gospodarczych” tematach nie powiedziano niczego nowego. Pojawiły się tylko pewne uściślenia. Szczególnie ciekawy wydaje się pod tym względem panel poświęcony zamiarom wprowadzenia centralnej światowej waluty cyfrowej – jednoczesnego zlikwidowania walut państwowych i pieniądza tradycyjnego. Chociaż same założenia planu, które pojawiły się już wcześniej, wydają się utopijne, a oczekiwana fala grodu i migracji wywołanych wojną tworzy raczej niekorzystny klimat dla tak rewolucyjnych zmian, to po raz pierwszy podano konkretny termin światowej reformy: ma ona nastąpić za pięć lat.

Może nie należy się przejmować tą zapowiedzią – jednocześnie wyznaczoną na poprzednich Forach na przyszły rok datę osiągnięcia porozumienia o jednolitym globalnym opodatkowaniu przesunięto na rok 2024 – ale sam fakt, że plan, który, w swych skutkach musiałby przeorać światową gospodarkę zupełnie, wciąż tkwi w głowach bankierów i doradczających politykom ekspertów, jest tyleż niepokojący, co znaczący.

PARARELIGIJNE SZALEŃSTWO

Spektaklem samym w sobie była część konferencji poświęcona zdrowiu. Z przebiegu globalnej paniki wywołanej koronawirusem SARS-CoV-2 mówcy wyciągnęli wnioski dramatycznie odmienne niż większość społeczeństw. Bill Gates wraz z przedstawicielką Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) zgodnie ubolewali, że wypalenie się pandemii spowodowało „słabnięcie determinacji” rządów do budowania centralnego, światowego systemu zarządzania kolejnymi przewidywanymi epidemiami. Zgodnie też dyskutanci uznali, że agendą, która powinna otrzymać kompetencje ponad rządami i organizacjami międzynarodowymi do wprowadzania stanu epidemicznego i zarządzania nim we wszystkich krajach, powinna być właśnie WHO. Kompromi-

tacji WHO, związanej z pandemią, która obnażyła jej bezzadanie, polityczne uzależnienie od Chin i, delikatnie mówiąc, nieskuteczność w poprawianiu stanu zdrowia odwrotnie proporcjonalną do skuteczności w nabijaniu kabzy koncernom Big Pharma, nikt nie odnotował.

Na zgromadzonych w Davos można patrzeć jak na coś w rodzaju globalnego politbiura z czasów Andropowa i Czernienki

Podobnie nic się nie zmieniło w parareligijnym szaleństwie „walki o klimat”. To znowu za „słabnięcie determinacji” w walce z emisją CO₂ rzucił na światowe rządy gromy specjalny wysłannik prezydenta USA, John Kerry. I znowu – trudno było z występu jego i innych klimatystów wyłowić jakikolwiek przejaw wzięcia pod uwagę dotychczasowego wprowadzania polityki klimatycznej. Żądaniu zaprzestania wytwarzania energii z paliw kopalnych nadal towarzyszy żądanie likwidacji energetyki atomowej. Świat ocalić mają wiatraki i fotowoltaika, których wytwarzanie i działanie jest dla środowiska nieopisanie bardziej szkodliwe od spalania węglowodorów, a ograniczone zasoby i wydobycie niezbędnych do tego surowców nie pozwalają poważnie myśleć o uzyskaniu tą drogą nawet 10 proc. potrzebnej światu energii.

Może więc powinniśmy na zgromadzonych w Davos patrzeć jak na coś w rodzaju globalnego politbiura, takiego z czasów Andropowa i Czernienki, żyjącego w równoległym świecie ideologicznych urojeń i strzegącego ich surową autocenzurą wyrażanych na głos opinii? W pewnym stopniu tak, ale nie zapominajmy, że to politbiuro i globalistyczna ideologia, będąca sensem jego istnienia, dążą do skupienia ogromnej władzy nad całą ludzkością w rękach instytucji powoływanych w niejasny sposób, nieponoszących przed nikim odpowiedzialności i uznających się za nosicieli mądrości niedostępnej zwykłym śmiertelnikom, których „uszcześliwienie na siłę” jest nie tylko ich prawem, lecz także zgoła obowiązkiem wobec ludzkości i Historii. Takie dążenia pojawiały się w dziejach wielokrotnie, choć nigdy na tak wielką,

światową skalę, i – delikatnie mówiąc – nigdy nie skończyło się to dobrze, a szkody wywoływane próbami realizacji podobnych uroszczeń były tym większe, im większa okazywała się determinacja „oświeconych elit”.

UTOPIA LUDZKOŚCI WYWŁASZCZONEJ

Dodajmy, że porównując te same w istocie treści, pojawiające się rok po roku na kolejnych spotkaniach w Davos, pod kątem sposobu ich prezentowania i ubierania w słowa, trudno nie odnieść wrażenia, że heroldowie globalizmu ukrywają istotną część swoich zamiarów. Hasła, argumenty, które po przejściu do medialnego obiegu wywołują niepokój zachodniej opinii publicznej, są dyskretnie usuwane z dyskursu publicznego i albo okrywane milczeniem, albo zastępowane bardziej przemyślanymi strategiami PR-owskimi. Doskonałym tego przykładem są losy cytowanego już we wspomnianym artykule Wojciecha Golonki hasła Schwaba: „Nie będziesz miał niczego i będziesz szczęśliwy”. Usunięto je całkowicie z publicznego obiegu, gdyż okazało się, że ludzie chcą jednak „mieć” – nie zniknęła bynajmniej z prac kolejnych forów żadna z idei, które hasło to podsumowywało.

Utopia ludzkości wywłaszczonych i skazanej na wynajmowanie wszystkich środków do życia od należących do miliardów koncernów, zmuszonej do używania elektronicznej, doskonale „fiducyjnej” waluty, znikającej lub zmieniającej wartość wskutek kaprysu banku lub władz, ludzkości zgłajchszaltowanej kulturowo narzędziami „wokeness” i kontrolowanej przez sztuczne inteligencje „wyceniające” w punktach zachowania obywatela – jak to jest już testowane na mieszkańcach Chin – pozostaje żywa. A zważywszy, że stoi za nią rosnąca w siłę armia miliardów (w pandemicznym roku 2020 przybyło ich na świecie, według danych Forum, 573), potencjalnie jest to utopia bardziej niebezpieczna niż klasowe czy rasowe utopie zeszlowiecznych totalitaryzmów.

Nie wiedząc, co się dzieje w kulisach, nie wiemy jednak, czy kapłani globalizmu są odrealnionymi ideologami, którzy przegapili wstrząsy w istocie kładące kres ich rozeniom – czy przeciwnie, zarazę, wojnę i głód chcą wykorzystać do realizacji swych wizji i wiedzą, jak to zrobić.

Dorobkiewiczze w kitlach



Personel medyczny w Polsce brał dodatki covidowe nawet wtedy, gdy nie miał kontaktu z takimi pacjentami

FOT. ADOBE STOCK



Łukasz Zboralski

Dodatkowe pieniądze dla personelu medycznego zajmującego się pacjentami z COVID-19 miały stanowić zadośćuczynienie za trudną pracę w niebezpiecznych warunkach. W Polsce zmieniło się to w system sprzyjający wyłudzeniom. A przemknęło przez ten system aż 10 mld zł

Za każdym razem, gdy w kraju rozmawiamy o problemach ze służbą zdrowia, wśród wielu argumentów np. za lepszymi płacami dla lekarzy czy pielęgniarek pojawia się ten jeden: to przecież ludzie, którzy pracują bez przerwy na froncie, na którym ratuje się ludzkie życie. Etos pracy „małych Bogów”, jak nazwał ich w swojej książce Paweł Reszka, jest niestety co rusz podkopany przez nich samych. Najnowszy

przykład to sprawa wypłacania tzw. dodatków covidowych – czyli dodatkowych pieniędzy za pracę z pacjentami podczas światowej pandemii COVID-19. W ubiegłym tygodniu wiele mediów podało wstrząsające wyniki kontroli NIK dotyczących wypłat z tej puli. Skala szastania publicznymi pieniędzmi okazała się przerażająca.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że wszyscy – także dziennikarze – przegapi-

liśmy coś, co było widać dużo wcześniej, bo alarmujące były już analizy przedkontrolne NIK w 2021 r.

Dokładnie rok temu inspektorzy wskazali, że dyrektorzy szpitali przyznają dodatki covidowe po prostu większości personelu i to nawet wtedy, gdy liczba chorych pacjentów na COVID-19 jest w tych placówkach niewielka. Jednak to, czego dowiedzieliśmy się po kontrolach, jest dużo bardziej wstrząsające.

MILIONY NA FIKCJE

Już w lutym tego roku ukazało się wystąpienie pokontrolne delegatury NIK ze Szczecina, która sprawdzała, jak dodatki covidowe dla personelu medycznego przyznawano w latach 2020–2021 (za pierwsze półrocze) w Samodzielnym Publicznym Szpitalu Klinicznym nr 2 Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Ten jeden szpital dostał wtedy 45,5 mln zł na dodatki covidowe, które wypłacił w 4929 przypadkach. NIK sprawdził dokumentację dotyczącą ponad 55 proc. przyznanych dodatków. Okazało się, że z 25,4 mln zł większość popłynęła do lekarzy tej placówki (11,8 mln zł, czyli 46,5 proc. całej puli) oraz pielęgniarek i pielęgniarzy (7,1 mln zł, czyli 28 proc.). Maksymalną kwotę dodatku – czyli aż 15 tys. zł – wypłacono w 390 przypadkach lekarzom i w dwóch pielęgniarkom.

Niestety, dodatek przyznawano jak leci, wszystkim. Nawet tym, którzy w ogóle nie mieli kontaktu z pacjentami covidowymi. Dlaczego? Bo w tym szpitalu, jak stwierdził NIK, weryfikacja tego, czy dodatek się należy, polegała jedynie na... „oświadczeniu personelu medycznego o bezpośrednim kontakcie z pacjentem zakażonym wirusem SARS-CoV-2”.

Jak to wyglądało w praktyce? Na przykład w Klinice Ginekologii i Położnictwa zgłaszano, że ciężarnymi zakażonymi zajmowało się 40 osób z personelu medycznego. W dokumentach szpitala z tych 40 osób wskazano, że zaledwie cztery z nich miały bezpośredni kontakt z ciężarną zakażoną SARS-Cov-2. Przy 36 kolejnych osobach, którym wypłacono pieniądze, w dokumentach przystawiono pieczęć: „Nie można wykluczyć kontaktu pacjentki z osobą zakażoną/chorą na COVID-19 w ciągu ostatnich dwóch tygodni”. Dodawano do tego informację, że „wynik testu był ujemny”, „test nie został wykonany” bądź „nastąpiła odmowa wykonania testu przez pacjenta”.

Wynika z tego, że wypłacano dodatkowe pieniądze z pełną świadomością tego, że się one nie należały. Bo nie było – potwierdzonego – kontaktu z osobą zakażoną. Potwierdzają to nawet wyjaśnienia lekarza kierującego Kliniką Ginekologii i Położnictwa znajdujące się w aktach kontroli:

„[...] Pacjentki zgłaszające się do Kliniki [...] w zdecydowanej większości muszą być przyjęte do oddziału szpitalnego w trybie pilnym lub natychmiastowym w celu udzielenia im szybkiej pomocy lub/i zapewnienia właściwego nadzoru medycznego nad matką i płodem. W tych przypadkach wykonywanie testu PCR, na którego wynik należy oczekiwać kilka godzin, i pozostawianie ich do tego czasu w warunkach izolacyjnych nie jest możliwe, również ze względu na ograniczone możliwości lokalowe Kliniki. Z tego

powodu od 20 marca 2020 r., to jest od dnia ogłoszenia stanu pandemii w Polsce, do grudnia ubiegłego roku zgłaszające się do Kliniki [...] »bezobjawowe« pacjentki w większości nie podlegały testowaniu w kierunku obecności wirusa SARS-CoV-2. Kobiety ciężarne i rodzące, niewykazujące objawów sugerujących zakażenie wirusem, traktowane były jako pacjentki z podejrzeniem COVID-19. [...] Jedynie w nielicznych przypadkach, w których występowały objawy kliniczne, wykonywano test PCR i do czasu otrzymania wyniku w warunkach izolacji [...] sprawowano nad nimi nadzór i udzielano pomocy medycznej. Jeżeli wynik testu PCR okazał się dodatni, to pacjentkę transportem sanitarnym przekazywano do dedykowanego szpitala”.

W tej placówce zdaniem NIK dochodziło do jeszcze większej beczelności. Płacono dodatki nawet na oddziałach, na które pacjenci covidowi w ogóle nie trafiali. „W analizowanych miesiącach dyrektor przyznał dodatki covidowe w łącznej kwocie 1,3 mln zł osobom uczestniczącym w udzielaniu świadczeń zdrowotnych w pięciu oddziałach »niecovidowych« (w 111 przypadkach), w których nie hospitalizowano pacjentów z potwierdzonym zakażeniem wirusem SARS-Cov-2”.

15 TYS. ZŁ W PÓŁ GODZINY

Tyle o mechanizmach. W szczegółach widać też, jak mocna była to pokusa. Jak szybko można było się wzbogacać. To pokazała ostatnio m.in. Wirtualna Polska – wyliczając dane z dokumentów NIK.

Według inspektorów, którzy sprawdzili w sumie pięć placówek (Zachodniopomorski Oddział Wojewódzki Narodowego Funduszu Zdrowia, 109. Szpital Wojskowy z Przzychodnia, Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Szczecinie, Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny nr 1 im. prof. Tadeusza Sokołowskiego Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie oraz wspomniany już wcześniej Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny nr 2 Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego), były osoby z personelu medycznego – i było ich kilkanaście – które dostały po ok. 8 tys. zł za spędzenie w ciągu całego miesiąca 30 minut na oddziale covidowym. Media przytaczają też dane o personelu, który za takie półgodzinne wejście dostawał dodatek do miesięcznego wynagrodzenia sięgający maksymalnej kwoty – 15 tys. zł. Jakże

to mocne zderzenie z twarzami lekarzy umęczonych wielogodzinnymi dyżurami na covidowych oddziałach, z odcisniętymi śladami po масечках, których oglądaliśmy w telewizorach podczas relacji z walki z pandemią w Polsce.

A ponieważ nawet bez pandemii placówki mają niedobór personelu i walczą ze sobą o lekarzy, zdarzali się medycy, którzy naraz pracowali w kilku placówkach. Jeden medyk, pracujący w trzech szpitalach jednocześnie, pobierał dodatki covidowe miesięcznie w sumie na kwotę blisko 40 tys. zł.

Inna skala tego, do czego dochodziło, ujawnia się we wpisywaniu w dokumentacji do wypłaty dodatków tego, ile osób personelu zajmowało się jednym pacjentem. Każdy, kto zna te realia, wie, ile osób zajmuje się pacjentami – nawet tymi, którzy przechodzą ciężkie operacje. Smutna norma to dwie pielęgniarki np. na cały oddział neurochirurgii i lekarze pojawiający się na chwilę na obchodach. Tymczasem – według wypłacanych dodatków covidowych – w Polsce jednym pacjentem potrafiły się nagle zajmować aż 52 osoby z personelu. Nawet wliczając długi pobyt w szpitalu i rotację pracowników, takie liczby muszą budzić zdumienie.

Jakie możemy wyciągnąć z tego wnioski? Pierwszy – że gdy doprowadza się służbę zdrowia do niedoborów kadrowych i poważnego niedofinansowania, to w trudnej sytuacji trzeba nagle znajdować pieniądze i wrzucać je do systemu, błyskawicznie przygotowując jakieś regulacje. A regulacje pisane na kolanie kończą się tym, że dają możliwość wyprowadzania pieniędzy z systemu.

WIĘCEJ PIENIĘDZY DLA SŁUŻBY ZDROWIA?

Tu dochodzimy do drugiego wniosku – samo dosypanie pieniędzy do polskiej służby zdrowia niczego nie zmieni. Te pieniądze natychmiast znikną w kieszeniach personelu, a dla pacjentów będzie tak, jak było, albo gorzej.

Trzeci wniosek, najsmutniejszy – to lekarze sami niszczą etos, do którego tak chętnie się wciąż odwołują. Jeśli nie potrafią nie wyciągnąć ręki po pieniądze, które się im nie należały, to ich moralność pozostaje pod znakiem dużego zapytania i obciąża, niestety, całą grupę zawodową, wśród której – jak chcemy wierzyć – wielu jest naprawdę oddanych ludzi i skupionych na ratowaniu ich życia i zdrowia.

Wojna węglowa



Tomasz Rowiński

Dlaczego w Polsce, która przez dekady była węglową potęgą, dziś ludzie poszukują węgla?

Miało być inaczej, miało być spokojnie i nowocześnie. Energię mieliśmy pozyskiwać z wiatraków, farm fotowoltaicznych czy przydomowych elektrowni słonecznych. Piece węglowe miały być całkiem wyparte przez ich gazowe odpowiedniki oraz przez pompy ciepła. Niemiecka gospodarka miała całej Europie, w tym Polsce, dostarczyć „czystych” technologii do pozyskiwania energii, a tam, gdzie by to nie wystarczyło, bezpieczeństwo zapewniałyby błękitne węglowodory przesyłane z Rosji dwoma gazociągami Nord Stream. Tak wyglądał w wielkim skrócie przedwojenny niemiecki sen o Europie. We śnie tym, dzięki wykluczeniu węgla i atomu, Berlin rozdawałby karty ręką w rękę z Moskwą. Przyszła jednak wojna, która nie powinna dziwić nikogo, kto mieszka w Europie Wschodniej, i nic z niemieckich planów. Mamy za to – także w Polsce – swego rodzaju wojnę o węgiel.

TRZY TYSIĄCE ZA TONĘ

Węgiel na rynku jest dziś bardzo drogi pomimo tego, że zakończył się sezon grzewczy. Na składach węglowych podstawowy produkt, stosowany w posiadanych przez wiele polskich rodzin piecach, czyli ekogroszek, kosztuje już

nawet 3 tys. zł za tonę. Jeśli oczywiście w ogóle jest. To nawet trzykrotnie więcej niż np. w coraz bardziej popularnym sklepie internetowym Polskiej Grupy Górniczej, gdzie ekogroszek kosztuje ok. 1 tys. zł. Problem polega jednak na tym, że zarówno w sklepie PGG, jak i w działającym tylko dwa razy w tygodniu (we wtorek i czwartek w godz. 11–12) sklepie Tauronu towaru jest mało i znika on błyskawicznie. Dyskusje o tym, jak zdobyć węgiel, od miesięcy trwają na rozmaitych forach internetowych. Także tych niezwiązanych z technologiami opału. „Jak kupić ten [...] węgiel na PGG albo Tauronie? [...] Próbuję, ale widać, że to boty wykupują. Macie jakieś sposoby albo bota, który to ogarnie? Chcę kupić tylko jedną tonę, bo u mnie w okolicach tak z ceną poszaleli, że wołę płacić dostawę ze Śląska” – pisał jakiś czas temu, jeszcze zapewne przed wybuchem wojny na Ukrainie, pewien użytkownik portalu Wykop.pl.

Sytuacja jednak wcale się nie poprawiła razem z końcem zimy i to pomimo tego, że PGG obecnie udostępnia w sklepie nie 2–3 tys. ton węgla na dobę, ale 5–6 tys. ton. Jego zakup przez indywidualnego użytkownika przypomina grę losową. Dodajmy, że towar w sklepie jest udostępniany trzy razy dziennie: o godz. 7, 11 i 12.30. Inny użytkownik wspomnianego portalu społecznościowego – w odpowiedzi na zacytowany głos – napisał, że węgiel wystawiony w sklepie PGG znika w ciągu ok. dwóch minut. Jest oczywiste, że największe szanse na jego zdobycie mają doświadczeni pośrednicy, i mówią o tym wyraźnie górnicze związki zawodowe. – Część tych firm brała od nas węgiel po 900 zł, a na rynku sprzedawała

go za 2–3 tys. zł – powiedział 24 maja na antenie Radia Piekary Rafał Jedwabny, przewodniczący Solidarności 80 w PGG.

„Wszelkie próby unormowania sytuacji na rynku węgla są sabotowane i paraliżowane przez grupy interesu, którym obecna sytuacja odpowiada. Najlepiej widać to na rynku węgla dla odbiorców indywidualnych. [...] Tzw. ekogroszek jest nieosiągalny dla zwykłego obywatela. Niestety, cały gigantyczny zysk przechwytywany jest przez spekulujących pośredników” – napisali związkowcy z WZZ „Sierpień 80” w liście do premiera.

PROBLEM MAŁYCH SKŁADÓW

Przedstawiciele środowiska pośredników w handlu węglem nawet specjalnie nie wypierają się tego, że rzeczywistość sytuacja tak właśnie wygląda. Jednak inaczej opisują oni przyczyny, dla których właśnie tak się dzieje.

„Węgla opałowego w Polsce brakowało jeszcze przed wojną w Ukrainie, a wprowadzenie embarga na import surowca z Rosji zdecydowanie te problemy pogłębiło. Jest wiele małych składów, które wkrótce albo zawieszają działalność, albo całkowicie się zamkną. Bo jeśli przedsiębiorca sprzedawał np. 100 ton węgla miesięcznie i miał przy tym określoną marżę, to jeśli dziś dostaje miesięcznie 30 ton – to jaką musi mieć marżę, by pokryć wszystkie koszty i utrzymać skład? To dlatego te ceny sztybią na składach węgla, ale nie są to ponadprzeciętne zyski sprzedawców, tylko efekt braku surowca. Dla mnie to niezrozumiałe, że o wzrost cen w takiej sytuacji obwinia się właśnie sprzedawców” – mówił w wypowiedzi dla Business Insider Łukasz Horbacz, prezes

W składach tona węgla kosztuje już 3 tys. zł, a i tak trudno go kupić

FOT. ADOBE STOCK



Izby Gospodarczej Sprzedawców Węgla Polskiego.

Nawet jeśli – broniąc interesów swojej branży – prezes Horbacz nieco dramatyzuje, to w ogólnych zarysach sytuacja właśnie w taki sposób się przedstawia. Pomimo tego, że silne górnicze związki zawodowe naciskają w sprawie regulacji rynku, to jak do tej pory rząd nie zareagował na te propozycje. Premier i ministrowie odpowiedzialni za sprawy energetyki mają prawdopodobnie świadomość, że byłoby to poważne uderzenie w sprzedawców. Masowe plajty pośredników w przyszłości mogłyby zachwiać całym systemem dystrybucji węgla. Zatem jeśli ktoś szuka czarnego surowca we względnie dobrych cenach, to nie ma wyboru – albo będzie grał w ruletkę, którą oferują sklepy on-line producentów, albo musi zapisywać się do kolejek, które tworzą się przy autoryzowanych składach producentów. Zresztą, jak można przeczytać, takie zapisy, nawet z dwutygodniowym okresem oczekiwania na realizację dostawy, mają miejsce nawet na składach, gdzie ceny są rynkowe, czyli wysokie.

Rozwiązaniem problemu wysokich cen nie będzie także próba zakupu węgla importowanego bezpośrednio w portach, ponieważ tam surowiec także kosztuje już od 2,5 do 3 tys. zł za tonę i jego dostępność jest ograniczona.

CZY TO PANIKA?

Dlaczego zatem jest tak trudno? Odpowiedź na pytanie, dlaczego w Polsce, która przez dekady była węglową potęgą, dziś ludzie poszukują węgla, składa się z kilku elementów. Pierwszy jest bardzo prosty i w pewnym sensie uspokajający. Polacy – w związku z trwającą wojną

– bardziej, niż miało to miejsce w poprzednich latach, postanowili już teraz przygotowywać się na nadchodzącą zimą. Koniec okresu grzewczego nie wygasił zapotrzebowania na węgiel. Klienci, obawiając się konsekwencji cenowych i problemów z dostępem, niejako już teraz generują „nadpopyt”.

Drugi powód wynika ze wspomnianych na początku niemieckich marzeń o nowym porządku energetycznym w Europie. Także polskie kopalnie zostały przestawione na tryb pracy mający

Szacuje się, że w Polsce w tym roku zabraknie 11 mln ton polskiego węgla. Zapewne luka ta zostanie wypełniona importem

doprowadzić je ostatecznie do likwidacji w połowie XXI w. Oznacza to, że w ostatnich latach, z roku na rok, wydobycie było wygaszane i proces ten miał tylko przyspieszać. Teraz okazuje się, że nie ma możliwości, bez znacznych nakładów inwestycyjnych, by produkcję znów rozkręcić. PGG, według deklaracji jej prezesa Tomasza Rogali, przewiduje możliwość zwiększenia wydobycia – bez inwestycji – o niespełna 2 mln ton w ciągu dwóch lat.

Najbardziej obrazowo dla obecnej sytuacji wygląda jednak trzeci powód, czyli struktura importu węgla do Polski oraz struktura jego zużycia. W roku 2020 aż 15 proc. ogólnej konsumpcji stanowił węgiel importowany, z tego 72 proc. pochodziło z Rosji, gdzie surowiec ten

można było nabyć w niskich cenach. A 80 proc. węgla importowanego trafiało nie do przemysłu, nie do energetyki, ale do gospodarstw indywidualnych, które dziś najbardziej odczuwają problemy z niedoborem. Tymczasem rynek węgla został zamknięty nie tylko dla surowca pochodzącego z kierunku rosyjskiego (powodem jest embargo), lecz także np. nie dociera do naszego kraju węgiel z Kazachstanu, ponieważ transporty te blokują Rosjanie.

Szacuje się, że Polsce w tym roku zabraknie 11 mln ton polskiego węgla, z czego 5 mln braków będzie dotyczył sektora ciepłowniczego. Zapewne luka ta zostanie wypełniona węglem importowanym, ale znacznie droższym niż ten dawny, rosyjski – pamiętajmy, że ceny węgla na całym świecie znacznie wzrosły. Co piszą Polacy, którzy próbują kupić węgiel on-line? Ktoś „polował” cztery dni na ekogroszek, ktoś inny opisuje, jak towar w sklepie PGG skończył się w czasie, gdy on uzupełniał dane w formularzu zakupowym. Informacje o udanym zakupie inni uczestnicy forum kwitują entuzjastycznym „brawo!”.

Tymczasem według rzecznika PGG Tomasza Głogowskiego kopalnie spółki już teraz pracują na maksimum swoich możliwości. Skoro Polacy już wiosną starają się kupić węgiel na nadchodzącą zimą, to być może jesień nie przyniesie wcale tak dramatycznego pogorszenia się sytuacji i jesienna górką zapotrzebowania będzie wypłasczona? Zapewne w ostatecznym rozrachunku węgla nie zabraknie, ale pozostanie on drogi. Jak długo? O to – tak właściwie – należałoby zapytać Władimira Putina.



Agnieszka Niewińska

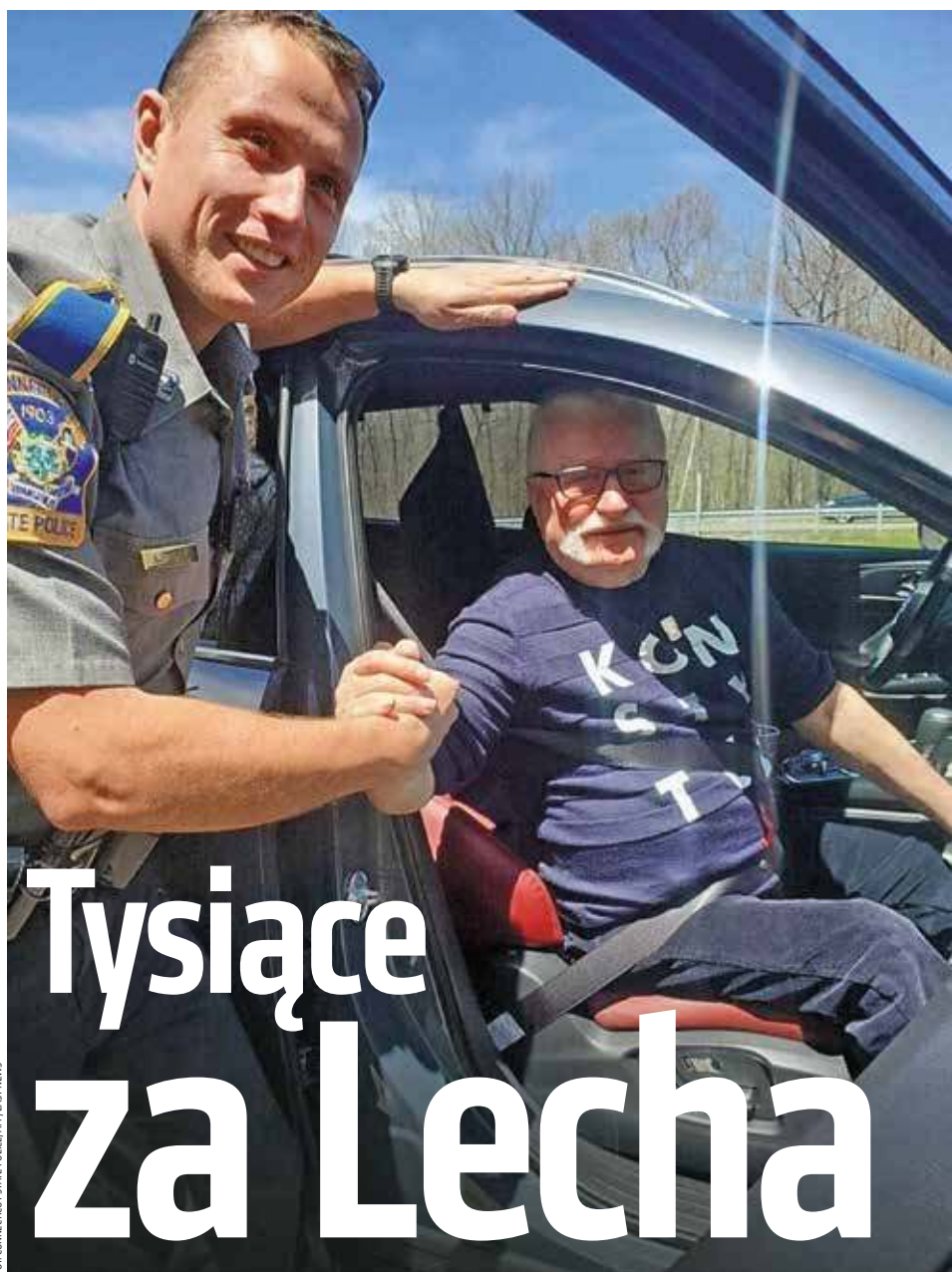
Prezydent Wałęsa żalił się, że pandemia doprowadziła go do bankructwa. Teraz nadrabia. Niedawno objeżdżał USA. Za udział w targach w Houston Agencja Rozwoju Pomorza zaoferowała mu blisko 170 tys. zł

W okresie pandemii o kłopotach byłego prezydenta Lecha Wałęsy rozpisywały się niemal wszystkie krajowe media. „Wielki dramat, prawdziwa rozpacz Wałęsy! Ujawnia szokującą prawdę o swoim majątku!” – tytułował doniesienia „Super Express”. Okazało się, że wraz epidemią koronawirusa i idącymi za nią lockdownami, odwołaniem imprez i zawieszeniem lotów Wałęsa nie mógł zarabiać na zagranicznych wykładach. Prezydencka emerytura w wysokości 6 tys. zł okazała się niewystarczająca, bo – jak zdradził Wałęsa – jego żona Danuta wydaje co miesiąc 7 tys. zł. – Nic nie kupię żonie pod choinkę, oddam siebie żonie i ja też chcę, żeby żona mi się oddała na święta, pod choinkę w prezencie – opowiadał w 2020 r.

Chwalił się, że za wykłady dostaje od 10 tys. euro do 100 tys. – Zarabiam na zachodnich kapitalistach – tłumaczył „SE”. W Polsat News dodawał: – Za friko przecież nie będę robił, ja już za friko robiłem przed 1989 r.

MATKA BOSKA I TRÓJZĄB

Teraz, kiedy większość krajów zniosła obostrzenia i życie wróciło do normy, Wałęsa może nadrabiać pandemiczne straty. Dopiero co wrócił z objazdu Stanów Zjednoczonych, a już zdążył gościć w Berlinie i spotkać się z uczniami międzynarodowego liceum w hiszpańskiej Walencji. Tylko z kilkudniowych targów Offshore Technology Conference w Houston w Teksasie przywiózł blisko 170 tys. zł. Zapłaciła mu Agencja Rozwoju Pomorza – spółka kontrolowana przez pomorski samorząd. „Prezydent Lech Wałęsa został poproszony o wsparcie promocji oferty regionu i Polski, ponieważ jako postać związana z historią kraju



FOT. CONNECTICUT STATE POLICE/AP/FEST NEWS

Tysiące za Lecha

i laureat Pokojowej Nagrody Nobla cieszy się ogromnym uznaniem i popularnością na arenie międzynarodowej” – poinformowała Agencja Rozwoju Pomorza.

Na wizycie w Houston pobyt Wałęsy w USA się nie skończył. Kolejne etapy relacjonował na swoim profilu na Facebooku. W Bostonie spotkał się z przedsiębiorcami, a także ubrany w koszulkę baseballisty rozpoczął mecz między drużynami Red Sox i Houston Astros. Spotkał się z gubernatorem Teksasu i z konsulem Ukrainy w USA. Odebrał tytuł doctor honoris causa New England College. Przemówił w Parlamencie Stanu New Hampshire i w Muzeum Lotnictwa w stanie Connecticut. Odbił spotkania ze studentami Uniwersytetu Franklin Pierce, Centralnego Uniwersytetu Stanowego

Connecticut (CCSU) czy Uniwersytetu Teksasu w Austin. Udzielał wywiadów amerykańskim mediom, brał udział w mszach w polskich parafiach, zamieszczając w sieci swoje zdjęcia sprzed ołtarzy. Dzielił się fotografiami z członkami amerykańskiej Polonii, z przechodniami.

W okolicach Tolland w stanie Connecticut Wałęsa złapał gumę. W patrolu, który został wezwany na pomoc byłemu prezydentowi, znalazł się pochodzący z Polski i mieszkający od 17 lat w USA Łukasz Lipert. „Nigdy nie wiesz, kogo spotkasz jako policjant stanowy” – napisała na Facebooku policja stanu Connecticut, zamieszczając zdjęcie Liperta z Wałęsą. „Funkcjonariusz Lipert był niezwykle wdzięczny za możliwość udzielenia pomocy tak wpływowej

osobie i krótko porozmawiał o historii Polski”.

Na spotkaniach w USA Wałęsa apelował o pomoc Ukraińcom, nawoływał do zbiórek pieniędzy. Za oceanem prezentował się ubrany w koszulkę z napisem „Konstytucja”, do której miał przypięty nie tylko wizerunek Matki Boskiej, lecz także ukraińskie barwy czy trójzab – herb naszego wschodniego sąsiada. Uczestników World Affairs Council of Connecticut informował, że chodzi w koszulce z napisem „Konstytucja”, bo w Polsce łamane są zasady demokracji. Uspokajał jednak, że nie ma na sobie ciągle tej samej bluzki, bo przywiózł ich aż 10.

ZELEŃSKI NIE ZROZUMIAŁ NOBLISTY

Dzięki YouTube jego wystąpienie można obejrzeć nie za 10 tys. euro, a zupełnie za darmo (do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” z tej możliwości skorzystało 15 widzów). Wałęsa dzielił się swoimi pomysłami na rozwiązanie konfliktu na Ukrainie. Stwierdził, że próbował pomóc Wołodzimierzowi Zeleńskiemu, ale ten nie zrozumiał jego inicjatywy. – Na początku jego walki zgłosiłem, że jestem gotowy jechać na Ukrainę. To był pomysł, żebyśmy zorganizowali międzynarodowe różne grupy: noblistów, generałów, jakichś profesorów od ekonomii i innych rzeczy. Byłbym w tych różnych grupach solidarnie pomagali Ukrainie. Ale nie podchwycił mojej inicjatywy. Pozostałem na bezrobociu, dlatego przyjechałem do was – zwracał się do amerykańskiej publiczności.

– Jak najbardziej trudne pytania zadawajcie mi, bo ja jestem stary i zasypiam przy łatwych – apelował do uczestników. – Przy trudnych budzę się, a jednocześnie chcę razem z wami znaleźć mądre odpowiedzi. Ja je przywłaszczę, idę na następną salę i popisuję się, jaki mądry jestem – rzucił, wzbudzając śmiech na widowni.

W teksańskim Austin przedstawiał swoją koncepcję na Rosję. – Co musimy zrobić? Wymusić, by poprawili przepisy. Nie może jeden człowiek takim wielkim krajem dysponować, nie może podejmować decyzji, które zagrażają światu. Tu coś trzeba zrobić – opowiadała, wymachując żywiołowo rękami. – Zwróćcie uwagę, że jest co najmniej 60 wielkich narodów w Rosji. Kiedyś to były oddzielne państwa, tylko Rosja wykończyła tych przywódców. Musimy obudzić te narody, żeby Rosję zmniejszyć. Rosja nie powinna mieć więcej niż 50 mln ludzi,

wtedy nie będzie groźna dla świata.

Takie zadanie jest przede wszystkim dla Stanów. Organizować te dwie rzeczy, by to osiągnąć. Moja rewolucja była po to, żeby zmienić świat. Ale siły my nie mamy – ani ja nie mam, ani Polska nie ma. Teraz jest rola wasza, więc albo to zrobicie, albo oddajcie mi Amerykę i ja to zrobię – zadeklarował Wałęsa.

Chętnie stawiał siebie samego w jednym rządzie z Tadeuszem Kościuszką i Kazimierzem Pułaskim. Przedstawicielom władzy sądowniczej stanu New Hampshire mówił, że 30 lat temu próbował doprowadzić do szerszej dekompozycji byłego Związku Sowieckiego, ale amerykańscy politycy mu na to nie pozwolili.

Niezależnie od treści wystąpień były polski prezydent był przyjmowany entuzjastycznie. – Lech Wałęsa jest postrzegany w USA zupełnie inaczej niż w Polsce. My widzimy go przez pryzmat uwikłania w bieżącą politykę. Jego legenda jest nadszarpnięta, a poprzez stałą obecność w przestrzeni publicznej Polakom się po prostu znudził. Uczestnicy spotkań z Wałęsą w Stanach Zjednoczonych choć często dostrzegają jego egotyzm, to nie patrzą na niego w kontekście jego zaangażowania w bieżącą politykę, nie widzą wokół niego kontrowersji. Dla nich Wałęsa to żyjąca legenda, laureat Nagrody Nobla, uczestnik ważnych wydarzeń historycznych stawiany w jednym rządzie z takimi postaciami jak Ronald Reagan, Margaret Thatcher czy Michaił Gorbaczow – mówi Artur Wróblewski, amerykańista z Uczelni Łazarskiego.

Zwraca uwagę, że tradycję wygłaszania płatnych wykładów przez byłych prezydentów zapoczątkował w Stanach Zjednoczonych Gerald Ford, choć niektórzy z pełniących ten urząd uznawali za niewłaściwe czerpanie korzyści z bycia byłym prezydentem. – Takie podejście mieli np. Harry Truman czy Jimmy Carter. Warto zwrócić uwagę, że emerytura byłych prezydentów jest w Stanach Zjednoczonych ściśle regulowana. Otrzymują oni taką samą kwotę co m.in. członkowie gabinetu (sekretarz stanu czy handlu) czy szefowie takich instytucji jak np. szef Funduszu Rezerw Federalnych czy dyrektor wywiadu (National Intelligence). Wynosi ona w tej chwili 226,300 tys. dol. rocznie według specjalnej tabeli określającej wynagrodzenie 21 najwyższych urzędników w państwie. Jak na Stany Zjednoczone nie jest to

zawrotna kwota, choć do tego trzeba dodać jeszcze m.in. pokrywane wydatki na biuro, dożywotnią ochronę, opiekę medyczną i ubezpieczenie medyczne – wskazuje Artur Wróblewski. I dodaje, że wynagrodzenie urzędującego prezydenta wynosi obecnie 400 tys. dol. (podniesiono je z 200 tys. w 2001 r.).

Jak mówi Artur Wróblewski, czterej żyjący byli prezydenci USA wygłaszają płatne wykłady. – George W. Bush do 2020 r. wziął udział w ok. 200 tego typu eventach, zarabiając 20–35 mln dol. Za wystąpienie otrzymuje 100–175 tys. dol., a więc jego dolne stawki są górnymi stawkami Lecha Wałęsy. Rekord pobił Bill Clinton, który za wykład w Hongkongu otrzymał kwotę 750 tys. dol. Ogółem w latach 2001–2012 zarobił w ten sposób 104 mln dol. Z kolei Barack Obama za trzy wykłady na Wall Street otrzymał 1,2 mln dol. i spotkał się w związku z tym z głosami krytyki. Zaczęto nazywać go członkiem Wall Street, co było niekorzystne wizerunkowo po okresie kryzysu finansowego w USA, do którego przyczynili się przecież finansowi spekulanci. Płatne wykłady wygłaszają zresztą nie tylko byli prezydenci, lecz także byli kandydaci na prezydentów, jak Hilary Clinton czy pretendujący do kandydowania Jeb Bush, Ben Carson. Zwykle jednak deklarują, że część przychodów przekazują na cele charytatywne – tak stało się w przypadku wspomnianych wykładów Obamy, z których honorarium prezydent zobowiązał się przekazać na programy społeczne wspierające młodzież z ubogich rodzin w Chicago – podkreśla amerykańista z Uczelni Łazarskiego.

KONSTYTUCJA PO HISZPAŃSKU

Po powrocie z USA Wałęsa nie zagrała miejsca w Gdańsku. Najpierw pojechał na debatę do Berlina. W ubiegłym tygodniu w Walencji przemawiał do uczniów Colegio Internacional Levante. Szkoła poinformowała, że wygłosił wykład zatytułowany „Solidarność w XXI w.”. Na pamiątkowych zdjęciach z uczniami i kadrą Wałęsa wystąpił w burej koszulce. Wyraz „konstytucja” zastąpił na niej hiszpańskim odpowiednikiem „constitución”. Stawki, za jaką występuje przed dziećmi kapitalistów, nie zdradził. Wszystkie wskazuje jednak na to, że ciężkie czasy już za nim, a pani Danuta Wałęsa nie musi się ograniczać w wydatkach. Może nawet prezent gwiazdkowy w tym roku dostanie?



Mój Lwów



Krzysztof Masłoń

Mam niezbywalne prawo do tego miasta. Dopóty, dopóki jest ono w moim sercu. Tak samo jak rodzinna Warszawa, jak Kraków, Lublin i Białystok, a może i bardziej. Lwów tak jak Wilno jest bowiem miejscem utraconym, a takie kocha się najmocniej

Adam Zagajewski najlepszy swój wiersz kończył słowami: „Lwów jest wszędzie”. To bardzo piękne, tyle że nieprawdziwe stwierdzenie. Lwów jest bowiem jeden, jak w znanej piosence „jedyń na świecie”. Innego nie ma. I nie będzie.

W tym samym wierszu poeta pisał: *Zawsze było za dużo Lwowa, nikt nie umiał zrozumieć wszystkich dzielnic, usłyszeć szeptu każdego kamienia, spalonego przez słońce, cerkiew w nocy milczała zupełnie inaczej niż katedra.*

Mnie było go wciąż za mało i ten niedosyt będzie już towarzyszył mi zawsze. Ale którego Lwowa mi brakuje?

Tego prawdziwego czy zbudowanego ze słów pisarzy i poetów? Na pewno Lwowa polskiego, a ten przecież jest już mitem tylko. To miasto dawno już nie jest „Polską obłąkaną” – jak pisał Kornel Makuszyński – ale przecież życzę mu dziś tego samego co autor „Uśmiechu Lwowa”: „Bądź potężne, i wielkie i wspaniałe. I niech cię Bóg, otoczony tymi co za ciebie padli, rozrzewniony i wzruszony, da spokój wiekiście, abyś mogło pracować i rósć, jak dąb”.

ZBYT PATETYCZNE

Skąd mnie do Lwowa? Toż Marian Hemar, z wrodzoną sobie wyrozumiałością, wywodził:



Lwów

FOT. ADOBE STOCK



Kaplica Boimów

FOT. ADOBE STOCK

że kolejne mogą trafić w wieżę ratuszową i w Teatr Wielki, że zagrożona może być kaplica Boimów, katedry – łacińska i ormiańska, i grekokatolicki Jur, i wszystkie lwowskie kościoły – ze św. Elżbietą włącznie, która w św. Olę się przeistoczyła, co jednak w kontekście tego, co się dzieje, przestaje być ważne. I odpędzam uparczywie nasuwające się myśli o cmentarzu Łyczakowskim i o tych, którym należna jest nasza pamięć jak mało komu innemu – o Orłętach Lwowskich. Ryszard Jan Czarnowski i Eugeniusz Wojdecki w swojej monumentalnej i jakże niepoprawnej politycznie pracy „Lwów. Dzieje miasta” pisali (siedem lat temu!) o cmentarzu Orłąt:

„To miejsce uświadamia, że historia uczy wierności, że los Obrońców tutaj leżących zdaje się być naszym losem – czy chcemy tego, czy nie. Zbyt patetyczne – powiedzą Państwo. – Ale przecież teraz zagrożenia mamy podobne (o ile nie takie same).

To miejsce uświadamia wielu (choć nie wszystkim, rzecz jasna), że są żołnierzami Rzeczypospolitej. Takimi, bez których ona upadnie, a bez niej i oni szczenią, gdy pewnego dnia z telewizji dowiedzą się, że Jej już nie ma”.

No dobrze, ktoś powie, ale to jednak ukraińskie miasto. Polskie było, owszem, niemniej nazywano je Leopoliś, Lwów, Lwiw, Lemberg, Lovenburg, znowu Lwów, Lwow i teraz znowu Lwiw. To Joseph Roth nazwał je przed laty miastem zatartych granic.

I co z tego? Nie kto inny, jak Lech Wałęsa rzecz ujął następująco: „Lwów i kresy

to już dziś działka na księżycu”, zaskarbując sobie niemal taką samą „wdzięczność” naszych kresowiaków jak Jacek Kuroń, któremu swego czasu nieomal słów zabrakło, by wyrazić swój zachwyt z tego powodu, że Lwów jest ukraiński.

A ja powiem, że mam niezbywalne prawo do tego miasta. Dopóty, dopóki jest ono w moim sercu. Tak samo jak rodzinna Warszawa, jak Kraków, Lublin i Białystok, a może i bardziej. Bo tak jak Wilno jest miejscem utraconym, a takie kocha się najmocniej. I drży o ich życie i zdrowie.

I JAK ZABRAĆ TO SERCE

Uczyłem się Lwowa długo, pozostając sceptycznym wobec jego legendy i odpornym na jego uroki. A gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, poczułem... sowiecki oddech. Nic w tym dziwnego; Aleksander Wat w „Moim wieku” wspominał, że po wejściu do miasta Sowietów „Lwów brzydł z dnia na dzień. [...] Wszystko tam szmatławiło”. Po ponad pół wieku panowania tam bolszewii musiał zbrzydnąć po wielokroć, a przecież bronił się przed doszczętną sowietyzacją. I wybronił się.

Do Lwowa się dojrzewa, o czym przekonali się ci nawet, którzy przyszliz tam na świat. Janusz Majewski, dzisiejszy piewca lwiego grodu – jak wspominał – też późno „zaczął odkrywać zapomniane dzieje tej ziemi, jej zawiłą historię, dramatyczne epizody”. Zobaczył wtedy „długi korowód pokoleń Polaków, Rusinów, Żydów, Ormian, Tatarów, Węgrów, Niemców i wielu innych nacji, które stapały się tu, w tym tygł, mieszały swoje wartości, aby wydestylować ową niepowtarzalną aurę, której pamięć okazuje się nieśmiertelna”.

Z mieszkańcami Lwowa rozmawiało się jednak niełatwo. Z Ukraińcami wypominającymi często urojone represje, które spotykały ich przodków w II Rzeczypospolitej i stawiającymi znak równości między Armią Krajową i UPA nie dawało się, Polacy z kolei najczęściej nie wychodzili poza powtarzaną na okrągło deklarację: „A ja si ze Lwowa nie ruszę za próg, ta mamciu, ta skarż mnie Bóg!”. Wzruszające, ale czułem się wtedy jak w Karczmie Lwowskiej na wrocławskim rynku, gdzie z głośników sączą się lwowskie szlagiery międzywojnia. Za dużo w tym było po części sztucznie pielęgnowanego, a i podrabianego folkloru (warszawska kapela Staśka Wielanka we lwowskim repertuarze), za mało autentyzmu. Choć nie pamiętam, którego roku, ale na pewno w samym końcu komunizmu,

**Jak kto jest z Warszawy,
Z Poznania albo Łodzi – nie szkodzi,
Ale przecież on nie wie, o co chodzi!**

Może jednak nie miał do końca racji, bo wydaje mi się, że coś tam wiem, że coś tam rozumiem i że jakaś moja częśćka ze Lwowa jest właśnie. Choć z papierów nic podobnego nie wynika. Ale inna poetka lwowska, Maryla Wolska, wyznawała: „Wierzę w Boga i Lwów!”. A że podzielam tę wiarę, to i wystarczy.

Musi więc cierpnąć mi skóra na myśl o tym, że rosyjski agresor wystrzeliwuje rakietę w kierunku Lwowa, że niszczy one jakieś magazyny koło Dworca Głównego, jakąś stację paliw... Nie chcę myśleć o tym,

■ a może już w roku 1989 Telewizja Polska odważyła się w Wigilię pokazać „Włóczęgi”, film Waszyńskiego z 1939 r., ze Szczepkiem i Tońkiem, czyli Kazimierzem Wajdą i Henrykiem Vogelfängerem w rolach głównych, z tymi właśnie lwowskimi piosenkami na czele z „Tylko we Lwowie”. I wtedy spłakałem się, dając wyraz swojej tęsknocie. Za czym?

Lwówianin będzie w tym miejscu wymieniał: za widokiem z Wysokiego Zamku, parkiem Stryjskim i Ogrodem Jezuickim, za kamienicami: Czarną i Królewską, Matką Boską z pl. Mariackiego, która przeszła burzliwą historię, nim powróciła na swoje dawne miejsce, choć nie bez kłopotów... A świątynie, w tym kościół św. Marii Magdaleny, do celów sakralnych udostępniany dziś od wielkiego dzwonu. Przy ul. Sapiehy, obecnie Bandery... Czy warto spisywać tu litanię miejsc wyjątkowych i obiektów, które albo już nie są takie same jak kiedyś, albo ich już nie ma?

Józef Relidzyński pytał:

***Jak zabrać owe mury szacownej Katedry,
Gdzie Jan Kazimierz składał Polsce swoje
śluby?...***

***Zabrać Plac Bernardyński – ów zakątek luby,
Gdzie nocą cień się włóczy Aleksandra Fredry?***

***I jak zabrać to serce, co uwięzło tutaj,
I ani rusz je wyrwać... co mury te bluszczem
Oplata i w tym bruku krwi gorącą pluszczem,
Miłością tego miasta uroczną zatrute?***

Mit miasta fenomenu – genius loci – nie powstał sam z siebie. Tworzyli go historia i ludzie: stąd przecież wyszło odrodzenie i wyzwolenie narodowe – polskie i ukraińskie, to była stolica polskiego Piemontu.

W czasach zaborów rozkwitł w okresie galicyjskiej autonomii. Między 1870 a 1914 r. powstały we Lwowie budowle Sejmu Galicyjskiego – później Uniwersytetu, Politechniki, Galicyjskiej Kasy Oszczędności, Gimnazjum Franciszka Józefa, Teatru Wielkiego, Muzeum Przemysłowego, Biblioteki Uniwersyteckiej, Dworca Kolejowego. Wówczas wzniesiono pomniki: Mickiewicza, Fredry, Ujejskiego, Franciszka Smolki, Jana III Sobieskiego, Artura Grottgera, Seweryna Goszczyńskiego, Jana Kilińskiego, Karola Szajnoch, Agenora Gołuchowskiego, Bartosza Głowackiego... Ale o nich potem. Zapomina się, że w tym mieście odchodziła wcześniej ostra germanizacja, że ten sam uniwersytet postanowiono zaraz po I rozbiórce zredukować do rangi liceum, w szkołach prześladowano

uczniów mówiących po polsku, a w mieście zabroniono noszenia polskich strojów narodowych. W tych czasach tylko przez kilka tygodni w roku 1809 miasto cieszyć się mogło wolnością, kiedy to zajęli Lwów ułani księcia Józefa Poniatowskiego. Później na to, by Lwów stał się znowu polski, czekać trzeba było ponad wiek.

Mamy z Ukraińcami tę samą lwowską historię, różni nas pamięć. – Wierzę, że w przyszłości nie będzie między nami granic – oświadczył niedawno, 3 maja, Andrzej Duda. Każda wiara jest święta i nie mam zamiaru dezawuować słów pana prezydenta, ale – błagam – szanujmy słów naszych węg, bo czcze deklaracje nie mają żadnego przełożenia na realia. A te są takie, a nie inne. Na razie Lwów jest coraz mniej polski i w coraz mniejszym stopniu jest polski. Ale jest i drugiego nie ma. A w zapędach Putina w stronę Ukrainy nie ma nic nowego. W końcu już w 1915 r. car Mikołaj II ogłosił we Lwowie, że „nie ma żadnej Galicji, jest tylko jedna, aż do Karpat sięgająca Wielka Rosja”. No więc Lwów ruski być nie może. Co do tego z Ukraińcami w pełni się zgadzamy.

MY LUBIM POMNIKI

Polski Lwów rozprzestrzenił się po kraju. Z lwowskim Sobieskim, na przykład, zapoznałem się... w Wilanowie. Stał sobie, ukryty w głębi wilanowskiego parku i jako dziecko myślałem pewnie, że był tam od zawsze. W istocie przywieziono go ze Lwowa w 1950 r., by po 15 latach przetransportować do Gdańska, gdzie stoi sobie na Targu Drzewnym. O tym, skąd pochodzi i że powstał jeszcze w XIX stuleciu, dokładnie w 1898 r., przypomina tablica z tekstem: „Królowi Janowi III miasto Lwów”. Szczęśliwie Sowietci nie zrealizowali pomysłu, by pomnik pozostawić we Lwowie, tyle że przerobiony na Bohdana Chmielnickiego. Uznano bowiem, że postaci bohaterów – polskiego i ukraińskiego – są fizycznie do siebie podobne i wystarczy tylko dać napis ze stosowną informacją, by ten znaczący widomy znak polskości Lwowa zniknął z przestrzeni miejskiej.

Ale został tam przecież Mickiewicz. Najpiękniejszy ze wszystkich pomników naszego wieszca, lwowanie powiedzieliby „tak cudny, tak cudny...”. Po wojnie w sowieckich przewodnikach po mieście utrzymywano, że twórcą pomnika Mickiewicza był ukraiński rzeźbiarz Michaił Paraszczuk. Rzeczywiście ktoś taki, w chwili rozpisania konkursu na pomnik mający 12

Plac Bernardyński we Lwowie,
1913 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



lat, przy wznoszeniu kolumny był jednym z pomocników... Naprawdę ta strzelista kolumna, to lwowskie miejsce polskiej pamięci narodowej, jest dziełem Antoniego Popiela, twórcy jeszcze jednego ważnego pomnika polskiego Lwowa, a mianowicie Kornela Ujejskiego, autora sławnego „Chorału” („Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”). Jego popiersie z brązu na wysokim cokole stoi w Szczecinie, tuż za Bramą Portową. Z tyłu ma napis: „Narodzie mój, bądź szczęśliwy”.

Przetrwał za to w parku Stryjskim Jan Kiliński. Postawiony tam w 1895 r., odnowiony już w naszym stuleciu, jakoś przetrzymał wszelkie zawieruchy historyczne i polityczne. I tak jak na warszawskim Podwalu (stołeczny Kiliński jest młodszy, bo z 1934 r.) bohaterski szewc wznosi szablę na Moskała, a na jednej z pomnikowych tablic wyryte ma zdanie z jego pamiątnika: „Jedną duszę mam i tę poświęcam na obronę mojej ojczyzny”. Ten sam rzeźbiarz, Julian Markowski, obok Kilińskiego uwiecznił jeszcze jedną ważną postać z naszych dziejów, z tej samej insurekcji kościuszkowskiej 1794 r. – Bartosza Głowackiego. Ten drugi pomnik usytuowano w innym



parku – Łyczakowskim. I on się zachował. Pewnie dlatego, że tak jak Kiliński nie rzucił się specjalnie w oczy.

Wyparowały inne polskie pomniki, Franciszka Smolki czy Agenora Gołuchowskiego. Powstały zaś monumenty z Polską niemające już jednak nic wspólnego albo i takie, które wywołują w nas odruchy sprzeciwu. Jak pomnik Bandery, dla którego znaleziono miejsce w pobliżu kościoła św. Elżbiety... Tego samego, którego wieże, jak w pieśni, widać już z daleka – niestety...

Z pl. Akademickiego we Lwowie na wrocławski rynek wywędrował z kolei, tak mocno z leżącym nad Pełtwią (kto ją widział?) grodem związany, Aleksander hr. Fredro. Hemar po tej przeprowadzce pisał z gniewem:

*Nocą przybiegli zbójcy, było ich dwunastu,
I śpiącego na swoim placu go opadli,
I przemocą wydarli bezbronnemu miastu,
I jemu bezbronnemu jego Lwów ukradli.*

*Wysiedlili złom spiżu i milczący kamień
I zaorali po nim plac i bruk uliczny.
Stój teraz za granicą. W Wrocławiu się zamień
W tragiczny pomnik „Zemsty za ten mur graniczny”.*

Nie sędzę, by świadomość tego tragizmu była nad Odrą szczególnie odczuwana. Siedzi Fredro na krzeselku, trzymając w rękę pióro, choć, jako żywo, swoje komedie pisał, stojąc, co słusznie przypominał Witold Szolginia, arcyłwowiak i arcyłyczakowianin, jak go Jerzy Janicki nazywał: „Absolutny rebe. Po papiesku nieomylny w kwestiach lwowskich”. Miałem możliwość poznać obu panów, co poczytuję sobie za zaszczyt. Z Fredrą, z naturalnych powodów, nie zaznajomiłem się i tego pewnie żałuję najbardziej. Ale ilekroć jestem we Wrocławiu, przychodzę pod jego pomnik i mam wrażenie, że oswoił się z nowym miejscem. Tak jak wsiadki we Wrocław lwowscy wygnańcy, którzy tu właśnie trafili. Tak jak inni lwowianie do Bytomia czy Gliwic. A propos tych ostatnich: urodzony w Gleiwitz niemiecki prozaik i poeta Horst Bienek pisał:

*Wypędzili nas z Gliwic
Wypędzeni ze Lwowa.
Żeby ślad nie pozostał.*

Prawdziwych batiarów dawno już we Lwowie nie ma, w pewnym momencie pojawiły się za to w mieście figury baciarów z brązu. Ma swój pomnik Nikifor. Są obowiązkowe na Ukrainie pomniki Tarasa Szewczenki i Iwana Franki, ale

upamiętniony też został Andrzej Szeptycki. A i dobry wojak Szwejk dotarł tutaj w swoich peregrynacjach, trafili się też pisarz Leopold von Sacher-Masoch („ojciec chrzestny” masochizmu) i kominarz. Mają swój pomnik wynalazcy lampy naftowej, lwowscy aptekarze Jan Zeh i Ignacy Łukasiewicz. Jest pomnik księcia halickiego Daniły, a i Piwny Pępek Ukrainy.

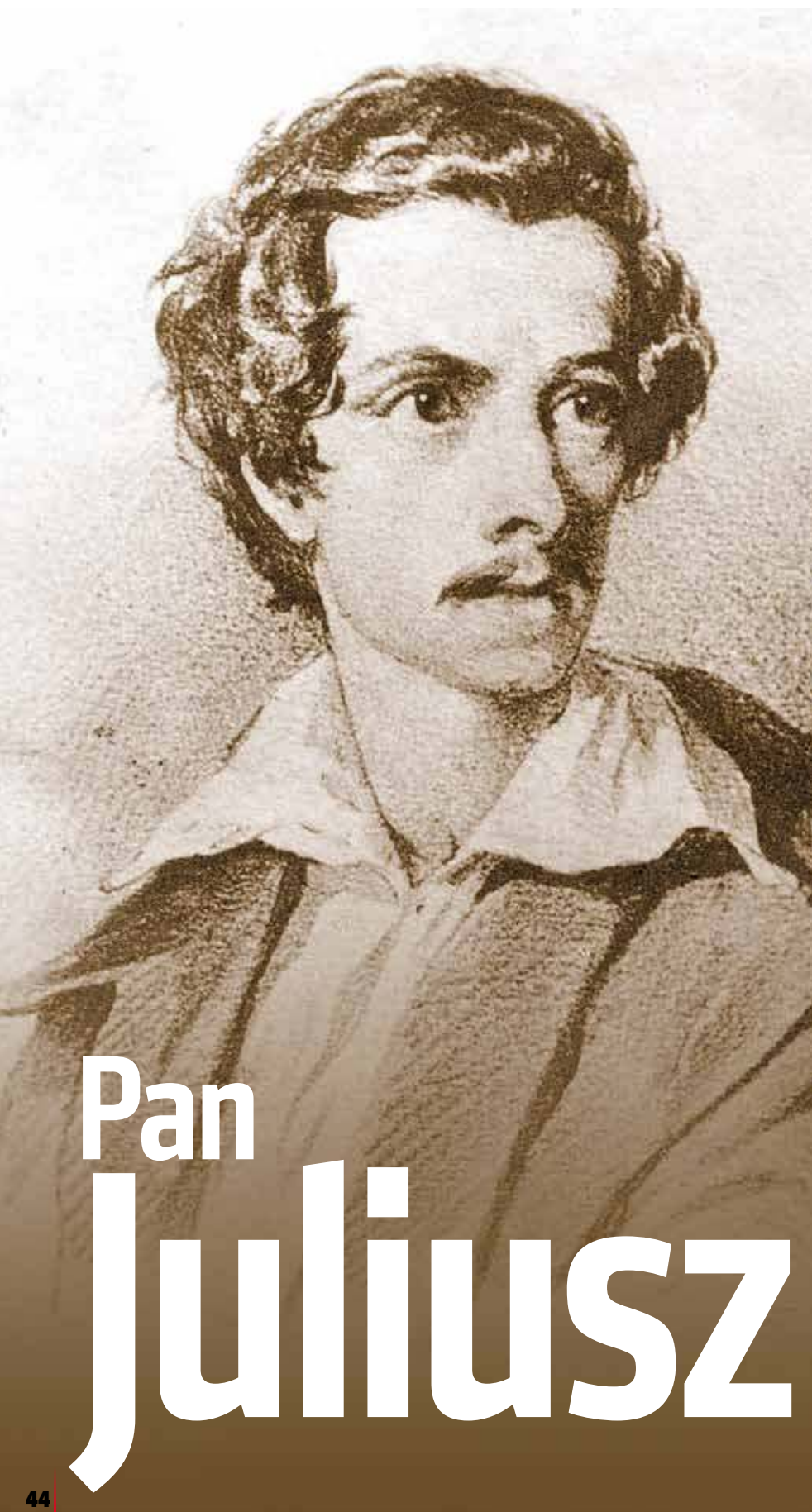
Słowem – pełna dowolność, ale niektóre straty okazały się bezpowrotne. Przed kościołem Bernardynów na kolumnie wotywniej stała figura patrona Lwowa, św. Jana z Dukli. Za Sowietów rozbito ją wraz z trzonem kolumny, a żałosne pozostałości długo jeszcze straszły mieszkańców.

Z posągu Neptuna zdobiącego lwowską fontannę, nie tak sławną jak rzymska di Trevi, ale zawsze, odpiłowano tryzubę. Za nacjonalistyczne uznawano za komuny już same barwy: niebieską i żółtą. Szusznar była jedynie czerwień, podejrzane lwy i delfiny – wskazane wyłącznie sierpy i młoty. W 1971 r. to „zawsze wierne” miasto udekorowano Orderem Lenina (przypomnę, że w 1920 r. Józef Piłsudski nadał mu Krzyż Virtuti Militari jako jednemu miastu Rzeczypospolitej), 19 lat później z najbardziej reprezentacyjnego miejsca Lwowa przed Teatrem Wielkim usunięty został, stojący tam od roku 1950, pomnik tegoż Lenina. Cóż to była za ulga!

Przeżywał Lwów w swoich dziejach trudne chwile, nie tylko w latach drugiej wojny światowej i podczas podwójnej okupacji – niemieckiej i przedłużającej się ponad miarę sowieckiej. Także wcześniej, kiedy w połowie XIX stulecia Moskale, wezwani na pomoc przez Austriaków, przywlekli do miasta epidemię cholery. Na nieistniejącym cmentarzu Stryjskim chowano ludzi w zbiorowych mogiłach.

Bardzo chciałbym, by za ileś tam lat lwowianie wyrzucili z pamięci, jak tamtą cholera, dzisiejszą wojnę z putinowską Rosją. Żeby ślad nie pozostał po otwieranym ostatnio przez naszego premiera i mera Lwowa kontenerowym miasteczku dla tzw. uchodźców wewnętrznych. Ale żeby pieczętowanie chroniony był cmentarz Łyczakowski, na którym dogładane będą grobowce i autorki „Roty” – Marii Konopnickiej, i twórcy „Lithuanii” i „Polonii”. Bo przecież, jak pisała Maryla Wolska, „do Grottgera szło się zawsze najpierwej”.

Mój Lwowie, bądź zdrów!



Sławomir Gralka

Waldemar Łysiak daje odpór tym, którzy Juliuszowi Słowackiemu przypisują homoseksualizm

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej polecam panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy” – rozkazał wzruszony Komendant Józef Piłsudski na krążgankach Wawelu 28 czerwca 1927 r.

Idol dzisiejszych goszytów Jerzy Urban wiele lat temu wyjawiał swoje najszytsze marzenie: „Chciałbym skur.ć jak największą ilość Polaków”. Udało mu się to znakomicie, czego przykładem są jego „dzieci” i „wnuki” wytresowane przez „NIE”, „Gazetę Wyborczą” czy też „Krytykę Polityczną”, które „za honor” wzięły sobie zozydzenie wszystkich polskich świętości. „Nie” pluje, ile się da, na naszą religię, „GW” zasłynęła kłamstwem, że powstanie warszawskie wybuchło po to tylko, żeby Armia Krajowa wymordowała resztki Żydów, którzy jeszcze żyli w Warszawie, a „Krytyka Polityczna” wszystkich wielkich polskich twórców chce koniecznie zapisać do „społeczności LGBT”. Ostatnio na cel wzięto Juliusza Słowackiego.

Najnowsza książka Waldemara Łysiaka jest jego twardym non possumus. Każdy wielki twórca ma oprócz wielbicieli również wrogów, ludzi sobie nieprzychylnych. Ale nawet oni, znający Juliusza z autopsji, nie zarzucili mu grzechu sodomii. Czy Słowacki mógł być pederastą? Oczywiście, tylko że nie ma na to najmniejszego dowodu! A jako przesłanki wyciągnięto naszemu wieszczowi, że był człowiekiem ponadprzeciętnie wrażliwym i w odróżnieniu od Mickiewicza bardzo dbał o swój ubiór i wygląd zewnętrzny (okazuje się, że dla tych „zapisywaczy” każdy, kto nie wygląda jak obdarty łachmyta, to homoseksualista!). Mocną przesłanką miały być też „czułości” zawarte w listach Juliusza do serdecznego przyjaciela Zygmunta Krasińskiego (też doskonałego poety).

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

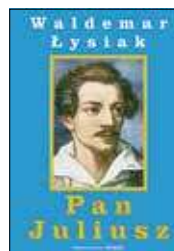
Tak to jest, gdy za pisanie biorą się ludzie kompletnie „nieczujący” epoki romantyzmu – w tamtych czasach swoista egzaltacja i poufałości między mężczyznami były rzeczą normalną (że przypomnę tylko czułości, którymi Chopin obdarzał w listach Tytusa Wojciechowskiego czy Berlioz Liszta...).

To, że facet pisał do faceta „kocham cię”, nie oznaczało wtedy, że chce go od razu zająć od tyłu! Lwia część tej przepięknie wydanej książki jest poświęcona miłostkom i miłościom Słowackiego do płci przeciwnej (okazuje się, że nasz wieszcz był osobą bardzo kochliwą i całe życie pozostawał pod urokiem kobiet). Jego pierwszą młodzieńczą miłością była Ludwika, starsza od niego o siedem lat. Zwariował na jej punkcie do tego stopnia, że gdy odrzuciła jego zaloty, groził, że popęlni samobójstwo!

Jak wiadomo, Juliusz Słowacki (1809–1849) większość swojego życia spędził na emigracji, skąd wysyłał listy (wręcz bardzo szczegółowe relacje) do swojej ukochanej matki, z których dowiadujemy się o jego kolejnych perypetiach miłosnych. Oprócz tych listów jest wiele

świadczeń z epoki o kobietach Słowackiego i o tym, jak był przez nie kochany. Na przykład jedna z nich, która została odrzucona przez Juliusza, już jako mężatka ukwiecała jego grób w każdą rocznicę śmierci i w swoim testamencie (!) nakazała robić to samo swoim dzieciom.

Sprawy sercowe naszego wieszca to pasjonująca rzecz, ale część druga książki jest poświęcona nie mniej ważnym wydarzeniom, a mianowicie starciu dwóch wielkich osobowości: Mickiewicza i Słowackiego. Który z nich jest większy – pytanie bez odpowiedzi, bo każdy ma cały legion wielbicieli. Bulwersującą sprawą jest natomiast wpływ carskiego agenta Towiańskiego na naszych wielkich poetów. Juliusz wyzwolił się bardzo szybko spod uroku tego arcyłotra, a Mickiewicz niestety zaprzestał swojej twórczości poetyckiej i prawie do końca życia był wyznawcą towiańszczyzny. Mnie najbardziej zaszokował opis publicznego starcia na pewnym zebraniu, gdzie było wielu Polaków. Mickiewicz, będący



**WALDEMAR
ŁYSIAK
„PAN JULIUSZ”
NOBILIS
WARSZAWA 2022**

pod wielkim wpływem mistyka Towiańskiego, zaczął nawoływać: – Bracia, dziś ukazał mi się duch Cesarza Aleksandra I i prosił, żebyśmy zanieśli modły do Boga na jego intencję!

Juliusz poderwał się wtedy z miejsca i zawołał: – A mnie, bracie, ukazał się duch Stefana Batorego i prosił, bym przestrzegł, iżby bracia za żadnym nie modlili się Moskałem!

Mickiewicz dostał wtedy furii i wyrzucił Słowackiego za drzwi, krzycząc po rosyjsku:

– Paszoł won, durak!

Jakie to smutne...

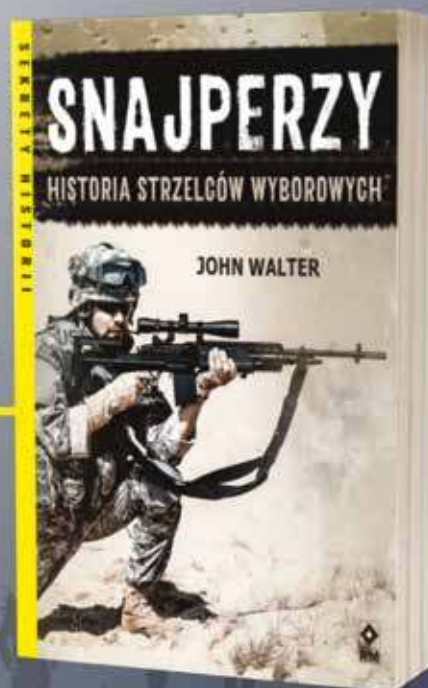
Waldemar Łysiak podzielił kiedyś druki na nieprzyjemne i przyjemne (a na drukach zna się przewybornie, bo to przecież król polskich bibliofilów). Druk nieprzyjemny to chociażby mandat za przekroczenie prędkości, a do druków przyjemnych możemy zaliczyć np. gazetowy nekrolog teściowej...

Książka ta to bez wątpienia druk arcyprzyjemny, po prostu maestro Łysiak w najlepszej formie! © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Historia technicznej i taktycznej ewolucji snajperstwa od wojny krymskiej po współczesność

Sprawdź ofertę na www.rm.com.pl





FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIE

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Życie od kuchni



★★★★★

REŻ. PHILIP
BARANTINI
„PUNKT
WRZENIA”
(„BOILING
POINT”)
WIELKA
BRYTANIA 2021

wyst. Stephen
Graham, Vinette
Robinson, Alice
Feetham

Oglądając „Punkt wrzenia”, trudno nie wspominać kapitalnych książek o życiu szefa kuchni, które wyszły spod pióra Anthony’ego Bourdaina. Kojarzemy ekstremalny stres z życiem żołnierzy w misjach specjalnych (albo kontrolerów lotów), tymczasem to kuchnia znanej restauracji bywa linią frontu, z której wrócić można równie ciężko potrząskanym psychicznie. Życie na 110 procent, nagminne wspomaganie się narkotykami lub starą, dobrą wodą – tak, film Philipa Barantiniego prowadzi nas do tego właśnie świata.

Zaczęło się od filmu krótkometrażowego z roku 2019, scenariusz został rozbudowany, obsada powiększona, ale pozostał chwyt formalny: kilka godzin z życia szefa kuchni pokazanych

jednym ujęciem. Ekipa nakręciła film cztery razy, ujęcie numer trzy zostało uznane za wystarczająco dobre; film w ubiegłym roku trafił na festiwal filmowy w Karlovych Varach, w styczniu tego roku do brytyjskich kin, a teraz obejrzeć go można w HBO Max. To popis podwójny – rewelacyjny jest Stephen Graham w roli restauratora, którego życie wali się w gruzy, oraz Barantini, który wyreżyserował całość i poprowadził pewną ręką.

Chwyt formalny nie jest sztuką dla sztuki. Aleksander Sokurov użył go w „Rosyjskiej arce” dla kontemplacji, Barantini obrócił go w narzędzie potęgujące dramat. Szybko zapominamy o tym, że oglądamy jedno ujęcie; kamera wprowadza nas w sam środek emocji, konfliktów (jawnych i ukrytych) wprowadzonych na

scenę postaci. Zaczyna się od wizyty inspektora brytyjskiego sanepidu, który ma załodzić eleganckiej knajpy sporo do wytknięcia. Zanim zdążą to przetrwać, trzeba będzie już zająć się głodnymi gośćmi. Pojawia się konkurent (i dawny mentor) głównego bohatera, pojawia się ważny influencer, którego wszyscy chcą zadowolić, a poza tym tłum innych klientów, bo święta za pasem i każdy chciałby sobie podarować odrobinę luksusu. A za chwilę pytanie: „Kto najbardziej nawalił?”, kiedy jeden z gości zaczyna się dusić, bo ma alergię na orzechy, których w wybranej przez niego potrawie być nie powinno.

Biorąc na widelec szefów kuchni filmy „Szef” Jona Favreau czy „Ugotowany” z Bradleyem Cooperem były krzepiącymi bajkami o zbawieniach skutkach cofnięcia się o krok, by odnaleźć szczęście w życiu. „Punkt wrzenia” jest opowieścią ponurą o bohaterze, który tego luksusu nie ma, a który pograża się na własne życzenie. Mało kto wychodzi cało z prób o charakterze niszczącym. ©©



NOWE SEZONY: „MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I ROBOTY”

Nowa odsłona animowanej antologii Tima Millera i Davida Finchera (wyreżyserował jeden z filmików). Najlepsze z dziewięciu odcinków oparte są na opowiadaniach mistrzów SF („Rój” Bruce’a Sterlinga i „Prawdziwy puls maszyny” Michaela Swanwicka – robi wrażenie zwłaszcza ta ostatnia adaptacja). Znajdą się i żarty –

ultrakrótka historia apokalipsy zombi oraz parodia horrorów o wojakach walczących z potworami (tu: cyberniedźwiedziem). Odcinek „Three Robots: Exit Strategies” to ciąg dalszy historii znanej z pierwszego odcinka pierwszego sezonu. ©© Piotr Gocię

• sezon 3 „Miłość, śmierć i roboty”
USA 2022, Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 4 „Stranger Things”
USA 2022

• sezon 3 „The Boys”
USA 2022

• sezon 1 „Prehistoryczna planeta”
(„Prehistoric Planet”), USA 2022

prime video

apple tv

Jan II Niedosły



Założyciel Zamościa to postać spiszowa. Podobnie jak Piłsudski. W schyłkowej fazie PRL obu panów zaprzęgnięto do rydwanu rządowej polityki historycznej. Publicyści przypominali, co Marszałek sądził o partyjniactwie i demokracji, towarzysząc Safran zaś popełnił książkę „Kancelarz”, lansującą tezę, że Polaków trzeba trzymać krótko. Powieść, nie zwlekając, zekranizowano, lecz dni ekipy Jaruzelskiego były już policzone. „Gra o koronę” to dzieło mniej ambitne. Jego twórca chciał udowodnić, że w dobie „Gry o tron” i „Korony królów” da się opowiadać o historii, unikając efekciarstwa i trywialności, trzymając się faktów i nie tracąc poczucia humoru.

O dziwo, to się mu udało. Mamy do czynienia z fabularyzowanym dokumentem, ilustrującym najbardziej znaczące epizody politycznej biografii Zamoyskiego, który z „trybuna ludu szlacheckiego” stał się oligarchą, utożsamiającym własny interes z racją stanu. Trochę to przypomina teatralny spektakl, chwilami komiks, a czasem ożywiony obraz. Narracja, wspierana autorytetem Matejki, zmierza do konkluzji, że pan Jan, twórca królów, sam powinien zasiąść na tronie. Czy pomysły złotoustego polityka: wolna elekcja, artykuły henrykowskie i pacta conventa istotnie przysłużyły się Rzeczypospolitej? Takich pytań „Gra o koronę” nie stawia. Może to i lepiej. ©©
Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŻ. PIOTR JAWORSKI
„GRA O KORONĘ”
POLSKA 2022

wyst. Alfred Pyko,
Mikołaj Dróżdź,
Jacek Styrna



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

SKOK STULECIA

KINO

Sześćdziesiąt lat temu zuchwała kradzież wstrząsnęła Zjednoczonym Królestwem. Nieznani sprawcy zrabowali z National Gallery w Londynie portret Wellingtona pędzla Goi, świeżo zakupiony ze społecznych składek. Brytyjczycy wyobrażali sobie, że to sprawka międzynarodowej szajki, opłaconej przez szalonego kolekcjonera, lub włoskiej mafii. Prawda była bardziej przyziemna: arcydzieło trafiło w ręce małomiejsteczkowego piniacza. Filmowy Mr Bunton to postać malownicza, telepajęczarz i naiwniak, przekonany, że „Daily Mirror” jest gazetą robotników i zirytowany rozgłosem, towarzyszącym poszukiwaniom „bohomażu hiszpańskiego pijaczyny”. Historia zabawna, wzruszająca i gładka jak pupa niemowlęcia, co każe podejrzewać, że mocno ją podretuszowano. Broadbent od pierwszej do ostatniej sceny jedzie na autopilocie. Obsadzenie w roli sprzątaczkki damy, która wcześniej grywała królowe, zakrawa natomiast na zdradę stanu.



wyst. Jim Broadbent, Helen Mirren, Fionn Whitehead

★★★★★
REŻ. ROGER MICHELL
„KSIĄŻĘ” („THE DUKE”)
WIELKA
BRITANIA 2021

SZORSTKA PRZYJAŹŃ

HBOmax

Nashville, rok 1930. Ojciec stolarz oczekuje, że Vivien będzie kontynuował rodzinną tradycję. On jednak chce studiować medycynę. Przypadek zetknie go z chirurgiem, któremu pisane jest przejść do historii. Doktor Blalock odkrywając, co potrafi chłopak sprząający w laboratorium, robi z niego asystenta. Z biegiem lat panowie staną się nierozłączni, ale muszą korzystać z różnych toalet i różnych wejść, bo rzecz dzieje się w czasach rasowej segregacji. Murzyn w białym fartuchu budzi popłoch wśród personelu. Gdy Blalock przeprowadzi pionierską operację na otwartym sercu, nie wszyscy bohaterowie zmieszczą się na pamiątkowym zdjęciu... Film grzęźnie w schematach, ale warto go obejrzeć dla nieodżałowanego Alana Rickmana. Gdy wściekle ambitny, lecz trochę odklejony od rzeczywistości doktor znika z ekranu, wiadomo, że fabuła już długo nie pociągnie. ©©



wyst. Yasiin Bey, Alan Rickman, Mary Stuart Masterson

★★★★★
REŻ. JOSEPH SARGENT
„W RĘKACH BOGA”
(„SOMETHING THE LORD MADE”)
USA 2004

recenzuje **Wiesław Chełminiak**

GRA TYGODNIA: „TREK TO YOMI”

Klasyczna opowieść o zemście samuraja i wypełnieniu misji, na którą posyła go umierający mistrz. Fabularnie – sztampa, ale oprawa audiowizualna sprawia, że „Trek to Yomi” znajdzie się najpewniej w zestawieniach najciekawszych, najbardziej oryginalnych gier roku. Czarno-białe,

filmowe kadry, wyraźna inspiracja klasycznym kinem Kraju Kwitnącej Wiśni i dubbing w języku japońskim sprawiają, że produkcja jest bardzo klimatyczna. Gdyby pokazano mi gameplay, a o grze nic bym wcześniej nie wiedział, obstałbym bez wątpienia, że powstała w Japonii. I trafiłbym



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

kuł w płot, bo „Trek to Yomi” to dzieło warszawskiego studia. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** Akcja
- **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC
- **Producent, wydawca:** Flying Wild Hog, Devolver Digital

MOJA PÓŁKA

Czymże jest dziś Polska w Tobie

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

To, że w Polsce przez długie lata nie znaliśmy tej poezji, nie dziwi. Jej twórca był antykomunistą i wielokrotnie w swoich wypowiedziach nie pozostawiał na tutejszym reżimie suchej nitki. Dość było tego, by na dobre zapomnieć o „żywej legendzie Drugiej Awangardy”, jaką był Wacław Iwaniuk, który zdążył zadebiutować przed wojną w kraju, ale pełny wyraz swej twórczości nadał dopiero na emigracji.

Skądinąd dziwiły mnie zawołane przytyki pod adresem wierszy Iwaniuka, jakoby były one mało rozpoznawalne i, choć dobre, jak twierdziła Maria Danilewicz-Zielińska, „nie utrwała się w pamięci taki zespół charakterystycznych rysów jego twórczości, by można było powiedzieć, nie patrząc na podpis: »To jest wiersz Iwaniuka«”. Powiedziałbym, że jak ktoś się uprze, to i Herberta pomyli z Miłoszem.

Jeśli chodzi o mnie, to zapamiętałem za to z książki o Wacławie Iwaniuku, napisanej przez Maję Elżbietę Cybalską, wiersz nieprzetranskowany chyba gdzie indziej, a pochodzący z szopki politycznej, wystawianej jeszcze w latach 50. w Toronto w stworzonym przez poetę kabarecie Smocza Jama, z fundamentalnym, powtarzanym w tekście pytaniem: „Czymże jest dzisiaj Polska w Tobie?”. I to pytanie będzie obecne w jego poezji zawsze, podobnie jak nigdy nie otrząśnie się poeta z wojennej traumy. A walczył pod Narwikiem wraz z innymi żołnierzami Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, by po latach spędzonych w obozie jenieckim dołączyć do formującego się w Szkocji wojska polskiego, do Dywizji Pancerniej gen. Maczka, i uczestniczyć w lądowaniu wojsk alianckich na plażach Normandii. O wojennych przewagach nie rozwodził się jednak, choć z wojny wyszedł z Krzyżem Walecznych,



FOT. BIBLIOTEKA UNIWERSYTETA UKRAJENIUM EMIGRACJI

otrzymanym za udział w walkach pod Falaise.

O swoim emigracyjnym życiu pisał z łagodnym smutkiem, wspominając pierwsze lata polskiego wychodźstwa, kiedy to:

*Rany jeszcze krwawiły
Żołnierze szli na przetarg
W pekapeerze uczono nas praktycznych
zawodów
świat nagle zdobył setki zegarmistrzów
pomywaczy naczyń
wykwalifikowanych zamiataaczy biur
i zdolnych do siekiery poławiaczy dolarów
w kanadyjskim buszu
Nie można było powiedzieć by Polak się
lenił.
Niestety, poetom nie powiodło się
ciągle strzelali z rusznic do starego płotu
kwiat nowości nie nęcił ich
chyba że mieli wiotkie kręgosłupy
[...]*

*Ja też nie byłem święty
sprzedawałem się Amerykanom
robiąc w Toronto u Swifta kielbasy.*

Do Kanady przyłynął statkiem w listopadzie 1948 r., zmarł w Toronto w styczniu roku 2001.

Z początku miał się różnych zajęć, m.in. zatrudnił się w rzeźni, sprzedawał dywany, by wreszcie pracować w ministerstwie sprawiedliwości prowincji Ontario i jako tłumacz przysięgły w sądzie. I pisał, cały czas pisał, publikując przede wszystkim w paryskiej „Kulturze” i londyńskich „Wiadomościach”.

Polskę odwiedził dopiero po upadku komunizmu, w 1991 r. Wraczał jednak do ojczyzny często, nawet coraz częściej – poezją, by w końcu w „Wierszu dla samego siebie” stwierdzić:

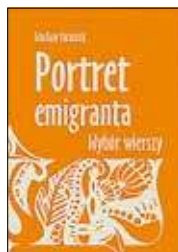
*Szukałem szczęścia po świecie które było
we mnie.*

*Podróżowałem z kraju do kraju zamiast
mieszkać w domu
w rodzinnym Chełmie i bliskim mu Lublinie
odwiedzać rodzinny dom.*

Jego prochy spoczywają na cmentarzu w Siedliszcu, gdzie zostały złożone w 2006 r. W kilkusetletniej historii tej miejscowości – pisze w postwowie wydanego teraz „Portretu emigranta” autor tego wyboru wierszy Zbigniew Włodzimierz Fronczek – „nikogo nie żegnano z taką pompą”. Wacław Iwaniuk chodził tam do szkoły, a urodził się w pobliskim Chojnie Starym, w grudniu 1912 r. jako najmłodsze z siedmiorga dzieci Szczepana Iwaniuka i Józefy z Dyzewskich.

Obszerny wybór utworów Wacława Iwaniuka z dwudziestolecia 1978–1998 zawiera m.in. dedykowany Solidarności wiersz „O prawdziwej miłości”, w którym wspomina swoich kolegów, takich jak on romantyków:

*Wielu z nich poległo uwalniając obce kraje
W obronie Francji nie wartę złamanego
szelaga,
a gdzie indziej powiada znów:
Ja tak sobie myślę i myślę
bo w Toronto wolno.
Ja myślę o naszych ułanach
szarżujących na niemieckie czołgi
i co z tego wyszło. Ułanów
nie ma a Niemcy wciąż są. © ©*



★★★★★
**WACŁAW
IWANIUK
„PORTRET
EMIGRANTA.
WYBÓR WIERSZY”
STOWARZYSZENIE
PISARZY
POLSKICH,
LUBLIN 2021**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Uśmiech na dobre

Kolejny zbiór drobiazgów literackich Terry'ego Pratchetta napisanych za młodu. Przyszły twórca bestsellerów z cyklu „Świat Dysku” szukał jeszcze swojego tonu (i tematu, który zaprzątnąłby go na dłużej), uczył się rzemiosła, ale daj, Panie Boże, każdemu specowi od rozrywki takie wprawki. „O jaskiniowcu, który podróżował w czasie” nie dorównuje tomom „Odkurzacz czarownicy” czy „Smoki na zamku Ukruszon”, ale zarówno czytelnicy młodszy, jak i zaawansowani znajdą tu coś dla siebie. (Dla tych, którzy nie zauważyli: z okazji Dnia Dziecka cała strona rekomendacji książkowych jest w tym numerze przygotowana z myślą o tych młodszych).

Wyróżniają się „bajki brytyjskie”: „Ogromnie wielgachna bitwa pogodowa”, „Bedwyr i wzgórze Artura”, „Czarodziej Blackberry United” i „Tropnecka inwazja na Wielką Brytanię”. W tej ostatniej ujęto mnie wyjaśnienie przyczyn inwazji: „Tak się to załatwiało w czasach historycznych. Gdy tylko zobaczyło się jakieś miejsce, musiało się je podbić”. Dlatego Tropneckanie wylądowali w Anglii, gdzie „zabrali się od razu do budowania drogi. To kolejna rzecz, którą należy robić przy podboju. Albo się pali domy, albo buduje drogi i mury, bo inaczej to naprawdę małe szanse, że się wylądzuje w podręczniku do historii”.

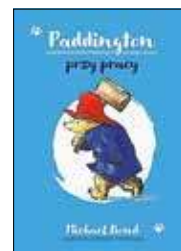
Dzieje się. Komputer Mark I doprowadza do zakończenia wojny i staje się najlepszym przyjacielem człowieka. Tytułowy jaskiniowiec naprawdę podróżuje w czasie, choć raczej mimo woli. Pojawia się straszliwy Śniegogłód, gadający koń psuje szyki myśliwym tropiącym lisy, dziury w czasie są na porządku dziennym i tak dalej. Wyobraźnia młodego Pratchetta pracowała na wysokich obrotach, kłopot w tym, że spora część historii pysznie się zaczyna (i ma jeszcze pyszniejsze tytuły), lecz potem zdradza problemy z wymyśleniem odpowiednio zaskakującego lub nowatorskiego zakończenia. Warto zwrócić uwagę, że choć pojawia się w nich już przesłanie charakterystyczne dla późniejszego, dorosłego Pratchetta (pacyfizm, niechęć do władzy), to jest to jeszcze humor bardzo ciepły. Zgrzytliwym i cynicznym filozofem autor „Świata Dysku” stał się dopiero, gdy przybyło mu odpowiednio wiele lat. I trudno się dziwić. ©©



★★★★★
TERRY PRATCHETT
„O JASKINIOWCU, KTÓRY PODRÓŻOWAŁ W CZASIE”
REBIS 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Siądmy tom serii o rezolutnym misiu z Peru oryginalnie ukazał się w 1966 r. Zawiera siedem opowiadań, w tym m.in. opowieść o przyjęciu na pokładzie transatlantyku, wyprawie na balet i mało udanej karierze fryzjerskiej.



MICHAEL BOND
„PADDINGTON PRZY PRACY”
ZNAK

Ostatnia powieść zmarłej w 2011 r. mistrzyni fantasy dla młodszych i starszych (znanej m.in. z serii „Światy Chrestomanciego” i „Ruchomy zamek Hauru”). Wersja ilustrowana przez japońską artystkę Miho Satake.



DIANA WYNNE JONES
„SKOREK I CZAROWNICA”
NOWA BAŚŃ

Wydana w 1904 r. książeczka o myszach harcjujących w domu dla lalek była piątą w dorobku zyskującej szybko sławę autorki i ilustratorki „Piotrusia Królika”. Przyniosła jej pierwsze listy od czytelników z USA.



BEATRIX POTTER
„DWIE NIEGRZECZNE MYSZY”
SIEMIÓRÓG

Ludzkość staje w obliczu zagłady, zbliża się ostateczne starcie z Celebrantem, Królem Smoków. Piąty i ostatni tom serii fantasy dla młodszych czytelników kontynuującej wątki cyklu „Baśniobór”. ©©



BRANDON MULL
„SMOCZA STRAŻ. POWRÓT ZABÓJCÓW SMOKÓW”
WAB

recenzuje
Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„PASTEUR”

Rośnie w oczach sympatyczna i pożyteczna seria komiksów edukacyjnych Egmontu „Najwybitniejsi naukowcy”. To przekład serii hiszpańskiej (autorem scenariusza i rysunków jest Jordi Bayarri, konsultację naukową zapewnia dr Tayra Lanuza) przeznaczonej dla dzieci; przedsięwzięcie sprawdza się także jako zabawa „poczytaj mi mamo/tato”. Zaczęło się od opowieści o Marii Curie-



JORDI BAYARRI
„PASTEUR. REWOLUCJA DROBNOUSTROJOWA”
EGMONT 2022

-Skłodowskiej i Karolu Darwinie, tej wiosny dobiliśmy do tomików nr 6 i 7, których bohaterami są Ludwik Pasteur i Hypatia z Aleksandrii. A gdyby tak wydawca wywalczył zgodę na przygotowanie polskiej odnogi z komiksami o naszych bohaterach nauki? Zachęcam. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Ciepło. Ciepłej. Goło

Przyszedł prąd i porozbierał ludziom domy. Nie zrobił tego sam, współudział trzeba przypisać centralnemu ogrzewaniu, ciepłu systemowemu, klimatyzatorom, wiatrakom i tym podobnym nowoczesnym regulatorom temperatury wnętrza. A dawniej – zauważają kuratorzy wystawy „Dom odziany” – tak jak ludzie zmieniali własną garderobę w zależności od pory roku, tak czy-

nili z tekstyliami, którymi odziewali swe domy.

Czy to magnacki dwór; czy wiejska chata, tekstylia znajdowały zastosowanie jako „odzienia architektury”. Przykładowo: podsufitowa podpinka pozwalała obniżyć pomieszczenie, a zatem uczynić je łatwiejszym do ogrzania, a przytwierdzony do ściany zaplecek sprawiał, że nawet w mroźne dni można się było o wyziębione ściany spokojnie oprzeć. Jako że ludzie byli bardziej wpisani w rytm przyrody i rozróżniano aż 12 fenologicznych pór roku, odziewany w zgodzie z upływającym czasem dom „działał jak pudło rezonansowe – piszą kuratorzy – wzmacniał doświadczanie rytmu otaczającego świata”. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Krakowie (w cenie biletu na wystawę „Przedmioty i przekroje”) **KIEDY?** do 28 sierpnia



FOT. MICHAŁ MATEJO/INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kiedyś to były koncerty

Obchody jubileuszu 60-lecia istnienia Rolling Stonesi upamiętniają wydaniem albumu koncertowego nagranych 45 lat temu.

Na początku marca 1977 r. Stonesi zagrali dwa „tajne” koncerty w klubie El Mocambo w Toronto. Widownia mogła pomieścić tylko 300 osób, więc bilety dostali słuchacze stacji CHUM FM, tyle że na dwa występy zespołu April Wine The Cockroaches. Karaluchami okazali się Stonesi. Tylko cztery nagrania z Toronto trafiły na album „Love You Live”, wydany w 1977 r., na którym reszcie stanowiły utwory z koncertu w Paryżu. Stadionowe popisy niestety nie sprawdziły się na płytach, natomiast nagrania z kanadyjskiego klubu już wówczas wyróżniały się na plus.

W 1977 r. gwiazda Rolling Stonesów wyraźnie przygasała. Ich ostatnie trzy albumy studyjne zostały przyjęte chłodno, a Ron Wood dopiero stawiał pierwsze kroki w zespole. Za rok wrócił na szczyt z przebojową płytą „Some Girls” i do dziś pozostaną jedną z największych atrakcji koncertowych. W El Mocambo atmosfera była znakomita, a Stonesi byli wyraźnie głodni sceny. Iskry od pierwszych taktów „Honky Tonk Women”, przez bluesowe standardy (pomysł Wooda) i utwory z niedocenionego albumu „Black & Blue”, do finałowej ballady „Worried about You”, która zostanie wydana cztery lata później na albumie „Tattoo You”. Album zawiera 23 nagrania, czyli cały drugi koncert oraz trzy nagrania z poprzedniej nocy. ©©



★★★★★
THE ROLLING STONES
„LIVE AT THE EL MOCAMBO”
POLYDOR



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

KRONIK@, CZYLI WSZYSTKO

Ten adres trzeba zapamiętać: kronika.gov.pl. Docelowo znaleźć się ma tam 6–7 MILIONÓW cyfrowych kopii obiektów kultury i nauki, na starcie jest ich już ok. 700 tys. Obiekty muzealne, fotografie, grafiki, mapy, książki, czasopisma, druki ulotne... Zadaniem portalu Kronik@ jest gromadzenie jak największej liczby zdigitalizowanych obiektów polskiej kultury i zapewnienie łatwego do nich dostępu. Zamyśl imponujący. Projekt wymagający. Dlatego cierpliwie znoszę komunikaty o błędzie serwera, licząc na to, że to trudne bardzo dobrego początki. ©©



★★★★★
ARCADE FIRE
„WE”
COLUMBIA

Ambitny concept album kanadyjskich herosów indie rocka. Pierwsza część „JA” opowiada o izolacji, druga „MY” o nadziei wspólnego odrodzenia. Patoś nieco przytłacza, ale jako całość album robi wrażenie. Gościnnie w „Unconditional II (Race and Religion)” pojawia się Peter Gabriel.



★★★★★
PATRYCJA MARKOWSKA
„WILCZY PĘD”
AGORA

Patrycja tęsknie wzdycha do czystych, prawdziwych uczuć i rockowego grania prosto z serca. Zapatrzona w lata 70. śpiewa wspólnie z: Dawidem Karpiukiem, Robertem Gawlińskim, tatą Grzegorzem oraz L.U.C. i Biszem. Staromodnie, ale wykonane z pasją. ©©



Krzysztof
Masiński

Festiwalowe czas zacząć. Nie takie one jak przed laty, ale przecież coroczne spędy pieśniarzy, piosenkarzy, zapiewajków i pospolitych wyjców wbrew wszelkim niesprzyjającym okolicznościom mają się nadspodziewanie dobrze. Co podtrzymują telewizje, finansując te imprezy przynależne – mogłoby się wydawać – zamierzchłej już epoce, do tego w naszym pięknym kraju słusznie uznanej za głęboko niesłuszną.

Jako pierwszy wystartował Sopot. Kiedyś śpiewy w tamtejszej Operze Leśnej odbywały się pod końcu sierpnia, kończąc festiwalowy sezon, dziś go otwierają. Był to festiwal międzynarodowy, stał się krajowy, ale za to pisany jest obecnie światowo, bo przez „v”. W efekcie przez trzy dni w końcówce maja Polsat pokazywał narodowi, w przerwach między reklamami, Polsat Superhit Festival. Jak go zwał, tak zwał, sam Polsat też długo był pomarańczowy, ale się zażółcił, a i zazielenił, odkąd Grupa Polsat Plus tak się przejęła ociepleniem klimatycznym, czystą Polską i wszystkim, co ekologiczne, że nawet Krzysztof Ibisz, ze stacją z ul. Ostrobramskiej związany od zawsze, propaguje teraz zdrowy tryb życia, choć jako żywo zaczynał swą karierę od Polskiej Partii Przyjaciół Piwa.

Nie pan Krzysztof był jednak pierwszą gwiazdą sopockiego festiwalu, czego zresztą można się było spodziewać, bo już z rozpiski programu dni festiwalowych wynikało, że faworytką do tego miana została „Rabczewska, jakiej nie znacie. Doda czy Dorota?”. Piosenkarka nie zawiodła oczekiwań, zbierając owację po tym, jak popłynęły jej rześiste łzy jako oznaka

Trafił Maciej Maleńczuk w czas, śpiewając „Sługi za służgi” i zdecydowanego w swoim przekazie „Vladimira”

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER



Wyjątkowo zimny maj

wzruszenia z racji występu u boku samej Beaty Kozidrak, której ostoja naszej demokracji, czyli niezawisłe sądownictwo, musiała ostatnio bronić przed nieprzytomnymi atakami krwiożerczej hordy kierowanej i sterowanej przez reżimowego ministra (nie)sprawiedliwości. Za co – wszyscy wiedzą.

Czy jednak to Doda rzuciła widzów amfiteatru i widzów przed telewizorami na kolana? Mam wątpliwości, ale też z pewnością nie uczynił tego Muniek Staszczuk, któremu urządzono festiwalową fetę ze względu na trzydziestolecie, nie, nie jego pracy na estradzie, bo ta jest dłuższa, ale wydania przez T.Love – uwaga! – kultowej płyty „King”. Kultową stała się zapewne dlatego, że w tytułowej piosence tenże Muniek ponarzął sobie przed laty na czerwono-czarną mafię rządzącą w jego rodzinnej Częstochowie – „mieście świętej wieży” – i podśmiewał się z wychodzącego spod łóżka (licentia poetica) kościelnego dostojnika. Czyż oczywiście artysta nie zrównoważył swoich późniejszych budzących zdziwienie środowiska i zdecydowany sprzeciwić

Krytyki Politycznej oświadczeń, z których wynikało, że wdzięczny jest za życie i zdrowie Bogu, Maryję odkrył dla siebie w Medjugorje, a nawet – *horribile dictu!* – zdarza mu się pociechę znajdować w „Różańcu”.

Nie licząc Ralpha Kaminskiego (światny „Wyjątkowo zimny maj” z repertuaru Maanam), bo to był jedyny występujący przez te dni w Sopocie prawdziwy artysta (tyle że upupiony przez prowadzącą koncert, dzielącą się z publicznością emocjami, jakie ją ogarnęły, gdy piosenkarz odbierał Fryderyka w towarzystwie mamy), na baczniejszą uwagę zasłużył jedynie Maciej Maleńczuk. Choć niekoniecznie za pozdrowienie Lecha Wałęsy, który – jak stwierdził bard – wyprowadził rosyjskie wojska z Polski. „Kto o tym zapomni, niech se przypomni” – pouczył. Ja tam przypominałem sobie, że to Mojżesz wyprowadził Żydów z egipskiej niewoli, a odnośnie do Wałęsy to raczej wprowadził on naród w osłupienie swoim stylem rządzenia i to widać tak mocno, że niektórzy po dziś dzień w stuporze pozostają.

Ale trafił Maleńczuk w czas, śpiewając „Sługi za służgi”,

przytomnie zwracając uwagę Rosjanom:

I nie mówcie, żeście wcześniej na kolanach byli

Bo by trzeba spytać jeszcze coście tam robili,

a brukselczyków nazywając po imieniu „sprzedawczykami”.

Poza tym „Ni ch..a – na wsięda”, zapewnił, śpiewając „Vladimira”, nieskomplikowanego może tekstowo, za to w swoim przekazie zdecydowanego. I tego się trzymajmy.

A w ogóle trzymajmy się, i to mocno, mając na uwadze, że Opole tuż-tuż. Swoją drogą ciekawe, co w stolicy polskiej piosenki wyśpiewa nam Zenek Martyniuk. Na występie tego ulubieńca prezesa Kurskiego, który telewizja publiczna urządziła w metropolii Sarnówek koło Ławy i zaserwowała go widzom, konkurując z Polsatowym festiwalem, nieszczególnie może liczna, ale na pewno doborowa publiczność kołysała się w rytm m.in. „Wróćmy na jeziora”. Wzruszał mnie zawsze ten przebój Krzysztofa Klenczona sprzed, bagatela, 55 lat. Ale teraz, po finezyjnej interpretacji Zenka, spłakałem się może nie tak jak Szymon Hołownia, ale prawie. Jak Doda. ©©

Kunktatorstwo Berlina



Łukasz Warzecha

Przemiana niemieckiej polityki względem Rosji jest zarazem głęboka, jeśli spojrzeć na nią w relacji do punktu wyjścia, i jedynie częściowa. Niemcy są jak najdalsi od polskiego proukraińskiego i antyrosyjskiego zapалу

Przemysław Gintrowski w piosence o Aleksandrze Wielopolskim śpiewał: „Pan margrabia wciąż kroczy po linie, niebezpiecznie tak wysoko chodzić”. Parafrazując, dziś

można by zaśpiewać: „Kancelarz Scholz wciąż kroczy po linie...”. Niemcy w relacjach z Rosją i Ukrainą chcą mieć ciastko i zjeść ciastko. Co więcej, przy korzystnym splocie okoliczności ta sztuka może

im się nawet udać. Na razie poczynania Berlina są podręcznikową ilustracją pojęcia kunktatorstwa.

Jeśli ktoś sądził na podstawie szoku pierwszych tygodni inwazji, że Niemcy dogłębnie i całkowicie przewartościowały własne myślenie o Rosji i Ukrainie, to dziś mógłby się bardzo zdziwić. W tym czasie do naiwności przyznawała się głośno minister spraw zagranicznych, liderka Zielonych Annalena Baerbock. Gromy zaczęły się sypać na głowę byłego kanclerza Gerharda Schrödera, który dopiero niedawno zrezygnował z za-

Kancelerz Olaf Scholz postanowił nie popadać ze skrajności w skrajność i nie uczynił z Niemiec w ramach kajania się za wcześniejsze winy czempiona sprawy ukraińskiej FOT. OMER MESSINGER/EPA/PAP

się rozmowa z niemieckim analitykiem, historykiem, publicystą, byłym generałem Klaudem Wittmannem, który wprost stwierdza, że trzeba już zacząć myśleć o tym, jak ponownie umiejscowić Rosję w systemie międzynarodowym po zakończeniu wojny. Słowa Wittmanna nie powinny zaskakiwać, jeśli zna się jego wcześniejsze wypowiedzi. Jakkolwiek generał był krytykiem lekceważenia potrzeb zbrojeniowych, którego skutkiem było dramatyczne osłabienie Bundeswehry, to jednak w sprawie Rosji wypowiadał się w sposób przypominający analizy Johna Mearsheimera czy Henry'ego Kissingera. W 2017 r. w rozmowie z Jędrzejem Bieleckim w „Rzeczpospolitej” mówił tak:

Jeśli ktoś sądził na podstawie szoku pierwszych tygodni inwazji, że Niemcy dogłębnie i całkowicie przewartościowały własne myślenie o Rosji i Ukrainie, to dziś mógłby się bardzo zdziwić

„Wszyscy byliśmy naiwni, mieliśmy nadzieję, że Rosja naprawdę stanie się partnerem Zachodu. Ale po słynnym wystąpieniu Władimira Putina w Monachium w lutym 2007 r. ostrzegałem, że Niemcy i całe NATO robią za mało w celu zapewnienia obrony przed Rosją Polski i krajów bałtyckich. Mimo to zajęcie Krymu przez Putina było dla niemieckiego wywiadu całkowitym zaskoczeniem. Trzeba jednak przyznać, że także Zachód zrobił błędy, w szczególności na szczycie sojuszu w Bukareszcie [w 2008 r.], kiedy pod naciskiem George'a W. Busha obiecano Ukrainie i Gruzji członkostwo w NATO. To była dla Putina prowokacja: kilka miesięcy później rozpoczął wojnę w Gruzji i wymusił utrzymanie rosyjskich wojsk w Sewastopolu do 2042 r.”

Wittmann zatem, podobnie jak Mearsheimer, wskazuje niespełnione obietnice przyjęcia Ukrainy do NATO jako prowokujące Rosję do agresji.

O ile pracujący dla Rosjan i biorący od nich pieniądze od lat Schröder jest

faktycznie traktowany w Niemczech jak parias – stracił nawet opłacane z pieniędzy federalnych biuro, przysługujące mu jako byłemu szefowi rządu – o tyle włos z głowy nie spadł Angeli Merkel, głównemu przecież architektowi zbliżenia Berlina z Moskwą, nieugiętej obrończyni projektu Nord Stream 2. Merkel uparcie milczy na temat swojej roli w polityce wobec Rosji, wydawałoby się zatem, że CDU, które ta polityka najbardziej obarcza, powinno ją zrzucić z wozu dla własnej politycznej korzyści. Tak się jednak nie stało. Merkel nie jest nawet szczególnie naciskana przez politycznych przeciwników. Można przypuszczać, że zbyt wiele trupów kryje się po różnych szafach – trupów, które była kanclerz może w każdej chwili pokazać – żeby ktokolwiek ważył się ją zaatakować.

Faktem jest, że Niemcy poniosły dotkliwą wizerunkową porażkę jako kraj firmujący politykę bliskich relacji z Moskwą, a historia o niemieckich hełmach, jadących tygodniami na Ukrainę, będzie budziła politowanie przez lata. Pytanie brzmi, czy ta porażka przełoży się na osłabienie niemieckiej pozycji w Europie i względem Ukrainy oraz pozycji Niemiec w UE. Takie nadzieje podziela duża część polskiego obozu władzy, jednak może to być klasyczne myślenie życzeniowe.

CIĄGŁA POWŚCIĄGLIWOŚĆ

Pewne jest, że kanclerz Scholz postanowił nie popadać ze skrajności w skrajność i nie uczynił z Niemiec w ramach kajania się za wcześniejsze winy czempiona sprawy ukraińskiej. I nawet jeśli w elicie władzy – wewnątrz relatywnie mocno antyrosyjskich Zielonych oraz w FDP – toczą się bardzo intensywne, momentami gwałtowne rozmowy o tym, jaki kierunek przyjąć wobec wydarzeń, to Scholz, jak się zdaje, już zdecydował podążać kursem ostrożnym i zachowawczym, a owe dyskusje nie mają na jego stanowisko większego wpływu.

19 maja kanclerz występował przed niemieckim parlamentem. Stwierdził, że Rosja tej wojny wygrać nie może – choć nie znaczy to przecież, że ma ją sromotnie przegrać – ale był zarazem bardzo umiarkowany, gdy idzie o europejskie ambicje Ukrainy, co mocno kontrastowało z beztróskim entuzjastycznym tonem polskich polityków w tej sprawie, szczególnie prezydenta Andrzeja Dudy podczas jego wystąpienia w ukraińskiej Verchownej Radzie. Scholz stwierdził

siadania w radzie nadzorczej koncernu Rosneft. Podobno został tymczasem nominowany do rady nadzorczej Gazpromu, choć on sam twierdzi, że o tę nominację się nie ubiegał i propozycję dawno odrzucił.

NIEMCY BLISKO ROSJI

Trzy miesiące po rozpoczęciu rosyjskiego najazdu niemieckie elity otwarcie mówią o konieczności szybkiego zakończenia wojny i zaprzęgnięcia dyplomacji do osiągnięcia tego celu. Oto na portalu dziennika „Die Welt” pojawia

Wprawdzie, że Ukraina należy do europejskiej rodziny, ale zarazem zaznaczył, że w drodze do UE nie ma żadnych skrótów, a w kolejce przed Kijowem stoją długo już oczekujące kraje bałkańskie.

Ciekawie wypowiada się były (do tego roku) dyrektor monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, jednego z najbardziej prestiżowych i najważniejszych wydarzeń międzynarodowych świata, Wolfgang Ischinger. Ischingera można uznać za głos dużej części niemieckiej elity, tym swobodniejszy, że nieskrepowany już żadnymi oficjalnymi funkcjami. W swoich komentarzach, analizach czy na Twitterze Ischinger podkreśla, że dyplomacja będzie musiała zostać wykorzystana do zakończenia konfliktu. To znów podejście skrajnie odmienne od obowiązującego w Polsce dogmatu, że Rosję należy złamać i maksymalnie pogłębić. Takie opinie w Niemczech też się pojawiają, ale są w mniejszości.

W długiej rozmowie z serwisem *Tor-toise* w połowie maja Ischinger wyjaśniał m.in., dlaczego Niemcy nie zamierzają przekazywać ciężkiej broni Ukrainie. Wskazywał, że właśnie dlatego, iż Bundeswehra była tak bardzo zaniedbana przez lata, kraj nie może się w ten sposób pozbawiać zdolności obronnych. To ciekawe stwierdzenie w kontekście tego, jak zachowała się Polska – znacznie przecież mocniej zagrożona przez Rosję – oddając znaczną część własnej broni pancernej Ukrainie i nie zapewniając sobie nawet uzupełnienia stanu. Żeby dodać sprawie pikanterii, to uzupełnienie było podobno obiecane właśnie przez Niemcy – i nie nadeszło.

Prowadzący rozmowę Andrew Neil usiłuje wydobyć od Ischingera deklarację, czy w przyszłości na monachijskiej konferencji znów znalazłoby się miejsce dla rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Ischinger powiada: „W chwili, gdy tylko nastąpią zawieszenie broni lub ustalenia pokojowe, jakiegokolwiek natury, bardzo ważne będzie, żeby Rosjanie byli obecni, żeby ich słuchać. Nie sądzę, żeby było pożyteczne... żeby miało sens całkowicie izolować Rosję, ona jest członkiem stałym Rady Bezpieczeństwa ONZ i wasz ambasador będzie siedział obok ich ambasadora” (*Tortoise* to serwis brytyjski).

Neil zauważył w tym momencie, że w RB ONZ wyboru nie ma, ale jest wybór, czy zaprosić na konferencję szefa dyplomacji państwa, które trudni

Ukraińcy grają pragmatycznie. Jeśli przysłuchać się temu, co mówią Zełenski czy Kułeba, jest tam dla każdego coś miłego. Swoją porcję pochwał dostają Polska, a także Komisja Europejska, Niemcy, oczywiście USA, a nawet prezydent Macron

się ludobójstwem. Ischinger stwierdza, że przecież na spotkaniach pojawiali się ministrowie, a nawet premierzy narodów oskarżanych o ludobójstwo. „Dyplomacja to sztuka negocjowania z wrogami” – stwierdza.

Po pierwszym szoku wrócili również do obiegu na pełnoprawnych zasadach *Russlandversteher*, czyli grupa analityków i kreatorów opinii uznawanych za znawców Rosji oraz pełnych wyrozumiałości dla rosyjskiej polityki. Gabriele Krone-Schmalz, czołowa przedstawicielka tej grupy, dziennikarka, a pod koniec lat 80. korespondentka ARD w Rosji, zaraz po 24 lutego była się w piersi, jednak nie dlatego, żeby uznała za swoją winę usprawiedliwianie Rosji wcześniej, ale dlatego, że pomyliła się, nie przewidując wojny. Dzisiaj Krone-Schmalz wtóruje Ischingerowi, powtarzając, że wojnę należałoby zakończyć jak najszybciej dzięki dyplomacji.

ZMIANA, ALE...

Przemiana niemieckiej polityki względem Rosji jest więc zarazem głęboka, jeśli spojrzeć na nią w relacji do punktu wyjścia, i jedynie częściowa. Niemcy są jak najdalej od polskiego proukraińskiego i antyrosyjskiego zapału. Wydaje się, że nie martwi ich nawet szczególnie kwestia problemów wizerunkowych, związanych ze ślamazarzącymi się dostawami broni na Ukrainę. Można odnieść wrażenie, że berliński rząd myśli już o etap dalej.

W zasadzie pewne jest, że w sprawach energetycznych powrotu do dawnych układów z Rosją po zakończeniu działań wojennych nie będzie – co nie znaczy, że nie będzie jakiegoś importu surowców z Rosji. To wciąż może się zdarzyć, choć

w bardzo ograniczonym zakresie. Akurat w sprawach energetyki sytuacja jest Niemcom w pewnym stopniu na rękę, bo umożliwia im mocniejsze naciskanie na realizację Zielonego Ładu. I to bez żadnych modyfikacji – wbrew oczekiwaniom nie nastąpiła przecież nawet rewizja strategii wygaszania niemieckich elektrowni jądrowych, co ma przyczynić wyłącznie ideologiczne. Nie będzie też zapewne kordialnych jak niegdyś relacji z Moskwą – ale że jakieś będą, trudno mieć wątpliwości. Zwłaszcza gospodar-cze.

Niewiadomą jest natomiast, jaką rolę odegrają Niemcy w odbudowie Ukrainy, co będzie niezwykle łakomym kąskiem. Sygnały z Kijowa są mieszane. Z jednej strony nie ma wątpliwości, że sympatie Ukraińców całkowicie się od Niemców odwróciły – na topie są w tej chwili akcje Polski i polskich polityków. Jednak sentyment publiczny to jedno, a interesy to drugie. Skrajną naiwnością ze strony niektórych polskich komentatorów jest skreślanie Niemiec jako „moralnych bankrutów” z powodu ich prorosyjskiej postawy. Niemcy są wciąż najsilniejszą gospodarką kontynentu – podczas gdy Polska systematycznie się osłabia, m.in. nie licząc się z kosztami udzielanej Ukrainie pomocy. Po wojnie rywalizacja o kontrakty będzie twarda, a sygnały częściowej choćby odwilży w relacjach Kijowa i Berlina są. W połowie maja Dmytro Kułeba w telewizji ARD stwierdził, że „Republika Federalna Niemiec przejęła w tej chwili inicjatywę i gra pierwsze skrzypce w Europie”, podkreślając kluczową rolę Berlina w kwestii unijnych sankcji. „Nie chciałbym wyolbrzymiać niedobrych momentów” – koncyliacyjnie deklarował Kułeba.

UKRAIŃSKI PRAGMATYZM

Ukraińcy grają pragmatycznie. Jeśli przysłuchać się temu, co mówią Zełenski czy Kułeba, jest tam dla każdego coś miłego. Swoją porcję pochwał dostają Polska, a także Komisja Europejska, Niemcy, oczywiście USA, a nawet prezydent Macron (po rozmowie z prezydentem Zełenskim w połowie maja). Niemcy z kolei dystansują się wobec jastrzębiej linii prezentowanej przez Polskę i USA, grając na powojenne korzyści i ufając w siłę własnej gospodarki. Kto lepiej wyjdzie na swojej strategii – pokaże zapewne już najbliższe kilkanaście miesięcy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojna na Ukrainie zjednoczyła Europę w walce przeciw nowej odmianie imperializmu, który niemalże niczym nie odróżnia się od poprzednika, tego tradycyjnego XX-wiecznego imperializmu, który jest znany Europejczykom w jego krańcowych czerwonych i brunatnych przejawach: sowieckiego stalinizmu i niemieckiego narodowego socjalizmu. Siła naszego wspólnego sprzeciwu wobec putinizmu tkwi głównie w sile ducha narodu ukraińskiego, jego zdolności do oparcia się agresji, a także w jedności cywilizowanego świata. Nasza solidarność z Ukrainą ma solidne podłoże ideowe, wspólne wartości demokratyczne i światopoglądowe. Zaprzeczać temu może jedynie otwarty wróg wolności i solidarności.

Walka z rosyjską agresją wymaga ogromnych wyrzeczeń zarówno od Ukraińców, jak i od popierających ich narodów świata. Nałożone na Rosję sankcje polityczne i gospodarcze negatywnie odbijają się również na poziomie życia Ukraińców i mieszkańców wszystkich prawie bez wyjątku krajów Unii Europejskiej. Każdy dzień wojny przynosi nowe ofiary, zniszczenia i ludzkie tragedie. Wojny nie da się wygrać bez strat i wyrzeczeń we wszystkich dziedzinach życia. Jednak czy wszystkie ofiary i wyrzeczenia są niezbędne, aby pokonać agresora, aby zatrzymać Putina i jego idee rozpowszechnienia „ruskiego miru”? Jak reagować na nawoływania niektórych do „sprowadzenia Rosjan do poziomu epoki kamienia łupanego”? Co można odpowiedzieć tym, którzy nawołują do rezygnacji z kultury rosyjskiej, do skreślenia z dorobku cywilizacyjnego świata wielkich dzieł twórców rosyjskich: muzyków, pisarzy, naukowców i innych intelektualistów wielkiej Rosji?

NIE WSPIERAĆ PROPAGANDY PUTINA

Czy negacja „kultury rosyjskiej” pomaga Ukraińcom w ich walce o wolność? Czy rezygnacja z Czajkowskiego, Dostojewskiego, Puszkina, Tołstoja, Brodskiego i innych wielkich z minionych lat sprzyja porażce agresorów? Wręcz przeciwnie, daje to dodatkowe możliwości propagandy putinowskiej w celu zniekształcenia przebiegu tej wojny i dalszego „prania mózgów” własnym obywatelom popierającym agresję. Najgorsze jednak jest to, że odrzucając

rosyjską kulturę, tracimy w tym ogromnym kraju bardzo licznych przeciwników Putina, w tym polonofilów wszystkich odcieni politycznych: od prawicy do skrajnej lewicy. To zjawisko rosyjskiego polonofilstwa paradoksalnie jest dość słabo znane w Polsce. Wiedza Polaków na ten temat ogranicza się do słynnego poparcia w połowie XIX w. pierwszego rosyjskiego dysydenta Aleksandra Hercena dla powstania styczniowego.

wszechnienie wśród sowieckiej inteligencji, szczególnie wśród dysydentów, otrzymało zjawisko nauki języka polskiego. Umiejętność pisania i czytania po polsku rozpatrywano jako próbę zerwania z duchowym niewolnictwem, jako swoisty łyk świeżego powietrza wolności. To, co pisano i czytano w liberalnym PRL, było dla sowieckiej inteligencji objawieniem. Paradoksalnie, ale sowiecka cenzura nie ograniczała dostępu obywateli sowieckich

Wizja drugiej Rosji



Mikołaj Iwanow

debata
DO RZECZY

Carat to nie Rosja, Lenin to nie Rosja, Stalin to nie Rosja, ... Putin – to też nie Rosja. Ci wszyscy przywódcy wielkiego wschodniego imperium byli w stanie panować jedynie dzięki różnym formom zniewolenia własnego narodu. Dopiero dzisiejsze nowe pokolenie Rosjan zaczęło powoli wyzwać się z poczucia niemożności życia bez twardej ręki totalitarnego przywódcy

Polonofilstwo w Rosji od średniowiecza było symbolem walki z barbarzyństwem, z ideą rosyjskiego mesjaństwa pod hasłem „Rosja – trzeci Rzym”, z ideologią światowej rewolucji komunistycznej. Poparcie polskich dążeń wolnościowych w XIX w. stało się swoistym papierkiem lakmusem prawdziwej inteligencji. Hercen na łamach swego „Koło koła” („Dzwon”) stwierdzał, że polonofob nie może być prawdziwym inteligentem rosyjskim. W czasach postalinowskich, nazywanych „odwilżą”, niezwykle szerokie rozpo-

do prasy polskiej i wydawnictw książkowych, w tym tłumaczeń z języków obcych. Późniejszy noblista, wybitny poeta Josif Brodski twierdził, że nauczył się polskiego, aby przeczytać polskie tłumaczenie książki wybitnego francuskiego filozofa i pisarza Jeana-Paula Sartre’a. Dziś zwiedzających muzeum wyrzuconego z kraju w latach 70. Josifa Brodskiego, urządzone w jego byłym petersburskim mieszkaniu, przeraża wystawiona liczba polskich książek, wycinków z polskich gazet i czasopism. To zafascynowanie polskością przerodziło

■ się później na emigracji w przyjaźń dwóch wybitnych poetów noblistów – Brodskiego i Miłosza.

ISTNIEJE INNA ROSJA

O skali rozpowszechnienia podobnego polonofilstwa w Rosji może świadczyć jeden ciekawy fakt. W 2013 r., w stulecie urodzin Czesława Miłosza, polska fundacja Za Wolność Waszą i Naszą z inicjatywy Natalii Gorbaniewskiej przy finansowym poparciu polskiego Ministerstwa Kultury zorganizowała w Sankt Petersburgu naukowo-praktyczną konferencję pt. „Miłosz i Rosja”. Ku ogromnemu zdziwieniu samej Natalii Gorbaniewskiej i polskich współorganizatorów tej konferencji liczba znawców twórczości Miłosza w Rosji była porównywalna z liczbą badaczy twórczości polskiego noblisty w Polsce. Natalia Gorbaniewska, wybitna rosyjska poetka, uchodząca za „pierwszą rosyjską polonofilkę”, obywatelka Rzeczypospolitej Polskiej, zmarła w dniu otwarcia tej konferencji. Fatum...

Oto, co pisała w 1981 r. grupa rosyjskich dysydentów, próbujących zakładać w swoim kraju niezależne struktury związkowe, w „Pośłaniu do I Zjazdu Solidarności”: „Wasza walka o sprawy zwykłych ludzi w Polsce jest też naszą walką. Wszystko to, czym przyczyniacie się do śmierci kłamstwa i dwulicowości, do realizacji podstawowych potrzeb pracowniczych, osłabia również i nasz reżim. Polska nie będzie wolna, dopóki wolna nie będzie Rosja... Dziś Solidarność jest nam drogowską-żem”. Podobne nastroje wśród rosyjskiej opozycyjnej inteligencji nie są przejawami



lepszego ucznia, za człowieka, który po niej może przejąć pałeczkę sztafetową bycia pierwszym ambasadorem kultury rosyjskiej w Polsce, kultury Nowej Rosji, opartej na szczególnym poszanowaniu jeszcze niezagojonych ran Polaków, doznanych od rosyjskiego białego lub czerwonego totalitaryzmu. Oto, co pisał w jednym ze swych ostatnich artykułów na stronie Culture.

walce o wolność. Przez to odwrócili się od niego prawie wszyscy rodacy, a jego słynne czasopismo »Kołokoł« zbankrutowało. Natomiast Hercen, jak powiedział jeden z krytyków literackich z początku ubiegłego stulecia, „uratował honor demokracji rosyjskiej”.

CEL: POKAJANIE SIĘ ROSJAN

Historia stosunków polsko-rosyjskich zna o wiele więcej przykładów wyjątkowego, czasem bohaterskiego polonofilstwa. To nie tylko Hercen i Andrij Potebnia, poległy w bitwie pod Skałą w powstaniu styczniowym, który dzielnie walczył „o wolność naszą i waszą”. Jestem przekonany, że bliski jest ten czas, kiedy Rosjanie będą się szczylić i uroczą się upamiętniać kapitana Armii Czerwonej Konstantego Kaługina, który za swój aktywny udział w powstaniu warszawskim, za listy do samego Stalina z prośbą o pomoc dla powstańców zapłacił 15-letnim wyrokiem w obozie koncentracyjnym.

Ta „druga Rosja”, która popiera Ukrainę i świat demokratyczny Zachodu w walce z agresją Putina, istnieje i dziś. Rosyjscy polonofile są w pierwszych szeregach tej nierównej walki. To przede wszystkim ludzie moskiewskiego Memoriału, którzy

Druga Rosja symbolizuje nie tylko bierny opór agresji rosyjskiej, są Rosjanie, którzy mimo wielu trudnych do pokonania przeszkód przedostają się na Ukrainę i wstępują do armii ukraińskiej

z przeszłości. Polonofilstwo nadal stanowi swoistą siłę napędową walki z putinizmem. Dlatego zupełnie niezrozumiała z punktu widzenia polskich interesów narodowych była decyzja z 11 kwietnia zawieszenia rosyjskiej sekcji portalu Culture.pl, pracującej w strukturze Instytutu Adama Mickiewicza. Wśród sześciorga zwolnionych pracowników sekcji był rosyjski poeta Igor Below, którego Natalia Gorbaniewska uważała za jednego z najlepszych współczesnych poetów rosyjskich, za swego naj-

pl: „Dziś dość często można spotkać się z opinią, że naród rosyjski sam zasłużył na takich przywódców, że jesteśmy narodem przeklętym, że sumienni Rosjanie nie istnieją, że kultura rosyjska – to imperialne, antyludzkie zjawisko. Aleksandr Hercen na pewno z tym by się nie zgodził. Swym słowem, swymi dokonaniem stale przekonywał, że istnieje inna Rosja: demokratyczna, miłująca wolność. Hercen był jednym z nielicznych rosyjskich intelektualistów, którzy otwarcie poparli Polaków w ich



Spotkanie premiera Mateusza Morawieckiego i zacieklego krytyka Kremla Garriego Kasparowa FOT. KRYSZTOF MAJ/KPRM

dzielnie reprezentują ofiary Katynia w rosyjskich sądach, którzy zajmują się upamiętnieniem polskich ofiar „operacji polskiej” z lat 1937–1938. Przypomnijmy jedynie, że ofiar tych było prawie tyle samo, ile ofiar powstania warszawskiego – ok. 200 tys. To oni zgromadzili już dane prawie 50 tys. pomordowanych Polaków. Ludzie Memoriału robią to mimo szykan i prześladowań, a teraz, w okresie nasilenia represji w związku z wojną na Ukrainie, pod groźbą aresztowania i uwięzienia.

Druga Rosja symbolizuje nie tylko bierny opór agresji rosyjskiej, są Rosjanie, którzy pomimo wielu niezwykle trudnych do pokonania przeszkód przedostają się na Ukrainę i wstępują do armii ukraińskiej, aby razem z narodem ukraińskim bronić jego wolności, walcząc jednocześnie o wyzwolenie własnego kraju spod dyktatury Putina. Powstała antyputinowska organizacja Nastojaszczaja Rossija (Prawdziwa Rosja), na czele z byłym mistrzem świata w szachach Garrim Kasparowem i wybitnym pisarzem Borisem Akuninem. Jej główny cel: pomoc dla armii ukraińskiej. Ten cel już jest aktywnie realizowany. Spotkanie premiera Polski Mateusza Morawieckiego z Garrim Kasparowem 18 maja świadczy o tym, że „druga Rosja” nie jest

izolowana, że w UE istnieje zrozumienie i poparcie dla jej działań na rzecz zwycięstwa Ukrainy w wojnie.

Garri Kasparow w jednym z publicznych wystąpień wyznaczył również inny, nie mniej ambitny cel Nastojaszczej Rossiji: doprowadzenie do powszechnego pokajania się narodu rosyjskiego za to poparcie, którego Rosjanie udzielają Putinowi za udział w zbrodniczej wojnie. Narodowi potrzebna własna Norymberga, potrzebne osądzenie przestępców wojennych, potrzebne jest powszechne pokajanie się. Ta rosyjska Norymberga powinna być ogromnym przedsięwzięciem ogólnonarodowym, powinna wejść do każdego domu rosyjskiego, każdy Rosjanin powinien odczuć ból zbrodni na Ukrainie. Tylko w ten sposób kraj może wrócić do cywilizowanego świata, przywrócić cywilizacyjną normalność i zbudować nową demokrację. W odróżnieniu od narodu niemieckiego, który po drugiej wojnie światowej przeprowadził duchową denazyfikację, będąc pod obcą okupacją, Rosjanie muszą zrobić to sami, z własnej woli, bez przymusu z zewnątrz, w przekonaniu, że bez podobnego duchowego odnowienia ten kraj nie jest w stanie po prostu dalej istnieć.

Dziś podobna wizja przyszłej Rosji wygląda jak utopia, ale innej drogi nie ma. Alternatywą może być jeszcze większe pogrążenie kraju w marazmie, w otchłani zbrodni i zdrady. A to może doprowadzić do zniszczenia Rosji, a w konsekwencji i całego świata. Doskonale rozumieją te realia polityczne ci Rosjanie, którzy uważają się za tę „drugą Rosję”.

Legendarny przywódca polskiej Solidarności Walczącej Kornel Morawiecki w swoim czasie, trochę ironicznie, trochę żartem, a trochę serio, mówił: „Rosja musi być w NATO i Unii Europejskiej” i to będzie ostatnie śmiertelne uderzenie w imperializm rosyjski, który zginie na zawsze. Mówić coś takiego teraz, w czasie wojny na Ukrainie, jest co najmniej niestosowne, ale wojna nie trwa wiecznie... Porażka Rosji Putinowskiej w tej wojnie nie powinna zniszczyć Rosji, lecz odbudować ją na zupełnie nowym demokratycznym, antyimperialnym podłożu... Podstawowe credo rosyjskiego nacjonalizmu brzmi: „Rosja może być albo imperium, albo nie będzie jej wcale”... Jest to od początku do końca fałszywe stwierdzenie.

Rosja może i powinna być normalnym cywilizowanym, demokratycznym państwem żyjącym w zgodzie ze swymi sąsiadami i całym światem. Nie jest to utopia, lecz realna perspektywa, dla której nie ma alternatywy

Carat to nie Rosja, Lenin to nie Rosja, Stalin to nie Rosja, ... Putin – to też nie Rosja. Ci wszyscy przywódcy wielkiego wschodniego imperium byli w stanie panować jedynie dzięki różnym formom zniewolenia własnego narodu. Dopiero dzisiejsze nowe pokolenie Rosjan zaczęło powoli wyzwalać się z poczucia niemożności życia bez twardej ręki totalitarnego przywódcy. Ten proces, jak widzimy, idzie bardzo powoli, boleśnie, ale trwa... Wojna na Ukrainie go przyspiesza, przyspiesza go każde kolejne zwycięstwo armii ukraińskiej. Powoli, ale nieuchronnie to nowe pokolenie Rosjan i cały naród zaczynają oswajać się z ideą „zgubnego dla Rosji bycia imperium”. Przyszłość tego ogromnego kraju należy do „drugiej Rosji”, do pokolenia Nawalnego... Putin i putinizm są skazani na porażkę, wojna na Ukrainie została przegrana przez Rosję w momencie jej wypowiedzenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Mikołaj Iwanow jest rosyjskim dysydem, politologiem oraz historykiem specjalizującym się w historii Związku Sowieckiego.



Maciej Pieczyński

Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewski i Tołstoj propagowali zwycięstwa i podboje rosyjskiego oręża. Czy dziś poparliby inwazję na Ukrainę? Czy walczący piórem (i nie tylko) w szeregach Putina Prilepin jest ich godnym następcą?

Bojkot kultury rosyjskiej jest emocjonalnie zrozumiały, moralnie wątpliwy (bo walka z kulturą totalitarnego państwa ma też znamiona totalitarnych praktyk), a intelektualnie szkodliwy. Wroga bowiem trzeba znać. A literatura jest szczególnie wdzięcznym, pełnym i wyrazistym zwierciadłem „duszy rosyjskiej”. A właściwie „dusz” – zarówno tej, która korzyła się przed despotyzmem, jak i tej, która z nim walczyła. W warunkach niemal nieustającej – carskiej, następnie sowieckiej – cenzury to właśnie wybitni pisarze w demokratycznych krajach pełnili funkcję zarezerwowaną dla liderów politycznej, społecznej, medialnej opozycji czy niezależnej myśli naukowej i filozoficznej. Jednak nawet ci twórcy, których powszechnie – i słusznie! – uważa się za przeciwników tyranii, wrażliwych na krzywdę ludzką, często tę empatię tracą, gdy ofiarami tej samej tyranii padają już nie Rosjanie, lecz przedstawiciele narodów przez Rosję podbitych. Piewcy wolności stają się wtedy piewcami imperializmu.

„Puszkina, Gogola i Dostojewski dziś byliby tutaj z nami” – stwierdził Zachar Prilepin, przemawiając ze sceny podczas słynnego już koncertu na Łużnikach, mającego charakter wiecu poparcia dla inwazji na Ukrainę. Niestety, czytając klasyków literatury rosyjskiej, można zaryzykować stwierdzenie, że tak mogłoby być. Poglądy Prilepina są ogólnie znane – dawniej narodowy bolszewik, od 2014 r. gorący zwolennik imperialnej polityki Putina. Wybitny prozaik, a także publicysta, polityk, były specnazowiec, uczestnik wojny w Czeczenii. Zorganizował rosyjski batalion ochotniczy do walk w Donbasie po stronie separatystów. O swoich doświadczeniach z frontu napisał w powieści „Niektórzy nie pójdą do piekła”, gdzie pod niebiosą wychwala Aleksandra



Zachar Prilepin, rosyjski dziennikarz i pisarz, podczas koncertu na Łużnikach twierdził, że dawni rosyjscy literaci wsparliby inwazję na Ukrainę

FOT. VK.COM/VIDEO/RUSLAN MICHAJŁOW

Literatura w służbie imperium

Zacharczenkę, ówczesnego przywódcę marionetkowej tzw. Donieckiej Republiki Ludowej. I lekko tylko narzeka na to, że Moskwa mogłaby separatystów bardziej wspierać. Po 24 lutego 2022 r. w pełni popiera „denazyfikację” Ukrainy.

PUSZKIN SŁUGĄ REŻIMU

„Nasze wsio”, czyli „nasze wszystko” – tak Rosjanie mówią o swoim narodowym wieszczu. Aleksander Puszkina przeszedł długą drogę od opozycjonisty do sługi reżimu. Za swoją lirykę wolnościową został zesłany, a dokładniej dzięki wstawiennictwu wpływowych przyjaciół, przeniesiony do służby na południe kraju. Po powrocie z banicji odbył rozmowę z carem Mikołajem. Miał zapewnić imperatora, że wyrzekł się swoich dawnych, opozycyjnych przekonań. I rzeczywiście, choć zdarzało mu się jeszcze napisać coś

niepornego politycznie (np. potępiającą tyranie uzurpatorów tragedię „Borys Godunow”), to generalnie piewca wolności stał się piewcą imperium.

Później podobnie potoczył się losy Fiodora Dostojewskiego. Autor „Zbrodni i kary” został skazany na śmierć za działalność w rewolucyjnym ruchu pietraszewców. A dokładniej – za rozpowszechnianie „Listu do Gogola”, w którym Wissarion Bieliński krytykował swojego adresata za wychwalanie systemu carskiego (sam Gogol w powieści „Taras Bulba” przedstawił niemal cywilizacyjne starcie dobrych, prawosławnych Kozaków ze złymi, katolickimi polskimi panami). Karę śmierci zamieniono Dostojewskiemu na katorgę, z której wrócił odmieniony, a być może złamany, i stał się apologetą prawosławia, samodzierżawia i rosyjskiego ludu a także imperializmu, idei Moskwy jako Trzeciej

go Rzymu. Twierdził z pogardą, że przy Rosjanach inne narody słowiańskie są jak Liliputy przy Guliwerze. Polaków nienawidził za to, że nie chcieli ukorzyć się przed carem, że zdradzili swoją słowiańskość, wybierając zachodnią drogę cywilizacyjną. Nienawidził również za to, że są katolikami – a katolicyzm to dla Dostojewskiego, obok protestantyzmu, socjalizmu i kapitalizmu, jedna z czterech „zachodnich ideologii”, których wspólnym mianownikiem są materializm, racjonalizm i indywidualizm, tak obce rosyjskiemu kolektywizmowi, irracjonalizmowi i uduchowieniu. A już szczególnie pałał wrogością do Polaków po wybuchu powstania styczniowego, które traktował jako przejaw wirusa rewolucji, niebezpiecznego dla podstaw caryzmu.

MIT WOJNY OJCZYŹNIANEJ

Nieco odmienną drogę przeszedł Lew Tołstoj. Twórca rosyjskiej prozy batalistycznej, autor opowiadań opisujących obronę Sewastopola podczas wojny krymskiej (w której sam uczestniczył), opowiadań, które niewątpliwie ukształtowały w dużej mierze tak wielki sentyment Rosjan do półwyspu. Piewca imperium z „Wojny i pokoju”, powieści sławiącej powszechne zjednoczenie narodu rosyjskiego ponad stanowymi podziałami w obliczu najazdu Napoleona, niewątpliwie przyczynił się do mitu wojny ojczyźnianej, bez którego być może nie byłoby ponad wiek później mitu wielkiej wojny ojczyźnianej. Potrafił jednak współczuć ofiarom imperium (choćby Polakom, jak w opowiadaniu „Za co?”, opisującym los powstańców listopadowych). Na starość stał się pacyfistą i anarchistą potępiającym instytucję państwa jako taką oraz propagującym ideę „niesprzeciwiania się złu przemocą”. Drogę Puszkina i Dostojewskiego powtórzył zaś do pewnego stopnia Aleksander Sołżenicyn. Wielki antykomunista, twórca najwybitniejszych dzieł, obnażających piekło sowieckiego systemu, pod koniec życia w swojej publicystyce wychwalał rosyjski imperializm.

Wyrazistą ilustracją wielkomocarstwaowego szowinizmu jest twórczość poświęcona tematyce kaukaskiej, związana z podbojem tego regionu. Rosyjscy romantycy, wzorując się na poematach wschodnich Byrona, z zachwytem portretowali żywiołowy, dziki, orientalny świat czerkieskich czy gruzińskich gór. Przez ten zachwyt przebiegała jednak duma przedstawicieli „cywilizowanej” Rosji, która ten świat pod-

Polska w zwierciadle literatury rosyjskiej wygląda jak „Judasz Słowiańszczyzny”, forpczta Zachodu i ognisko wiecznego buntu

bija. Tytułowy jeniec kaukaski z poematu Puszkina został wypuszczony na wolność przez zakochaną w nim czerkieską dziewczynę, która uosabia naturalność, wolność i spontaniczność. Ale w epilogu poeta już od siebie, otwartym tekstem, wygłosił pochwałę podboju Kaukazu, na owej wolności stawiając krzyżyk. Podobnie dwuznaczny stosunek do kaukaskich górali prezentował Michaił Lermontow. Również wrażliwy poeta o poglądach wolnościowych. Na front kaukaski został wysłany w ramach kary za to, że w swoim wierszu oskarżał przedstawicieli dworu carskiego o doprowadzenie do śmierci Puszkina. „Żegnaj, Rosjo nieumyta, kraju niewolników, kraju panów, i wy, mundury policyjne, i ty, narodzie, im sprzedany” – pisał kilka lat później, zgodnie ze swoim wolnościowym światopoglądem potępiając carską tyranie. Ale ten sam Lermontow w poemacie „Izmaił-Bej” zachwycał się potęgą imperialną Rosji i nawoływał ludy Kaukazu do poddania się tej samej carskiej tyranii: „Jakież to stepy, góry, morza orężowi Słowian się oparły? I gdzie woli rosyjskiego cara zdrada i wrogość nie poddały się? Ukorz się, Czerkiesie! I zachód, i wschód być może wkrótce twój podzieli los. Nadejdzie czas i z dumą powiesz sam – niech będę niewolnikiem, ale niewolnikiem cara wszechświata”. Porażająca jest niekonsekwencja, z jaką Lermontow używa słowa „niewolnik” (ros. rab). Wszystko zależy od kontekstu. Gdy krytykuje wewnętrzną politykę caratu, z pogardą nazywa „niewolnikami” tych, którzy zginają kark przez despotą imperatorem. Gdy zaś pisze o polityce zagranicznej tego samego caratu, przekonuje Czerkiesę, jak wielką chwałą jest bycie niewolnikiem tego samego despoty, który nagle staje się godnym podziwu „carem wszechświata”.

ZNIENAWIDZONA POLSKA

O ile Kaukaz Puszkina, Lermontow i inni opisywali z mieszkanką fascynacji dzikością Orientu oraz cywilizacyjnej wyższości nad podbitymi „dzikusami”, o tyle Polska w zwierciadle literatury

rosyjskiej wygląda jak „Judasz Słowiańszczyzny”, forpczta Zachodu i ognisko wiecznego buntu oraz sprzeciwu wobec imperialnych zapędów Moskwy czy Petersburga. Puszkina przyjaźnił się z Mickiewiczem, ale również z nim polemizował i z jego wolnościowymi, patriotycznymi dążeniami się bynajmniej nie solidaryzował. W poemacie „Jeździec miedziany” rosyjski poeta przedstawił dramat zwykłego „małego człowieka” Eugeniusza, który stracił ukochaną podczas powodzi i winą za to obarczył Piotra Wielkiego, bo to on kazał zbudować miasto w niedogodnym, zagrożonym powodzią miejscu. Ostatecznie jednak Puszkina przyznaje słuszność imperatorowi, który „wyrąbał okno na Europę” – potęga państwa potrzebuje przecież ofiar. „Jeździec miedziany” był odpowiedzią na twórczość Mickiewicza, przedstawiającą Petersburg jako „demoniczne miasto”. Jednak imperialny tekst Puszkina to przede wszystkim słynna antypolska trylogia, napisana w związku z powstaniem listopadowym, do którego brutalnego stłumienia Puszkina nawoływał. Oda „Oszczercom Rosji” brzmi niemal jak przekaz współczesnej rosyjskiej propagandy. Puszkina apeluje do Zachodu, aby ten nie mieszał się w „Słowian spór domowy”, jak nazywa tłumienie oporu Polaków przez Rosjan. A jeśli apel nie poskutkuje – grozi poeta – to w ruch pójdzie siła oręża. Puszkina użala się też na niewdzięczność Zachodu, który już zapomni, jak to został wyzwolony przez Rosję spod władzy wielkiego tyrana. Oczywiście chodzi o Napoleona i wojnę ojczyźnianą, ale wystarczy zamiana na Hitlera i wielką wojnę ojczyźnianą i mamy przekaz aktualny. Autor zastanawia się, kto w tym „wiecznym sporze” wygra – „dufny Lach” czy „wierny Ross”. Dumny i zarozumiały Polak czy pokornie klękający przed „carem wszechświata” Rosjanin?

W tekście można znaleźć częściową odpowiedź na pytanie, skąd ten wielkomocarstwowy szowinizm. Dlaczego Rosja tak panicznie boi się świata, że musi na ten świat nieustannie napadać? „Czy się słowiańskie rzeki w rosyjskie zleją morze, czy ono wyschnie?” – zastanawia się Puszkina. Jak słusznie zauważył w swojej książce „Metamorfozy Imperium Rosyjskiego” prof. Andrzej Nowak, alternatywa jest następująca: albo Rosja będzie imperium, albo nie będzie jej wcale.



Ukraińcy w obronie



Mirosław Szumiło

Ukraińcy bohatersko walczący dziś w obronie swojej niepodległości podkreślają, że bronią całej Europy przed barbarzyńską nawałą ze wschodu. Warto zatem przypomnieć, że bili się ramię w ramię z Wojskiem Polskim w obronie naszej ojczyzny w roku 1920

Udział sprzymierzonej armii ukraińskiej w wojnie z bolszewikami był bezpośrednim następstwem sojuszu między Rzeczypospolitą Polską i Ukraińską Republiką Ludową (URL), znanego jako pakt Piłsudski-Petlura.

Zanim do niego doszło, armia ukraińska zmuszona do walki na dwa fronty uległa przeważającym siłom bolszewików i białych Rosjan gen. Antona Denikina. Na dodatek została zdziesiątkowana przez szerzącą się epidemię tyfusu.

Na początku grudnia 1919 r. armia i władze URL znalazły się w „trójkącie śmierci” w okolicach Lubaru na Wołyniu, bez możliwości dalszego odwrotu. Na północy znajdowali się bolszewicy, na wschodzie i południu biali, na zachodzie – Polacy.

W tej sytuacji postanowiono, że zdolne do walki oddziały pod dowództwem gen. Mychajły Omelanowycza-Pawłenki wyruszą w tzw. pochód zimowy, czyli partyzancki rajd na tyły Denikina i bolszewików. Żołnierze, którzy z powodu chorób i ran nie mogli wyruszyć, zostali rozbrowieni przez Polaków i przetransportowani do obozu internowania w Łańcucie, gdzie traktowano ich jako



Józef Piłsudski i Symon Petlura
z polskimi i ukraińskimi żołnierzami
w 1920 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Polski

„ochotników obcej przynależności państwowej”. Natomiast ataman główny armii URL Symon Petlura 5 grudnia 1919 r. wyjechał do Warszawy na zaproszenie Józefa Piłsudskiego.

WYPRAWA KIJOWSKA

W rezultacie umowy polsko-ukraińskiej podpisanej w Warszawie w nocy z 21 na 22 kwietnia 1920 r. oraz towarzyszącej jej konwencji wojskowej wojska polskie i ukraińskie podjęły wspólnie walkę z bolszewikami. Celem tzw. wyprawy kijowskiej było wyzwolenie terytorium centralnej Ukrainy spod okupacji bolszewickiej i rozbicie znajdujących się tam sił Armii Czerwonej.

Przed rozpoczęciem ofensywy w Polsce sformowano dwie kadrowe jednostki ukraińskie: 6. Siczową Dywizję Strzelców pod dowództwem płk. Marka Bezruczki oraz 2. Dywizję Strzelców, którą dowodził płk Ołeksandr Udowyczenko. Obie dywizje w końcu kwietnia 1920 r. osiągnęły w sumie stan zaledwie 556 oficerów, 3348 żołnierzy, 11 armat i 65 karabinów maszynowych. Ich obecność u boku 60 tys. nacierających żołnierzy polskich miała głównie znaczenie propagandowe.

6 maja 1920 r. swój heroiczny „pochód zimowy” na tyłach wroga zakończyły oddziały gen. Pawłenki, przebijając się przez linię frontu w rejonie Jampola nad Dniestrem. Pochód trwał pięć miesięcy, w czasie których armia URL przeszła na tyłach wojsk białych i czerwonych ponad 2,5 tys. km. Po zakończeniu rajdu partyzanckiego znajdowała się w fatalnym stanie, licząc zaledwie 479 oficerów i 3840 szeregowych, wyposażonych w 12 dział i 81 karabinów maszynowych. Wojsko ukraińskie wymagało zatem odpoczynku i reorganizacji, a przede wszystkim rozbudowy liczebnej oraz dostaw broni i amunicji.

7 maja Polacy zajęli opuszczony przez bolszewików Kijów. Dwa dni później odbyła się w stolicy Ukrainy wspólna polsko-ukraińska defilada wojskowa, z udziałem 6. Dywizji Siczowej płk. Bezruczki. Zajęcie Kijowa stanowiło jednak tylko połowę sukcesu. Głównym zadaniem była teraz rozbudowa armii URL, która weźmie na siebie obronę własnej ojczyzny, podczas gdy jednostki Wojska Polskiego miały zostać przerzucone na Białoruś, aby stoczyć decydujące starcie z Armią Czerwoną.

ZA MAŁO CZASU

Piłsudski liczył przy tym na wykorzystanie dość silnej partyzantki antybolszewickiej, sympatyzującej z Petlurą. Jednakże oddziały powstańcze niechętnie wstępowały do regularnej armii i nie chciały podporządkować się dyscyplinie. W tej sytuacji jedynym sposobem na powiększenie armii ukraińskiej było przeprowadzenie powszechnej mobilizacji. Jednakże opieszałość władz URL i utrudnienia czynione przez polskich dowódców sprawiły, że rozporządzenie o mobilizacji do wojska roczników 1896–1898 ogłoszono dopiero 25 maja i praktycznie nie wprowadzono go w życie. Częściowa mobilizacja została przeprowadzona tylko w powiatach naddniestrzańskich: Jampol

**W rezultacie umowy
podpisanej w 1920 r.
wojska polskie i ukraińskie
podjęły wspólnie
walkę z bolszewikami**

i Mohylów Podolski, dając 6 tys. rekrutów. Na początku czerwca armia ukraińska osiągnęła stan żywieniowy ponad 21 tys. żołnierzy, co oznaczało 10 tys. bagnatów i szabel w stanie bojowym.

Jak słusznie zauważył gen. Tadeusz Kutrzeba: „Z punktu widzenia operacyjnego przegraliśmy na Ukrainie, gdyż nie potrafiliśmy jej obronić do czasu powstania wojska ukraińskiego przeznaczonego do tego zadania”. Czasu było zdecydowanie za mało, ponieważ już 5 czerwca 1920 r. bolszewicka 1. Armia Konna Siemiona Budionnego przełamała linię frontu na południe od Kijowa i wyszła na tyły wojsk polskich. W tej sytuacji dowódca 3. Armii gen. Edward Śmigły-Rydz nakazał opuszczenie Kijowa i odwrót na zachód.

Podczas walk odwrotowych armia ukraińska broniła południowego odcinka frontu nad Dniestrem, stanowiąc silną i aktywną osłonę prawego skrzydła wojsk polskich. Cofając się na zachód, armia ukraińska kolejno zatrzymywała się na naturalnych liniach obronnych w postaci rzek wpadających do Dniestru. Zadania jej powierzane były coraz trudniejsze. Początkowo broniła 35 km frontu, a po przejściu za Dniestr ponad 100 km. Szczególnie ciężkie walki toczono na linii Zbrucza, co kosztowało armię ukraińską znaczne straty w ludziach.

W tym czasie 6. Dywizja Siczowa płk. Bezruczki pozostawała w składzie polskiej 3. Armii i po wycofaniu się z Kijowa walczyła na terenach południowego Polesia. W sierpniu 1920 r. znalazła się na Lubelszczyźnie, osłaniając prawe skrzydło polskiej 7. Dywizji broniącej Chełma. Obie jednostki dzielnie powstrzymywały napór bolszewickiej XII armii. Osłaniały w ten sposób koncentrację dywizji przygotowujących się do słynnego „manewru znad Wieprza”, który rozstrzygnął losy wojny. 27 sierpnia 1920 r. płk Bezruczko otrzymał rozkaz zorganizowania obrony Zamościa, oddając pod jego komendę również wszystkie znajdujące się w tym rejonie jednostki polskie. Większa część podporządkowanych mu sił wyruszyła

■ z Zamościa na wschód z zadaniem obsadzenia przepraw na rzece Huczwie. Bezruczko pozostał w Zamościu i 28 sierpnia rano został odcięty od podległych sobie jednostek przez idącą od strony Lwowa bolszewicką 1. Armię Konną Siemiona Budionnego, która parła w kierunku Lublina i Warszawy na odsiecz bolszewickim armiom dowodzonym przez Michaiła Tuchaczewskiego.

Większość jednostek 6. Dywizji Siczowej walczyła z wrogiem na wschód od Zamościa, w rejonie Miączyna i Grabowca. W samym mieście pozostało tylko 400 żołnierzy ukraińskich ze sztabu dywizji i kurenia saperów. Główny trzon obrony miasta stanowił polski 31. Pułk Strzelców Kaniowskich, liczący 2320 żołnierzy i oficerów. Polsko-ukraińską załogą Zamościa dowodził jednak płk Bezruczko, jako najstarszy rangą oficer, i wykonał to zadanie znakomicie. Ukraińscy saperzy w ciągu kilku dni postavili wokół miasta mocną linię zasieków, a za nimi pobudowali łańcuch silnych gniazd oporu z wygodnie usytuowanymi szańcami.

Budionny popełnił kardynalny błąd, każąc swoim kawalerzystom szturmować miasto. Załoga Zamościa przez trzy dni (29–31 sierpnia) powstrzymywała bolszewickie ataki, co pozwoliło polskiemu dowództwu ściągnąć dodatkowe jednostki i zamknąć w kotle 1. Armię Konną. Podczas przebijania się oddziałów Budionnego z okrażeń doszło do słynnej bitwy pod Komarowem, która przeszła do historii jako największa bitwa konna XX w.

W rozkazie pożegnalnym dowódca 3. Armii gen. Zygmunt Zieliński napisał: „Spełniała 6. dyw. ukraińska po bohaterstwu i z całym poświęceniem swoje żołnierskie zobowiązania, tak w walkach zaczepnych, jak i odpornych przeciw bolszewikom, wykonując zawsze chlubnie swoje zadania, a często z własnej inicjatywy zadając wrogom ciężkie ciosy przez dobrze obmyślane i sumiennie wykonane wypadki. Żegnam Dowództwo, Was, Panowie Oficerowie i Żołnierze sprzymierzonej 6. dywizji ukraińskiej, a dziękując za dotychczas poniesione trudy, życząc wam powodzenia i dalszych sukcesów na nowym żołnierskim stanowisku, celem ustanowienia Waszej Ojczyzny”.

BIJĄ SIĘ TAK DOBRZE JAK NASI

Jeszcze większą rolę w obronie Polski przed bolszewicką nawałą odegrały siły główne armii URL, które pod dowód-

stwem gen. Omelanowycza-Pawłenki broniły w sierpniu 1920 r. liczącego prawie 150 km odcinka rzeki Dniestru od granicy rumuńskiej aż do rejonu Mikołajowa. Pozwoliło to na przerzucenie kilku polskich jednostek na północ, gdzie pod Warszawą i nad Wieprzem rozstrzygały się losy wojny. Armia ukraińska licząca wówczas ok. 16 tys. żołnierzy nie tylko odciążała front polski, lecz także osłaniała bardzo ważne strategiczne połączenie kolejowe z Rumunią.

Wobec negatywnego nastawienia Niemiec i Czechosłowacji przez terytorium rumuńskie wiodła jedyna bezpieczna droga, którą mogły bez zakłóceń płynąć do Polski z zachodu Europy dostawy broni, amunicji i innego materiału wojennego. Tą drogą dotarł także słynny transport amunicji z Węgier.

W decydującym momencie wojny oddziały ukraińskie stanowiły ok. 5 proc. wszystkich sił sprzymierzonych

Gdy wojska bolszewickie napierały mocno na Lwów, próbując obejść miasto od południa, oddziały armii gen. Pawłenki podjęły akcję zaczepną. Uderzyły na Rohatyn, żeby zająć przeciwnika z flanki. Po zaciętych walkach Ukraińcy zostali odrzuceni na pozycje wyjściowe, jednakże ściągając na siebie uwagę bolszewików, znacznie ułatwili polskiej 6. Armii skuteczną obronę Lwowa.

Na posiedzeniu Rady Obrony Państwa 11 sierpnia 1920 r. Józef Piłsudski stwierdził: „Oddziały Petlury biją się równie dobrze jak nasze. Nie widzę żadnej różnicy wartości między nimi a naszymi wojskami”. Potwierdzali to inni polscy uczestnicy wojny. Według gen. Kutrzeby: „[Wojska] ukraińskie były się wzorowo, czy na terenach rodzimej Ukrainy czy pod Zamościem [...], czy oparte o ramię polskie, czy też samodzielnie, wojska te spełniły swój dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek wojennego wykonywania powierzonych im zadań”.

Po klęskach bolszewików pod Lwowem i Zamościem armia ukraińska wraz z całym polskim Frontem Południowym ruszyła do ofensywy. 21 września 1920 r. przekroczyła linię Zbrucza i zdobyła

Kamieniec Podolski, wracając na swoje terytorium państwowe. Tego dnia rozpoczęły się jednak polsko-bolszewickie rokowania pokojowe w Rydze, w których polska delegacja już na starcie porzuciła swojego ukraińskiego sojusznika, uznając władze Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Do czasu wejścia w życie rozejmu 18 października armia URL opanowała pas terenu do 150 km na wschód od Zbrucza. Druga wyprawa kijowska była możliwa, ale polscy politycy postanowili za wszelką cenę przerwać wojnę.

Tego dnia Józef Piłsudski w rozkazie pożegnalnym do wojsk ukraińskich napisał: „Wspólnie przelana krew i groby bohaterów są kamieniem węgielnym na drodze do wzajemnego porozumienia i sukcesu obu narodów. Obecnie po dwóch latach ciężkich walk z barbarzyńskim najeźdźcą, żegnam się ze wspianymi wojskami Ukraińskiej Republiki Ludowej i stwierdzam, że podczas najcięższych chwil, w nierównej walce niosły one wysoko swój sztandar, na którym wypisane było hasło »Za waszą i naszą wolność«, co jest symbolem każdego uczciwego żołnierza”.

Petlura postanowił samodzielnie kontynuować walkę z bolszewikami w oparciu o wyzwolony obszar Podola i ruch powstańcy rozwijający się na tyłach wroga. Miało to szanse powodzenia tylko przy wykorzystaniu czynnika zaskoczenia. Natarcie przełożono jednak na 11 listopada. Bolszewicy zdążyli zgromadzić wystarczające siły i wyprzedzającym uderzeniem zadać śmiertelny cios armii URL. Po 10 dniach zaciętych walk prawie 20 tys. Ukraińców wycofało się za Zbrucz i trafiło do polskich obozów internowania. Walka była skończona.

W decydującym momencie wojny oddziały ukraińskie stanowiły tylko ok. 5 proc. wszystkich sił sprzymierzonych, jednakże ich udział w polskim zwycięstwie jest niezaprzeczalny. Widocznym śladem polsko-ukraińskiego braterstwa broni w 1920 r. są mogiły petlurowców, którzy polegli w boju lub też zmarli później jako emigranci na polskiej ziemi. Znajdują się one na cmentarzu prawosławnym na warszawskiej Woli oraz m.in. w Lublinie, Krakowie, Kaliszu, Aleksandrowie Kujawskim i Pikulicach pod Przemyślem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorem jest doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Atak i śmierć kamikadze

Azjatyckie barbarzyństwo i szaleństwo. A może bezprecedensowy w dziejach świata przykład bohaterstwa, patriotyzmu i poświęcenia dla ojczyzny? Działalność japońskich kamikadze do dzisiaj wzbudza gwałtowną dyskusję. I zapładnia wyobraźnię milionów ludzi na całym świecie.

Motywacja młodych pilotów, którzy podejmowali się samobójczych misji, była oczywiście szczytna i godna uznania. Jeżeli jednak chodzi o japońskie dowództwo, to stworzenie Specjalnych Sił Uderzeniowych było aktem desperacji. Rozpaczliwą próbą zniwelowania miażdżącej przewagi technologicznej i materiałowej, którą dysponowała marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych.

W wyniku zmagania na Pacyfiku Japończycy stracili olbrzymią część swojego potencjału morskiego. W oczy zajaśniało im widmo katastrofy. Próbuąc odwrócić losy przegranej wojny, sięgnęli po drastyczne środki. Dzisiaj eksperci ds. wojskowości uznaliby korpus kamikadze za typowy przykład wojny asymetrycznej.

Każdy, kto chce zrozumieć fenomen kamikadze, musi sięgnąć po książkę „Boski Wiatr”, która właśnie została wznowiona w Polsce. Dwóch spośród trzech au-

torów – kpt. Rikihei Inoguchi i kmdr Tadashi Nakajima – w trakcie wojny było oficerami japońskich Specjalnych Sił Uderzeniowych. A więc wiedzieli, o czym piszą. Trzeci, Roger Pineau, był z kolei oficerem U.S. Navy.

„Ataki kamikadze – czytamy – wstrząsnęły światem przede wszystkim dlatego, że wiązały się z pewną śmiercią pilota. Historia dostarcza wiele przykładów męstwa żołnierzy walczących bez szans na przeżycie. Nigdy jednak podobny program nie był realizowany tak systematycznie i przez tak długi okres. W przypadku najbardziej nawet ryzykownej akcji istnieje zawsze minimalna szansa na przetrwanie. Wykonanie zaś ataku przez kamikadze bezwarunkowo oznaczało śmierć pilota. Atak i śmierć były tożsame”.

Podczas drugiej wojny światowej zginęło blisko 4 tys. japońskich kamikadze. Historycy

sperają się, ile zatopili okrętów. Ostrożnie można napisać, że ponad 50. Kolejnych kilkaset uszkodzili. Oczywiście, mimo że poświęcili życie, nie udało im się zapobiec klęsce Cesarstwa Japonii. To kolejny dowód na to, że duch bojowy na wojnie jest niezwykle ważny. Ale samym duchem – bez dużej ilości nowoczesnej broni – wygrać się nie da. ©©



★★★★★

RIKIHAI
INOUCHI,
TADASHI
NAKAJIMA,
ROGER PINEAU
„BOSKI WIATR”
FUNDACJA
HISTORIA.PL



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wypadek Eugeniusza Bodo

W maju 1929 r. Eugeniusz Bodo otrzymał prawo jazdy i nabył samochód, po czym postanowił wyprawić się na Powszechną Wystawę Krajową. Eskapada do Poznania była dużym wyzwaniem dla świeżo upieczonego kierowcy (następnego dnia wieczorem miał pojawić się na kolejnym przedstawieniu rewii), ale Bodo koniecznie chciał wypróbować swój pojazd. Namówił na podróż kilkoro znajomych i wieczorem 25 maja 1929 r., po spektaklu w kabarecie Morskie Oko, zajął miejsce za kierownicą pojazdu. Towarzyszyli mu aktor Witold Roland, tancerka Zofia Oldyńska oraz bracia Reczkowie, w których szkole zdobył prawo jazdy.

Wesołe towarzystwo odjeżdżało spod teatru z humorem żegnane przez kolegów. Orkiestra grała tango „On nie powróci już”, które było przebojem najnowszego programu Morskiego Oka.

Do tragedii doszło około godz. 2 w nocy. W pobliżu Łowicza budowano most na Bzurze i wyznaczono objazd. Miał on dwa ostre, nieoznakowane zakręty, a co gorsza, po lewej stronie ulicy stały słupy telegraficzne, które zmyliły kierowcę. Droga bowiem zakrecała, a ciąg słupów biegł dalej prosto, przecinając tory kolejowe.

Jadący z prędkością 40 km/h samochód uderzył w pryzmę kamieni, po czym dachował. Roland zmarł w wyniku złamania kręgosłupa, Oldyńska złamała rękę, dla reszty skończyło się na potłu-

czeniu. Pasów bezpieczeństwa w tamtej epoce jeszcze nie znano.

Gazety podawały informację o wypadku na pierwszych stronach, tym bardziej że tego samego wieczoru Bodo wziął udział w przedstawieniu rewii. Był bowiem profesjonalistą i wiedział, że pomimo całej tragedii show must go on. Nietrudno się jednak domyślić, co czuł, gdy wykonywał to nieszczęsne tango, którym żegnano go przed wyjazdem do Poznania. Na szczęście program wkrótce spadł z afisza, co przyniosło mu dużą ulgę.

Wyrzuty sumienia powiększało to, że prowadził samochód, będąc pod wpływem alkoholu. We wraku znaleziono bowiem puste butelki po koniaku i wódce, a jeden z policjantów zeznał, że od kierowcy i zabitego czuł alkohol. Zapewne właśnie z tego powodu Bodo całkowicie przestał pić napoje wysokokowe. Odmawiał nawet reklamowania wódek Baczewskiego, twierdząc, że jako abstynent będzie w tej roli nieprzekonujący.

Sprawa znalazła swój epilog w sądzie. Na ławie oskarżonych zasiedli Bodo i samorządowcy Łowicza, którym zarzucano fatalne oznakowanie drogi. Sąd uznał ich za winnych, burmistrza Łowicza, jego zastępcę i jednego z członków magistratu skazano na trzy miesiące więzienia, natomiast wobec Bodo orzeczono wyrok półroczny, zawieszając go na trzy lata. Wkrótce kara uległa zatarciu na mocy ogłoszonej amnestii. ©©



Teresa Stylińska

Tylko trzy lata dzielą królową Elżbietę II od rekordu najdłuższego panowania. Jak długo będzie panować? Po kres swoich dni? Czy może jednak wybierze abdykację? Do snucia tego rodzaju rozważań skłania zaawansowany wiek zarówno jej, jak i księcia Karola, który i tak zasiądzie na tronie jako najstarszy król w historii Wielkiej Brytanii

Byla to niespodziewana wizyta. Królowa Elżbieta II, w towarzystwie księcia Edwarda, swego najmłodszego syna, w połowie maja przybyła na londyńską stację Paddington, by dokonać oficjalnego otwarcia nowej linii. Otwieranie kolei raczej nie bywa zadaniem królów, nie w tym wypadku jednak. Linii, która łączy miasta położone na wschód i na zachód od Londynu i przecina centrum stolicy, jest więc zarazem metrem i koleją regionalną, nadano bowiem imię królowej: Elizabeth Line. W ten sposób uczczono platynowy jubileusz – 70 lat jej panowania.

Jubileusz może szczególnie cieszyć mieszkańców ośmiu miast – w tym Colchester, najstarszego miasta Wielkiej Brytanii, i Stanley na Falklandach – które z tej okazji otrzymały status „city”, wyższy od zwyczajnego „town”. W kategorii prezentów trwałych mieści się również jeszcze niesfinalizowany pomysł ustanowienia dorocznego Święta Dziękczynienia czy raczej Podziękowania („Thank you day”, nie „Thanksgiving”) za panowanie Elżbiety. Przypadałoby w czerwcu, gdy brytyjscy królowie oficjalnie obchodzą urodziny, niezależnie od tego, kiedy się naprawdę urodzili.

Królowa przysłała na świat w kwietniu i wtedy właśnie, w jej ostatnie, 96. urodziny, narodziła się nowa lalka Barbie, wzorowana na jednym z oficjalnych portretów Elżbiety z dawnych lat. Lalka ma na sobie suknię z kremowego haftowanego jedwabiu, przepasaną błękitną wstęgą, i diadem, który królowa Maria, babka Elżbiety, nosiła w 1893 r. na ślubie z późniejszym królem Jerzym V; od tego czasu noszą go

Platynowy jubileusz



FOT. ANDREW MATTHEWS/WPA POLDI/GETTY IMAGES

kolejne panny młode z rodziny królewskiej. Kulinarną spuścizną jubileuszu może się też okazać „pudding Elżbiety”, na który rozpisano konkurs. Czy powtórzy sukces „kurczaka koronacyjnego”, dania wymyślonego na przyjęcie w dniu jej koronacji?

KRÓLOWA SCHODZI Z DRZEWA

O Elżbiecie II, jej rodzinie, dzieciach i wnukach, problemach i kłopotach, celach i zadaniach wiadomo chyba wszystko. Dziesiątki biografii jej samej i jej bliskich, liczne filmy i seriale, tysiące artykułów i programów telewizyjnych biorą pod lupę każdy aspekt życia królowej i jej rodziny. Przypomnijmy więc tylko parę podstawowych faktów. Urodziny: 21 kwietnia 1926 r. Rodzina:

ojciec – Albert, książę Yorku, młodszy syn Jerzego V (przyjął imię Jerzy, obejmując tron), matka – szkocka arystokratka Elizabeth Bowes-Lyon, młodsza o cztery lata siostra Małgorzata. Mąż – Filip, książę Edynburga, wychowany w Anglii potomek greckiej rodziny królewskiej, oficer marynarki. Czworo dzieci – Karol, Anna, Andrzej i Edward; ośmioro wnuków, dwanaścioro prawnuków.

Znawcy domu Windsorów są zdania, że charakter Elżbiety ukształtował przede wszystkim jej ojciec. To on miał jej wpoić poważne podejście do obowiązków i poczucie służebności wobec kraju i społeczeństwa. A przecież żadne z nich nie miało objąć tronu. Gdyby Edward VIII, zauroczony panią Wallis

Simpson, nie abdykował, oboje wiedliby spokojne życie ludzi z najwyższych sfer. O losach Jerzego i Elżbiety zdecydował zatem przypadek, dla kraju szczęśliwy, bo Edward VIII nie zapowiadał się na dobrego władcę.

Nie każda królowa ma szczęście poślubić miłość swego życia. Elżbieta miała. Aby wyjść za Filipa, musiała jednak pokonać opór rodziców, którzy mieli zastrzeżenia do jego rodzinnych koneksji. Cztery siostry księcia poślubiły arystokratów niemieckich, dwóch było hitlerowcami, w Anglii tuż po wojnie było to poważne obciążenie – nawet jeśli sam Filip miał za sobą nienaganną wojenną służbę na morzu. Przeżyli razem 73 lata.

Odejsie księcia, który zmarł rok temu w wieku 99 lat, nie pozostało chyba bez wpływu na stan zdrowia królowej, która bardzo ograniczyła wystąpienia publiczne. Jesienią nie wzięła udziału w uroczystościach Dnia Pamięci, 11 listopada (sama jest poniekąd weteranem wojennym jako kierowca ciężarówki w służbie pomocniczej), ostatnio zaś, po raz trzeci w życiu, nie wygłosiła mowy tronowej w parlamencie. Zastąpił ją Karol, następca tronu.

Wiadomość o śmierci ojca, 6 lutego 1952 r., zastała Elżbietę w Kenii, którą odwiedziła w ramach oficjalnej podróży po Afryce. Księżęca para mieszkała wówczas w słynnym hotelu Treetops, zawieszonym w koronach drzew (niedawno zamkniętym z powodu braku gości podczas pandemii) – co dało asumpt do zgrabnego powiedzenia, że „Elżbieta weszła na drzewo jako księżniczka, a zeszła zeń jako królowa”. Uroczystość koronacji odłożono do czerwca 1953 r.

RÓŻ I SZAFIR W SŁUŻBIE POWINNOŚCI

– Nigdy nie noszę beżu, bo nikt by nie wiedział, kim jestem – tak Elżbieta miała kiedyś tłumaczyć, dlaczego zawsze ma na sobie ubrania w żywych, wyrazistych kolorach, choć jej wiek nakazywałby raczej barwy stonowane. Mocny róż, cytrynowy odcień żółci, fuksja, szafir, fiolet – to, co może się wydawać dziwactwem czy lekceważeniem ubraniowych kanonów, okazuje się działaniem precyzyjnie przemyślanym. Więcej: służy temu, co królowa uważa za swą misję – budowaniu poczucia wspólnoty, wzmacnianiu więzi i stabilności.

„Ona musi wyglądać tak, by każdy mógł powiedzieć: »Widziałem królową«” – wyjaśniała niegdyś w jednym z dokumentów filmowych Sophie, żona księcia Edwarda.

Każdy z poddanych, również ten, kto znajduje się daleko w tłumie ludzi, powinien czuć, że królowa z nim jest. Dlatego musi ona być dla każdego widoczna. W ten sposób sztuka ubierania została podporządkowana najpoważniej rozumianym obowiązkom.

Wyznaniem wiary na całe życie, do dziś cytowanym jako ilustracja zapatrywań i podejścia królowej, stała się deklaracja, którą złożyła publicznie w dniu swych 21. urodzin, jako młodzianka następczyni tronu. „Całe swe życie – powiedziała wówczas – czy będzie ono długie czy krótkie, poświęcę służbie dla was i dla wielkiej imperialnej rodziny, do której wszyscy należymy”. Te słowa wygłosiła w Kapsztadzie, gdzie wówczas przebywała z wizytą, co częściowo mogłoby tłumaczyć wzmiankę o „imperialnej rodzinie”. Nie był to jednak, jak widać z dalszej perspektywy, żaden pusty gest. Sprawy Commonwealthu Elżbieta traktowała bowiem nie mniej poważnie niż sprawy Wielkiej Brytanii. „Afrykę mam we krwi” – zauważyła kiedyś. To, że dawne brytyjskie kolonie nadal łączą stałe więzy, jest, jak się uważa, również jej zasługą, nawet jeśli jako królowa mogła działać raczej w sferze ducha niż praktyki i tworzenia faktów.

Monarchia to nie tylko widomy zwornik unii, którą przez wieki stworzyły – do browolnie lub nie, to inna sprawa – cztery regiony Zjednoczonego Królestwa. To także zwornik Wspólnoty Narodów – nawet jeśli kolejne jej państwa mają w planach ustanowienie republiki. Jesienią ubiegłego roku republiką stało się Barbados, podobne plany mają Belize i Jamajka. Kto wie, w jakim kierunku po zmianie rządu pójdzie Australia?

TRZY LATA DO REKORDU

Zapewne nie jest to prezent, którego królowa życzyłaby sobie z okazji jubileuszu, ale nie jest to także temat, który mogłaby poruszyć. Swe poglądy zachowuje dla siebie, bo inaczej nie może. Są tajemnicą nawet dla premierów, z którymi, zgodnie z zasadami, królowa spotyka się raz w tygodniu. „Potrafi ocenić sytuację i opisać ją tak, że nie sposób dostrzec, jakie są jej polityczne preferencje. To coś niezwykłego” – tak swe rozmowy z królową opisywał Tony Blair.

Obowiązującą monarchę świętą zasadę bezstronności i dyskrecji Elżbieta doprowadziła do perfekcji. Jedyny bodajże wypadek, gdy otwarcie dała wyraz swym uczuciom, miał miejsce wtedy, gdy pod-

sumowując rok 1992, określiła go jako „annus horribilis” – straszny rok. Skandale w rodzinach dwóch starszych synów, szokująca biografia Diany, żony księcia Karola, rozwód Anny i na domiar złego pożar w zamku w Windsorze – rok bez wątplenia sobie na to zaszły.

Jak długo Elżbieta II będzie panować? Po kres swoich dni? Czy może jednak wybierze abdykację? Do snucia tego rodzaju rozważań skłania zaawansowany wiek zarówno jej, jak i księcia Karola, który i tak zasiądzie na tronie jako najstarszy król w historii Wielkiej Brytanii. Ma 73 lata, podczas gdy Wilhelm IV, dotychczasowy rekordzista, został królem, mając 64 lata. Do tej pory wielu Brytyjczyków uważało, że Elżbieta powinna ustąpić. Teraz jednak, o dziwo, ponad połowa sądzi, że mimo wszystko powinna dotrwać do końca. Po tylu latach posterunku się nie opuszcza.

Świat króla Karola będzie inny niż ten, z którym musiała się zmierzyć 25-letnia Elżbieta. Gdy została królową, premierem był Winston Churchill, prezydentem USA Harry Truman, a Borisa Johnsona, obecnego szefa brytyjskiego rządu, w ogóle nie było na świecie (urodził się dopiero za 12 lat), podobnie zresztą jak większości jej dzisiejszych poddanych. W tamtych zamierzczłych czasach obywatela swą królową widywali z daleka. Była kochana i podziwiana, ale odległa. Minie wiele lat, zanim rozpowszechni się praktyka zbliżenia do ludzi, wchodzenia w tłum, ściskania rąk, słowem – bezpośredniego kontaktu. To jeden z przejawów zmian, pokłosie kryzysów, które – jak ten po śmierci księżnej Diany – niebezpiecznie zachwiały monarchią.

Zmian jest więcej. Fundamentalne – jak to, że królowa płaci podatki. I powierchowne – choćby fakt, że mowę tronową wygłasza już nie w koronie, lecz w kapeluszu. Nie zmienia się za to sympatia, którą królową darzą Brytyjczycy. Jej popularność, zależnie od badania, 76–80 proc., nie jest bez znaczenia dla stosunku do monarchii. Udane obchody jubileuszowe – 2–5 czerwca: parady, wyścigi konne, msza dziękczynna i tysiące street parties, popularnych przyjęć ulicznych – mogą to jeszcze poprawić.

Tylko trzy lata dzielą królową od rekordu najdłuższego panowania. Na razie jest czwarta, po zmarłym parę lat temu Bhumibolu, królu Tajlandii, Johannie II, księciu Liechtensteinu, i Ludwiku XIV, który rządził Francją aż 73 lata.



Jan Bogatko

Według niemieckiego sądu polski kapłan oraz profesor teologii są winni „podżegania do przemocy”. Mają zapłacić wysokie grzywny

W piątek 20 maja 2022 r. w Sądzie Rejonowym w Kolonii w sali numer 142 miał miejsce proces przeciwko prof. Dariuszowi Oko, teologowi z Krakowa, i redaktorowi naczelnemu pisma „Theologisches”, prof. Johannesowi Stöhrowi, niemieckiemu duchownemu. Nadprokurator Ulf Willuhn z Kolonii, wskutek donosu księdza pederasty o powszechnie znanej reputacji, Wolfganga Rothe’go z Monachium (dawniej w St. Pölten), oskarżył obu uczonych o „podżeganie do nienawiści”. Za podżeganie uznano krytykę lawendowej mafii przez ks. Dariusza Oko. A tego w państwie prawa, widać, czynić nie wolno. Lawendowa mafia korzysta zatem z jego opieki! I tak na ławie oskarżonych zasiadła wolność słowa.

Osoby dramatu:

Oskarżony – ks. Dariusz Oko, teolog, pisarz, profesor z Krakowa. Na znak protestu przeciwko sądowej farsie 85 tys. osób podpisało petycję na rzecz jej rychłego zakończenia;

Oskarżony – Johannes Stöhr, 91 lat, redaktor naczelny niszowego (o nakładzie poniżej 2 tys. egzemplarzy) pisma „Theologisches”, profesor teologii.

Autor donosu na obu naukowców – ks. Wolfgang Rothe, ksiądz, aktywista LGBT sekcji homoseksualistów, były subregens seminarium duchownego w austriackim St. Pölten. Uczestnik homoseksualnych imprez w tej wątpliwej kuźnicy wiedzy, w „burdelu dla homoseksualistów” – jak pisały wówczas (krytycznie) o aferze w seminarium niemieckie media (SWR Baden-Baden, 20 sierpnia 2004 r.);

Oskarżyciel publiczny – nadprokurator z prokuratury kolońskiej Ulf Willuhn, specjalista od – jak czytamy na stronie internetowej prokuratury – przestępstw politycznych;

Sędzia – Sophie Schwartz, sędzia w Sądzie Rejonowym w Kolonii. To ona ferowała wyrok, niebędący wyrokiem, w sprawie, która ją niewątpliwie

Ksiądz Oko skazany nie skazany



FOT. JAKUB KAMINSKI/FEST NEWS

przerosła, na rozprawie, której nigdy nie zapomni, a która – być może – przejdzie nawet do historii niemieckiego prawa. Orzeczenie to otwiera bowiem nową epokę w dziejach powojennych Niemiec.

Wyrok nie wyrok z Kolonii skazał nie skazał obu oskarżonych na finansowe kary nie kary. Kara nie kara wynosi w przypadku prof. Dariusza Oko grzywnę nie grzywnę w wysokości 3 tys. euro. W języku niemieckim, rzeczownikowym zresztą, wszystko ma swoją nazwę własną dla uniknięcia pomyłki na zasadach wyłączności. Otóż ta grzywna nie grzywna nazywa się w przypadku oskarżonych, lecz nie skazanych katolickich uczonych „Zahlungsauflage”, to coś

w rodzaju „warunku płatniczego” umożliwiającego umorzenie postępowania. To coś w rodzaju zakładu. Sędzia mówi: „Zakładałem się, że oskarżony Oko zapłaci 3 tys. euro na wskazany cel. Jeśli nie zapłaci, to proces będzie kontynuowany”. I liczy na to, że Dariusz Oko zapłaci. To samo rozumowanie dotyczy prof. Stöhra, z tym że jemu sąd radzi zapłacić za umorzenie postępowania 4 tys. euro.

SPRAWCA, A NIE OFIARA!

Dość prowokacyjnie wybrano beneficjenta. Owe 7 tys. euro ma (miałoby) trafić na konto organizacji charytatywnej Weisser Ring z siedzibą w Moguncji, wspierającej finansowo, wedle własnego

oświadczenia, ofiary przestępstw i ich rodziny. Sugerowałoby to, że – po pierwsze – obaj nieskazani duchowni dopuścili się przestępstwa i – po drugie – że taką ofiarą ma być były wicekierownik „wesolego seminarium” w St. Pölten, Wolfgang Rothe. Lewicowe (bo innych nie ma) niemieckie media opisują księdza pederastę z Monachium, którego donos na ks. Oko i Stöhra wywołał ów skandaliczny proces, jako „ofiara wykorzystania seksualnego” (jak np. Jana Stegemann w monachijskiej gazecie „Süddeutsche Zeitung” z 20 maja 2022 r.). Kto miał ks. Rothego wykorzystywać seksualnie? Przecież w seminarium w St. Pölten Rothe był sprawcą nadużyć seksualnych, a nie ofiarą!

Oddaję głos Ralfowi Leonardowi, korespondentowi „TAZ” z Wiednia, cytując z jego korespondencji do „TAZ” z 14 lipca 2004 r.: „Jedno ze zdjęć ukazuje wicekierownika (subregensa) seminarium duchownego, Wolfganga Rothego, podczas »francuskiego pocałunku« z jednym z podopiecznych. Nad nimi kołysze się gałązka jemiolo. Na innym uśmiechnięty regens (kierownik seminarium) Ulrich Küchl łapie seminarzystę za krocze. Zdjęcia, o czym dzisiaj wiadomo ponad wszelką wątpliwość, ilustrują życie codzienne w zakładzie, w którym młodych ludzi przygotowywano do zawodu duchownego”.

A gdyby tego było za mało, to jeszcze jeden cytat. Publiczna rozgłośnia niemiecka Südwestfunk (SWR) emitowała 20 sierpnia 2004 r. wywiad z seminarzystą z St. Pölten pod wszystko mówiącym tytułem „Moralność pod psem”. Wywiad na temat panujących tam stosunków i praktyk homoseksualnych przeprowadził pierwszy program niemieckiej telewizji ARD, zaraz po zamknięciu seminarium duchownego w St. Pölten. Südwestfunk w Baden-Baden: „Przyszły ksiądz, który brał udział w różnych seksimprezach w seminarium, powiedział dosłownie: w seminarium panowała atmosfera homoseksualna. Między oboma regensami (a jednym z nich był oskarżyciel prof. Oko, Wolfgang Rothe, dziś z Monachium) a seminarzystami utrzymywano stosunki homoseksualne. Uprawiano je powszechnie”. I dalej: „To, co się tam działo, budzi grozę i jest obrzydliwe. To, że prowadzono podwójne życie, że to wykorzystano. Na zewnątrz jesteśmy na wskroś katolickim i konserwatywnym seminarium du-

chownym. Ale od wewnątrz było całkiem inaczej: moralność pod psem”. Mimo że powołany przez papieża wizytator, bp Klaus Küng, nałożył na wszystkich, których sprawa ta dotyczy, rygorystyczny zakaz udzielania wywiadów, seminarzysta mówi: „To było prawdziwe bagno”.

Czy nadprokurator z Kolonii zna te, dostępne przecież, materiały? Czy po zapoznaniu się z nimi – a to wymagałoby jedynie odrobiny dobrej woli (i bezstronności oskarżyciela!) – mógłby on z czystym sumieniem oskarżać niewinnych przeciw ludzi?

„PLAGA” I „WRZÓD”

W sali 142 Sądu Rejonowego w Kolonii pod adresem prof. Dariusza Oko nadprokurator Ulf Willuhn kieruje oskarżenie, że w dwóch artykułach określił on księży homoseksualistów m.in. jako „plagę” i „wrzód” i pisał dalej: „Taka mafia homoseksualna zachowuje się jak każda mafia, niczym bezwzględny pasożyt, niczym nowotwór, gotowy nawet uśmiercić swego nosiciela, wyssać zeń ostatnie rezerwy i zasoby, byleby sobie zapewnić komfortowe bytowanie”. Cytowana przez mnie gazeta z Monachium pyta: „Czy wolno polskiemu teologowi określać księży homoseksualistów w Niemczech jako »nowotwór na Kościele«?”. W tym pytaniu można bez trudu dostrzec cień rasizmu. Odpowiedź na to pytanie brzmi bowiem: wolno. I to każdemu teologowi katolickiemu – jeśli jest tego zdania – bo jeszcze nie ma Kościołów narodowych w Kościele Rzymskokatolickim.

Zresztą w Niemczech w obronie polskiego duchownego, ofiary wolności słowa, stanął kard. Gerhard Ludwig Müller. Ostro zaatakował napaść na ks. Oko za głoszenie prawdy. Słusznie i rzeczowo kardynał porównał atak na ks. Oko z działaniami okupacyjnych władz Generalnego Gubernatorstwa. To podobieństwo jest wstrząsające. Na stronie Katholisch.de czytamy, że „przestępstwa, popełniane przez homoseksualnych duchownych w Kościele katolickim należy potępiać ostrymi słowami, jak to uczynił ks. Oko. Nie jest to żadne podżeganie do nienawiści, lecz jest to odważny czyn, zasługujący na respekt wszystkich przyzwoitych ludzi. Nie wolno lekceważyć tych przestępstw tylko dlatego, że ich sprawcy byli aktywnymi homoseksualistami, którzy mogliby się poczuć obrażeni, kiedy ktoś im powie prawdę w twarz”. Kardynał Müller przypomniał, że tysiące

niewinnych księży obrażono zarzutami pedofilii, na co nie zareagowały żaden sąd ani organ prasowy.

Pedofilia to wobec Kościoła katolickiego zarzut w zasadzie bezpodstawny. Rzeczywistym problemem w Kościele jest natomiast praktykowany homoseksualizm. Przypadki pedofilii w Kościele są ekstremalnie rzadkie. Zboczenie to dotyczy osób zainteresowanych seksualnie głównie chłopcami przed osiągnięciem dojrzałości płciowej. W walce z Kościołem każda broń jest pożyteczna w ręku jego wrogów: lewicowe media od lat trąbią o pedofilii w Kościele, której nie ma, zamiast mówić o homoseksualizmie w Kościele, który stanowi dla niego, jak widać, problem numer jeden.

Przez ponad trzy godziny w sali numer 142 Sądu Rejonowego w Kolonii sędzia Sophie Schwartz czytała teksty prof. Oko „o rzekomym istnieniu w Kościele potężnych siatek pedalskich w Kościele katolickim”, jak pisze lewicowa gazeta z Monachium, dodając, że Oko określa je mianem „lawendowej mafii”. Tymczasem termin „lawendowa mafia” jest od lat zdomowiony w literaturze przedmiotu. Powstał on w latach 60. ubiegłego wieku w Stanach Zjednoczonych dla określenia środowiska homoseksualnego w Kościele i jego wzajemnych powiązań, prowadzących do ukrywania pewnych praktyk („tylko nie mów o tym nikomu”). Oko powiedział w Kolonii podczas rozprawy, że go źle zrozumiano, że on jest orędownikiem ofiar seksualnych nadużyć. Stwierdził, że pisze tylko o tych księżach homoseksualistach, którzy dopuszczają się przestępstw i niszczą Kościół.

W liberalnej (czyli neobolszewickiej) demokracji państwo rozpina parasol ochronny nad klasą LGBT+. W sytuacji powszechnej psychozy i cenzury, w tym samocenzury, mówienie prawdy wymaga odwagi.

W zasadzie Rothe zasługuje na podziękowanie. Bez donosu z jego strony Niemcy być może nie dowiedzieliby się niczego o działalności lawendowej mafii w Niemczech. Rothe z wielokrotności przekaz treści prof. Oko, zamieszczonych w niskonakładowym periodyku, czytanych tylko przez wąskie grono odbiorców. Okazał się popularny autor treści, za które domagał się dla autora kary! Czy proces przeciwko prof. Oko ostatecznie się zakończył, pokaże czas. Ale jedno jest niemal pewne: państwo prawa pokona wolność słowa.



KADYROW WYGRAŻA POLSCE

Ramzan Kadyrow – putinowska marionetka z Czeczenii – do tej pory ośmieszał się filmikami udającymi, że sam jest na froncie na Ukrainie. Teraz nagrał jeszcze lepszy film. – Ukraina to już zamknięta sprawa – stwierdził na nagraniu w sieci. I nie była to najśmieszniejsza kwestia, którą wypowiedział, ponieważ dalej zagroził Polakom: – Po Ukrainie, jeśli będzie zlecenie, w sześć sekund udowodnimy, do czego jesteśmy zdolni. Lepiej weźcie broń i najemników i oficjalnie przeproście naszego ambasadora.

FOT. MEXIA

W OKOPACH MAŁPIEJ OSPY

Według Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób małpia ospa nie przenosi się łatwo między ludźmi (ostatnie częste przypadki odnotowano w środowiskach homoseksualnych mężczyzn), w dodatku choroba zwykle przebiega łagodnie i ustępuje bez leczenia do czterech tygodni. Tymczasem Belgia i Wielka Brytania wyznaczyły już obowiązkową izolację pacjentów zarażonych tym wirusem (do 21 dni), a wiele krajów robi też zapasy szczepionek. Niemcy zgromadziły już w tym celu ok. 40 tys. dawek.

DLA ROSJAN TELEFONY TYLKO UŻYWANE

Więści z kraju kwitnącej gospodarki. Największy rosyjski operator telefonii komórkowej MTS jeszcze wciąż oferuje klientom nie tylko usługę, lecz także urządzenia. Rosjanie mogą więc kupić chińskie telefony Huawei, Honor, Xiaomi oraz koreańskiego Samsunga. Tyle że no-

wych już nie ma. Klienci dostają używane. Nowych zostało bardzo niewiele i można je dostać tylko w Moskwie.

MINISTER SZOJGU I WSZYSTKO JASNE

Szef rosyjskiego ministerstwa obrony Siergiej Szojgu podczas Rady Ministrów Obrony Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym wytłumaczył, dlaczego Rosja błyskawicznie nie podbiła Ukrainy. To proste. Rosja celowo spowolniła „operację specjalną”, żeby uniknąć ofiar wśród cywilów i dać im możliwość ewakuacji.

31 HAMBURGERÓW OD DZIECKA

Wręczanie malcom smartfonów nie jest właściwym postępowaniem. To nie pomaga dzieciom się rozwijać i mówi o tym już wiele badań psychologicznych. Może to mieć i inne skutki. Rodzice z Teksasu, którzy dali dwulatкови telefon, musieli odebrać od kuriera 31 hamburgerów. Maluszek, bawiąc się urządzeniem, przypadkowo uruchomił aplikację do zamawiania jedzenia na wynos. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Biden szuka dna

Poparcie dla Joe Bidena od dawna nie było na wysokim poziomie, ale ostatnie sondaże pokazały, że tak źle jak teraz nie było nigdy od początku prezydentury. Tylko 2 na 10 ankietowanych w maju stwierdziło, że Ameryka pod rządami Bidena zmierzają we właściwym kierunku lub że gospodarka jest w dobrej kondycji. Miesiąc wcześniej „optymistów” było 3 na 10. Wśród republikanów obecnego prezydenta dobrze ocenia średnio mniej niż jedna na 10 osób. Biden traci jednak nawet we własnym obozie. Jeszcze miesiąc wcześniej 49 proc. pytaných sympatyków demokratów uważało,

że USA zmierzają we właściwym kierunku, a w maju odsetek ten spadł do zaledwie 33 proc.

Biden nie radzi sobie z wysoką inflacją, a sposób zarządzania gospodarką – bazujący na ogromnym rozdawnictwie – nie podoba się dwóm trzecim respondentów. Amerykanie mają też dość przemocy i niedoborów różnych towarów.

Dla konserwatystów to teoretycznie dobra wiadomość. W wyborach w 2024 r. pokonanie Bidena czy Harris nie powinno stanowić wielkiej przeszkody dla kandydata Partii Republikańskiej. Z polskiego punktu widzenia można się jednak obawiać, jak fatalne wyniki

gospodarza Białego Domu odbiją się na polityce zagranicznej USA. Tylko 21 proc. pytaných wierzy, że Biden poradzi sobie z sytuacją na Ukrainie, a 39 proc. absolutnie nie daje temu wiary. Dla przeciętnego Amerykanina Ukraina to jednak daleki kraj. Miejmy więc nadzieję, że pod wpływem sondaży Biały Dom lub Kongres nie przykręca kurka z pomocą dla Ukrainy ani nie ograniczą kosztów wojskowej obecności USA na wschodniej flance NATO. Miliony wydawane na wojnę w dalekiej Europie w czasach kryzysu mogą być więc widziane jako zmarnowane pieniądze. I Putin dobrze o tym wie. ©

Poznań



DZIEŃ OTWARTY
25 czerwca 2022 r.

Odbiór kluczy w lipcu 2022

www.wilda-corner.pl



HORYZONT

NARAMOWICE

SYSTEM PŁATNOŚCI
10/90%

Odbiór kluczy do końca 2022

www.horyzont-naramowice.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA
INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 **882 818 848**

eprasa.pl 1753148712



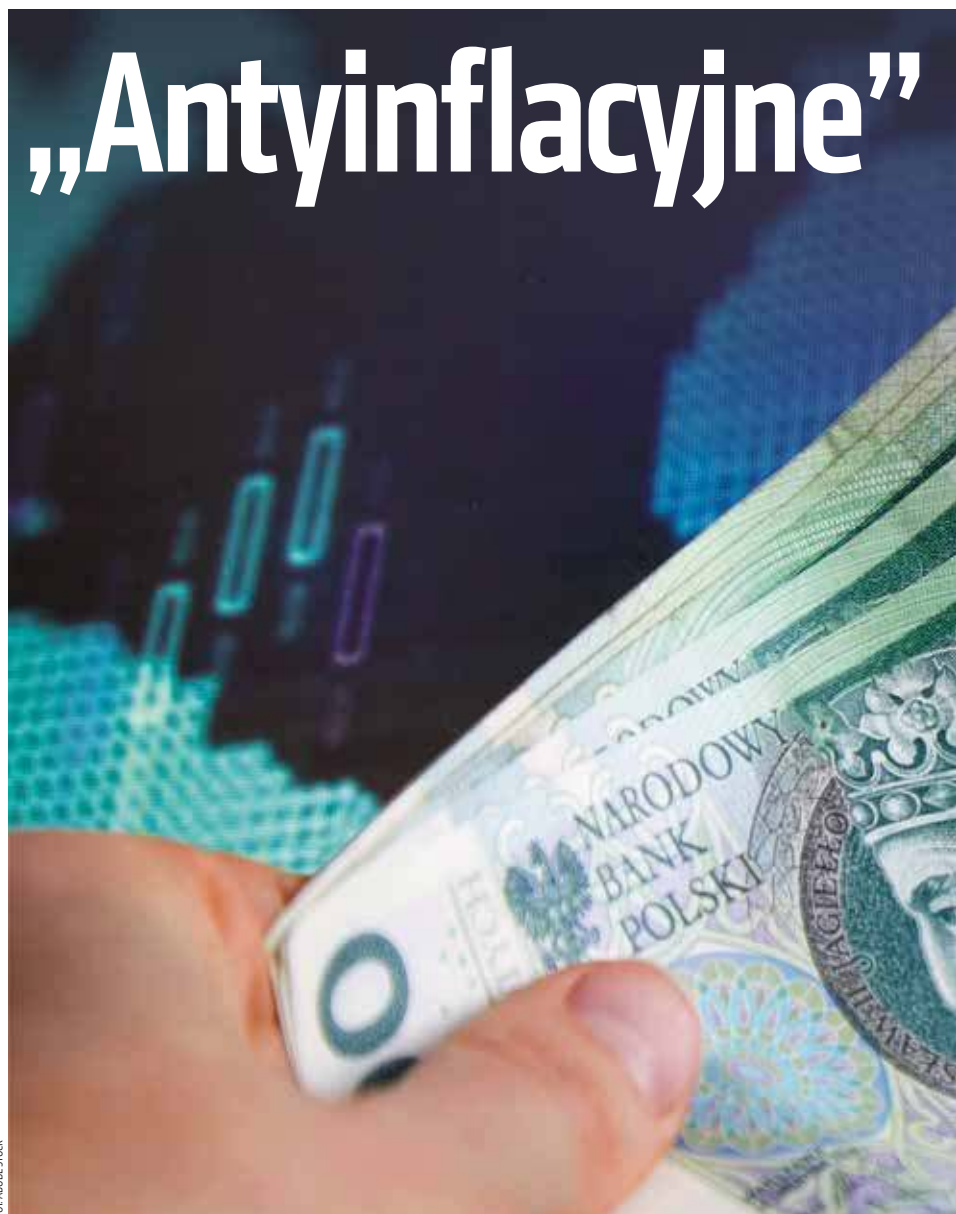
Jacek Przybylski

Czy inflacja w Polsce przekroczy wkrótce 20 proc.? Niewykluczone. Szybko rosnące ceny sprawiają bowiem, że budżet państwa ma większe wpływy z podatku VAT oraz PIT i CIT. A co robi rząd z dodatkowymi pieniędzmi? Rozdaje je na lewo i prawo, napędzając tempo wzrostu cen

Oficjalnie inflacja w Polsce w kwietniu osiągnęła 12,4 proc. w skali roku. Takiej drożyzny w XXI w. jeszcze więc nad Wisłą nie było. Tak wysokiego odczytu inflacji CPI nie widziano w naszym kraju od maja 1998 r. A to niestety raczej jeszcze nie koniec wzrostów. Szczególnie niepokoją bowiem wzrosty cen żywności, która od marca do kwietnia podrożała aż o 4,2 proc. i wiele wskazuje na to, że będzie drożeć jeszcze szybciej.

Zdaniem wielu ekonomistów roczna inflacja na dwucyfrowym poziomie utrzyma się więc co najmniej do 2024 lub do 2025 r., a jej wartość tylko w tym roku może sięgnąć 14 proc., a nawet 17 proc. Czy to już będzie szczyt? Niekoniecznie. Nie brakuje bowiem analityków, którzy licytują jeszcze wyżej. Przemysław Litwiniuk, członek Rady Polityki Pieniężnej, nie wykluczył, że inflacja nad Wisłą dojdzie do poziomu aż 20 proc. Czy to realne? – Wierzę, że tak źle nie będzie – odpowiedział na to pytanie premier Mateusz Morawiecki, który nie chciał jednak zbyt kategorycznie zaprzeczać takiej hipotezie. – Z dostępnych nam danych wynika, że inflacja utrzyma się na wysokim poziomie w trendzie płaskim lub rosnącym do czwartego kwartału tego roku, a później zacznie opadać. Bardzo dużo zależy od tego, jak długo potrwa wojna na Ukrainie – tłumaczył premier Morawiecki w rozmowie z Interią w Davos.

Tak naprawdę nikt nie wie, ani kiedy inflacja sięgnie szczytu, ani do kiedy będzie nas męczył uporczywie wysoki wzrost cen. Wiadomo za to, że w ciągu ostatniego roku ceny opału wzrosły o 75 proc., gazu ziemnego – o 49 proc.,



LPG – o 43 proc., oleju napędowego – o 36 proc., benzyny – o 21 proc. Podrożały też drób (o ponad 40 proc.), cukier (o 35 proc.) czy wołowina (o niemal jedną trzecią). Mocno w górę poszły też usługi świadczone od fryzjerów poprzez hotelarzy do dentystów.

WIĘCEJ W BUDŻECIE, „MNIĘJSZY” DŁUG

Obecna polityka fiskalna rządu nie sprzyja walce z inflacją i jest ewidentnie sprzeczna z działaniami podejmowanymi przez Radę Polityki Pieniężnej. Spójne dla rządu i NBP jest w zasadzie tylko jedno: próba zrzućenia całej winy na czynniki zewnętrzne. Oczywiście gwałtownie rosnące ceny surowców energetycznych,

paliw czy żywności są wynikiem agresji Rosji na Ukrainę. Trzeba jednak pamiętać, że pierwsze symptomy poważnych problemów z rosnącą inflacją nad Wisłą pojawiły się jeszcze przed wybuchem pandemii COVID-19 w roku 2020. Również błędy Rady Polityki Pieniężnej – która w ubiegłym roku w skandaliczny sposób przespała czas na pierwsze podwyżki stóp procentowych – też raczej nie były winą Putina (jeśli rząd miałby informacje, że stali za tym Rosjanie, to powinien pilnie ukarać winnych za zdradę stanu). A że skrajnie ekspansywną politykę pieniężną stosowało też wiele innych państw, to urzędnikom łatwiej jest wskazywać, że wysokie tempo wzrostu cen utrzymuje się zarówno u sąsia-

napędzanie inflacji



dów (w Czechach najwyższa od trzech dekad inflacja sięgnęła 14,2 proc.), jak i w krajach Europy Zachodniej (w Niemczech w kwietniu wskaźnik CPI wyniósł aż 7,4 proc. i był najwyższy od ponad czterech dekad).

Urzednicy nie ukrywają przynajmniej, że budżet państwa sporo zarabia na galopujących cenach. Tylko w ubiegłym roku, gdy inflacja wynosiła ok. 6 proc., Sebastian Skuza, wiceszef resortu finansów, szacował wysokość wzrostu dochodów z podatków związanego z wysoką inflacją na nieco ponad 9 mld zł. Dzięki rosnącemu wpływom z podatków VAT, PIT i CIT po czterech miesiącach obecnego roku w budżecie państwa jest już – według podanych w ubiegłym tygodniu

danych przez Ministerstwo Finansów – aż 9,21 mld zł nadwyżki. Budżet państwa mimo wojny na Ukrainie i niepewnej sytuacji w światowej gospodarce jest więc w zaskakująco dobrej kondycji. Cytowany przez „Rz” ekonomista ING Banku Śląskiego Adam Antoniak szacuje, że „tak zwany podatek inflacyjny, czyli dodatkowe dochody ponad to, co zaplanowane w budżecie centralnym, może wynieść w 2022 r. nawet 45 mld zł”. I to przy założeniu, że ceny wzrosną w tym roku średnio o ok. 13 proc., podczas gdy oficjalnie w budżecie zapisano 3,3 proc. wzrostu.

Dlaczego rządy – nie tylko Polski – zarabiają na drożyznie? Mechanizm jest prosty. Gwałtownie rosnące ceny niemal-

że wszystkich produktów sprawiają, że pracownicy żądają podwyżek. Potężny wzrost płac w Polsce – według GUS pensje w dużych i średnich firmach wzrosły w kwietniu o 14,1 proc. rok do roku – sprawia, że do budżetu państwa wpływa nie tylko więcej pieniędzy z VAT od coraz droższych towarów, lecz także z podatku dochodowego od wynagrodzeń. W szybkim tempie rosną również wpłaty składek do ZUS. Wzrost płac przekłada się na wzrost stóp procentowych, wyższe koszty i wyższe ceny w sklepach i nakręca spiralę płacowo-inflacyjną do niebezpiecznych poziomów.

Wzrost tzw. bazy podatkowej to nie-jedyny „zarobek” rządu spowodowany wysoką inflacją. Dodatkowe dochody



■ zmniejszają potrzeby pożyczkowe rządu. Kolejną „zaletą” szybko rosnących cen jest również tzw. efekt wyrastania z długu, czyli o spadające zadłużenie państwa w relacji do PKB. Nawet jeśli dług rośnie jak na drożdżach, to może się okazać, że w stosunku do PKB nie tylko nie wzrasta, lecz także wręcz maleje. Według przybliżonych szacunków jeden punkt procentowy nadmiarowej inflacji pomaga obniżyć relację długu do PKB o ok. 0,6 punktu procentowego. Nieźle, prawda?

WAKACJE OD ROZSĄDKU

Programy pseudopomocowe, jak różne tarcze antyinflacyjne, konsumują część zysków z wysokiej inflacji, ale rząd – przynajmniej teoretycznie – nie powinien przejść wszystkich dodatkowych dochodów. Politycy PiS bardzo starają się jednak udowodnić, że nie ma takiej kwoty publicznych pieniędzy, której nie potrafiliby szybko roztrwonić. Profesor Dariusz Rosati, były członek Rady Polityki Pieniężnej, a obecnie poseł KO, ostrzega, że łączna wartość dodatkowych zobowiązań przekracza już grubo 120 mld zł, z czego pomoc dla Ukraińców ma wynieść 12–18 mld zł, a tarcze antyinflacyjne 20 mld zł etc. Tymczasem rząd przed wyborami nie tylko przedłużył obowiązywanie tzw. tarczy antyinflacyjnej. Premier zapowiedział też pomoc dla osób, które, gdy stopy procentowe były na rekordowo niskim poziomie, zdecydowały się wziąć „tani kredyt” na mieszkanie lub dom. Resort finansów deklaruje, że rząd chce pomóc ok. 2 mln Polaków! Z szacunków analityków Citi Handlowego wynika, że proponowane przez

rząd „wakacje kredytowe” – bezpłatne zwolnienie z konieczności płacenia czterech rat w tym roku i kolejnych czterech w roku przyszłym – można porównać do obniżki stóp aż o 150 punktów bazowych i to przy założeniu, że partycypacja w programie bezpłatnego zawieszania rat wyniesie 50 proc., a przecież może być jeszcze wyższa. Z tego powodu zarówno NBP, jak i banki apelują do rządu o ograniczenie dostępności tzw. wakacji kredytowych. Zwłaszcza że rząd chce jeszcze zmienić WIBOR na tańszy wskaźnik, rozszerzyć Fundusz Wsparcia Kredytobiorców etc. Projekt po pierwszym czytaniu został w czwartek wieczorem skierowany do sejmowej komisji finansów.

3,5 tys. zł

TYLKO JUŻ W PRZYSZŁYM ROKU MOŻE WYNOŚIĆ PŁACA MINIMALNA

Proinflacyjnie działa również obniżka podatków ogłoszona w jednej z ostatnich wersji tzw. Polskiego Ładu. Z założenia tego samego rządu, który finansuje tarcze antyinflacyjne, obniżka podatków ma przecież pozostawić w kieszeniach większości Polaków dużo więcej pieniędzy, co przekłada się na wyższy popyt, który przy problemach z podażą prowadzi do wyższej inflacji.

Rząd zamierza też więcej pieniędzy wydawać na wojsko, uchodźców z Ukrainy, 14. emerytury oraz inwestycje publiczne.

W konsekwencji inflacja wzrośnie więc jeszcze bardziej, a władze monetarne będą musiały mocniej podnieść stopy procentowe, co zwiększy koszt obsługi zadłużenia nie tylko dla rządu (rentowności polskich papierów dłużnych rosną szybko od połowy 2021 r.), lecz także dla przeciętnego Kowalskiego, który znów będzie mógł domagać się pomocy od rządu. Władza robi bowiem, co tylko może, aby wyuczona bezradność stała się cechą współczesnego polskiego wyborcy.

O tym, że nad Wisłą oszczędzać się nie opłaca, wie już kilka pokoleń Polaków. A teraz kolejne pokolenie w brutalny sposób przekonuje się, jak przez błędną politykę prowadzoną wspólnie przez rząd i NBP pompowania na rynek ogromnej ilości pustego pieniądza, promowania konsumpcji zamiast inwestycji, rozrzutnych tarcz, powszechnego rozdawnictwa oraz rządowych lockdownów ograniczających podaż towarów i usług wartość oszczędności Kowalskiego z miesiąca na miesiąc topnieje w tak przerażającym tempie, że racjonalnym wnioskiem będzie dołączenie do stadka tych, którzy nie starają się przewidywać, ale grzecznie czekają na pomoc od socjalistycznego rządu.

BLIŻEJ DO KLIFU?

Przed przyszyłorocznymi wyborami nie ma co liczyć na gwałtowną redukcję wydatków. Przeciwnie – rząd Zjednoczonej Prawicy zamierza podnieść płacę minimalną do 3350 od 1 stycznia przyszłego roku i aż do 3500 zł od 1 lipca 2023 r. Rekordowy wzrost jest oczywiście i tak niższy od oczekiwań związkowców, ale biznes już wyraźnie ostrzega przed konsekwencjami tak gwałtownych podwyżek płacy minimalnej. Również dalsze rozdawnictwo może przyczynić się do tego, że już po wyborach rząd stanie na krawędzi „klifu fiskalnego” i będzie zmuszony do jednoczesnego podwyższania podatków i gwałtownego cięcia wydatków. Miejmy więc nadzieję, że tuż po wyborach będziemy świadkami odpowiedzialnego ograniczenia luznej polityki budżetowej. W przeciwnym razie zamiast cieszyć się zarobkami jak w Niemczech, będziemy niczym Turcy płakać z powodu hiperinflacji oraz istotnego kryzysu gospodarczego wywołanego głównie nieodpowiedzialną polityką rządu oraz banku centralnego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd łupi ciułaczy

Polski rząd, Narodowy Bank Polski oraz Rada Polityki Pieniężnej – działając wspólnie – w porozumieniu – od kilku-nastu miesięcy bez skrupułów łupią polskich drobnych ciułaczy (bogaci zawsze sobie poradzą), a całą winę próbują sprytnie przerzucić na banki.

Łupią ich w ten sposób, że swoimi zaplanowanymi i konsekwentnie prowadzonymi działaniami te organy władzy państwowej sprawiły, iż obecne w Polsce banki po prostu nie są zainteresowane utrzymywaniem dodatkowych depozytów polskich ciułaczy. Dlaczego? Otóż dlatego, że NBP i RPP – wspierając rząd w zadłużaniu państwa – w krótkim czasie doprowadziły do niesłychanie wysokiego poziomu nadpłynności w sektorze bankowym.

NBP co prawda nie może bezpośrednio finansować rządu, bo – jak najbardziej słusznie – zakazuje mu tego konstytucja. Ale od czego kreatywna księgowość? NBP zaczął więc niedawno finansować rząd za pośrednictwem banków komercyjnych w ramach ilościowego luzowania polityki pieniężnej, do którego – jak nie omieszczał się pochwalić prezes NBP – upoważniła go RPP. NBP czyni to w ten sposób, że odkupował od banków komercyjnych obligacje skarbowe, sprzedawane im przez rząd. Sprytnie, prawda? W ten sposób NBP w ciągu półtora roku skupił obligacje rządowe za aż ponad 150 mld zł, przy okazji – i stąd uderzenie w oszczędności polskich ciułaczy – sprawiając, że nadpłynność w sektorze

bankowym, która przez 25 lat rosła powoli, stopniowo, w sposób naturalny, została teraz przez rząd oraz zarząd NBP i RPP podwojona w ciągu półtora roku. Skoro bowiem sektor bankowy – z premedytacją wykorzystany przez rząd, NBP i RPP do zadłużania Polski w ramach ilościowego luzowania polityki pieniężnej – ma teraz zafundowaną mu w ten sposób, niejako przy okazji, gigantyczną nadpłynność, to po co banki miałyby oferować ciułaczym wysokie odsetki od ich lokat, by skłaniać ich do deponowania u nich pieniędzy, których one w tej chwili nie potrzebują? Ba, jak przytomnie zauważył jeden z ekonomistów, w tej sytuacji oferowanie przez zarządy banków właścicielom lokat bankowych wyższych odsetek za trzymanie przez nich tam oszczędności mogłoby zostać uznane przez akcjonariuszy tychże banków za działanie na szkodę banku.

Jeśli więc rząd nie chce być dalej oskarżany o przykładanie ręki do łupienia polskich drobnych ciułaczy, to powinien – zamiast miotać pod adresem banków groźby – próbować naprawić szkody, które sam wyrządził, czyli zainteresować banki podwyższeniem odsetek od lokat, zmniejszając nadpłynność sektora bankowego. Z pewnością krokiem w dobrą stronę – niestety, mocno spóźnionym i niewystarczającym – są zapowiadane, nieco bardziej konkurencyjnie oprocentowane obligacje skarbowe. Wszelako szkoda, że rząd nie zapytał wcześniej podatników o zgodę na sfinansowanie tej kosztownej z kolei dla nich operacji. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bułki po 5 zł

Bardzo złowrogo brzmią wypowiedzi Piotra Woźniaka, byłego ministra gospodarki oraz byłego prezesa PGNiG. Wydawało się, że gdy idzie o odcięcie od rosyjskiego gazu, sytuacja Polski jest względnie pewna. Okazuje się jednak, że niekoniecznie.

Woźniak w ostatnim czasie podkreśla, że do uruchomienia Baltic Pipe pozostało zaledwie kilka miesięcy (gazociąg z północy powinien ruszyć jesienią), a rura powinna być zapełniona całkowicie. Wiadomo, że nie stałoby się tak od początku, bo pierwsze tygodnie to okres testowy, ale już na początku przyszłego roku Baltic Pipe miałby pracować z pełną wydajnością. Tymczasem z niedawnych informacji z PGNiG wynika, że tak się wcale nie stanie i że zakontraktowana jest zaledwie trochę ponad połowa przepustowości. Całość to ok. 10 mld m sześć. rocznie, czyli mniej więcej tyle, ile pozyskiwaliśmy z Rosji.

Już to jest niepokojące. Jeszcze bardziej niepokojące zaś są słowa Woźniaka o złym wpływie dziwacznych połażanek premiera Morawieckiego pod adresem Norwegów, wygłaszanych podczas spotkania z młodzieżą, na negocjacje kontraktów gazowych z Norwegią. Zdaniem byłego ministra gospodarki ta wypowiedź pogorszyła polską pozycję negocjacyjną. Może być jednak i tak, że Woźniak myli skutek z przyczyną. Bardzo możliwe, że optymistyczne założenia o dostępności i ce-

nie norweskiego gazu legły w gruzach, o czym opinia publiczna oczywiście nie jest informowana, a kuriozalna wypowiedź pana premiera nie była wcale skierowana do Oslo, ale do Polaków.

Ceny gazu zwłaszcza dla przedsiębiorców już wcześniej były mordercze i wzrastały z podwyżki na podwyżkę o kilkaset procent. W Polsce z tego powodu zamknęła się rekordowa liczba piekarni. Rząd robi dobrą minę do złej gry, ale bez złudzeń: gaz z innych kierunków niż Rosja będzie drastycznie drogi.

Ceny gazu, zwłaszcza dla przedsiębiorców, już wcześniej były mordercze i wzrastały z podwyżki na podwyżkę o kilkaset procent

I duża część zależnych od niego biznesów po prostu tego nie wytrzyma. Im zaś mniej będzie piekarni, tym droższe będzie pieczywo. Bułka po 5 zł? Wszystko jest możliwe.

Ponieważ zaś zwalanie wszystkiego na Putina może już nie być skuteczne, trzeba znaleźć innego, dodatkowego winowajcę. I proszę: są chciwi Norwegowie. A już najgorsi są norwescy informatycy. ©©

Nie mów tego słowa



Body positive nie jest pozytywne. Zmiana języka nie rozwiąże problemu, a jedynie sprawi, że go się wykluczy z dyskursu FOT. ADOBE STOCK

Lizzo, amerykańska piosenkarka pop, raperka i aktorka. Znają państwo? Zważywszy na profil czytelnika „Do Rzeczy”, podejrzewam, że nie. Ja również nie znałam aż do momentu, kiedy panią Melissę Viviane Jefferson alias Lizzo zobaczyłam jako gościa w programie Davida Lettermana. Oglądaliśmy ten program czasami z panem Bojańczykiem. Letterman, niegdyś wielka gwiazda amerykańskich telewizji, przez 33 lata prowadził niezwykle popularny talk-show na NBC, potem CBS. Niedawno wypadł z łaski, nie wiadomo, czy ze względu na wiek, siwą brodę (starość jest źle oglądalna) czy niewystarczającą poprawność polityczną. Teraz ma własny program na Netflixie. Jego zaproszenia przyjmują różne ważne osoby, państwo Obama, Kanye West, Kim Kardashian itp.

I oto na fotelu mamy Lizzo. Lat 33, 22 mln fanów na Instagramie. Śpiewa, rapuje.

Pierwsze wrażenie: Lizzo jest otyła. Nie jest to zwykła nadwaga, okrągłość. Nie, to są zwaly sadła. Ale panna Lizzo nie ma kompleksów z tego powodu, uważa się za piękną i ochoczo odśladnia krągłości przed zainteresowanymi



Joanna Bojańczyk

Aby nie urazić ludzi otyłych, wymyśla się słowa zastępcze. Chociaż otyłość jest na świecie coraz większym problemem, to poprawność polityczna próbuje przedstawić ją jako glamour

lub niezainteresowanymi. Prezentuje się w bikini, w krótkich sukienkach odsłaniających spore połacie ciała. Na koniec swoich koncertów posyła fanom motto: „Wróćcie do domu, spójrzcie do lustra i powiedzcie sobie: jestem piękna, kocham siebie, mogę zrobić wszystko”. Jakże amerykańskie wyznanie.

Kto uznałby widok tuszy tej ładnej dziewczyny za niemiły dla oka, niech milczy i zachowa swoje zdanie dla siebie, ewentualnie wyrazi je w gronie niepublicznym. W obowiązującej narracji medialnej Lizzo jest „body positive”. Biada tym, którzy ośmielą się nazwać rzeczy po imieniu. Będzie to hate i dyskryminacja, fat phobia, body shaming... Lizzo jest otyła chorobliwą otyłością, ale nie wolno tego mówić. „Vogue” pokazuje ją na

okładce, „Wysokie Obcasy” twierdzą, że wszystko jest OK. Nie ma problemu.

ŁATWO NIE BYŁO

To wszystko nie dzieje się w próżni. Zmienił się stosunek do sprawy wagi. Lekarze ostrzegają przed skutkami otyłości, ale w obowiązującej narracji należy ją aprobować. Nastąpiło wahnięcie z jednego ekstremum w drugie. Jeszcze niedawno fajna była chudość. I paradoksalnie – sprawę rozpętały właśnie chude, nie grube kobiety.

Ideałem współczesnej urody oraz zdrowia jest, jak wiadomo, szczupła sylwetka. Odchudzanie, zdrowe jedzenie, diety to temat, którym na co dzień zajmują się media. Jednak tym, który cały sens działania opiera na wizerunku

szczupłych ludzi, jest biznes mody. Ten łaknie szczupłych, wręcz chudych. Proceder zmuszania dziewczyn w agencjach modelek, żeby utrzymywały jak najniższą wagę, trwał przez lata 80. i 90., także pierwszą dekadę XXI w. Na pokazach mody defilowały szkielety. Dopiero ofiary w ludziach wywołały zmianę. W listopadzie 2006 r. brazylijska modelka Ana Carolina Reston zmarła na skutek zaburzeń pracy nerek spowodowanych bulimią i anoreksją. Organizm miała wyniszczone długotrwałą głodówką – przez wiele miesięcy jadła tylko jabłka i pomidory. Jej BMI (Body Mass Index) wynosił 13,4. Ważyła 40 kg przy wzroście 172 cm. Carolina była drugą ofiarą anoreksji wśród modelek. Wcześniej na tę samą chorobę zmarła jej koleżanka, 22-letnia Urugwajka. Na zaburzenia odżywiania chorowały miliony nastolatków na całym świecie, które chciały wyglądać jak swoje idolkę.

Trzeba było zareagować. Do akcji wkroczyły rządy i organizacje pozarządowe. Wprowadzono restrykcje, sprawdzano agencje modelek, sygnalizowano nadużycia. Media apelowały o więcej normalności w reklamach, magazynach. Apele poskutkowały. Ugiął się sam przemysł fashion, który powoli zaczął angażować modelki w rozmiarach bardziej przypominających przeciętne kobiety. Łatwo nie było, ale poszło. Dzisiaj modelki tzw. plus size – Ashley Graham, Denise Bidot, Barbie Ferreira – pracują na pokazach mody w Paryżu, Mediolanie, Nowym Jorku. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby je dyskryminować. Stosunek do ciała zmienił się diametralnie.

Ludzie mody nie mieli wyjścia: musieli przyjąć fakt, że pierwszy świat jest coraz grubszy. Teraz nie tylko na reklamach, lecz także w sklepach internetowych ubrania prezentują kobiety w rozmiarach od 36 do 48. To wielka zmiana po czasach, kiedy ideałem urody były bulimiczki odżywiające się wacikami zamoczonymi w wodzie. Dziwne tylko, że zmiana postrzegania nie dotyczy mężczyzn. Chociaż otyłość wśród mężczyzn jest nawet większa niż u kobiet, to w dalszym ciągu ideałem męskiej mody pozostaje chuderlawy efeb z wąskimi ramionami i zapadniętą klatką piersiową. Większy panowie nie mieli odwagi upomnieć się o swoich przedstawicieli.

GRUBY ŚWIAT

Przyszedł jednak czas, że tendencje te zaczęły się odwracać. Modelki były coraz chudsze, ludzie coraz grubszy. Otyłość

Ludzie mody nie mieli wyjścia: musieli przyjąć do wiadomości fakt, że pierwszy świat jest coraz grubszy

z roku na rok stawała się coraz większym globalnym problemem. Jak podaje WHO, na świecie jest teraz ponad 1,9 mld ludzi (39 proc. dorosłej populacji), którzy cierpią na nadwagę, z czego 650 mln na otyłość. To przyczyna większej liczby zgonów niż niedożywienie. W Polsce na nadwagę cierpi 23 proc. dorosłych. Szacuje się, że do 2025 r. na świecie grubasów będzie 177 mln. Główne powody znamy: słodkie napoje, fast foody, mało warzyw, brak ruchu, komputery, komórki.

Także Instagram, największa platforma wizerunkowa, zaczął zapełniać się zdjęciami takich ludzi. Modelki „plus size” mają miliony followersów. Pokazują swoją tuszę śmiało, bez kompleksów. Jestem gruba i jest mi z tym dobrze. Tak jak Lizzo.

Problem jest, zatem trzeba go nazwać. Tu wkracza do akcji zasada poprawności. Jaki ma być język, który ludzi z nadwagą nie będzie obrażał ani dyskryminował? Powstają słowa zastępcze: body positive, plus size.

Brytyjskie Towarzystwo Socjologiczne wzywa do zmian w sposobie określania grubości. Sugeruje, żeby zamiast zwrotu „ludzie otyli” używać „ludzie z otyłością”. Zmiany sugerują, że otyłość nie jest wyborem, a fat shaming, body shaming, czyli ośmieszanie, to poniżający stygmat. Proponowane przez BTC zmiany opierają się na założeniu, że otyłość jest chorobą, którą można wyleczyć, a cierpiący na nią

pacjenci nie są naturalną częścią świata. Takie podejście jeszcze wzmacnia stygmat – mówią oponenti. Udawanie, że zjawisko nie istnieje, to ślepa uliczka. Otyłość nie jest czymś, co powinniśmy glamouryzować, jak każda poprawność polityczna.

Na całym świecie otyli ludzie zmagają się z negatywnym stosunkiem do ich wyglądu. Nie ma złudzeń: być otyłą mogło być pożądane w tureckim haremie, ale nie dziś. Zamazywanie tej oczywistej prawdy jest po prostu hipokryzją. Nikt nie chce być gruby. Badani w amerykańskim programie powiedzieli, że otyłość jest jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogłyby im się przytrafić.

A może otyłość jest po prostu jedną z odmienności ludzkiej natury? Są ludzie niscy, wysocy, rudzi, łysi, jedni mają dużą głowę, inni pupę. Tego nie piętnujemy. Nie żartujemy z inwalidów, garbusów, ludzi, którzy chodzą o kulach, mają aparat na zębach. W trosce, aby ich nie urazić, wymyślono słowa zastępcze. Liliputów nazywa się niskorosłymi, inwalidów niepełnosprawnymi.

Różnica między powyższymi kategoriami jest taka, że z garbem się człowiek urodził, a niepełnosprawność jest również niezawiniona – wynik wypadku czy choroby. Waga 150 kg rzadko bywa przypadłością chorobową, najczęściej jest wynikiem uzależnienia od złego jedzenia.

Nie bez racji jest to plaga naszych czasów – czasów nadmiaru taniego śmieciowego żarcia i słodzonych napojów. Nie bez przyczyny jej matecznik znajduje się w Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie takiej diety.

Spójrzmy na fotografie przedstawiające ludzi na plaży w latach 40., 50., 60. – grubasów tak monstrualnych nie znajdziemy. Ludzie na tych zdjęciach są różni – chudsi, grubszy, ale nie otyli.

Body positive nie jest pozytywne. Zmiana języka nie rozwiąże problemu, a jedynie sprawi, że go się wykluczy z dyskursu – wymazać, zaprzeczyć, udawać, że nie istnieje – wzmocni wrażenie, że z ciałem jest coś bardzo nie tak. To jeszcze bardziej odczłowieczające.

Ktoś powiedział, że ludzie mądrzy muszą milczeć, żeby nie obrazić ludzi głupich. Może wcale nie muszą?

PS Tabela BMI (Body Mass Index) według Światowej Organizacji Zdrowia: 18,5 do 25 norma, 25 do 30 – lekka nadwaga, 30–40 – otyłość, powyżej 40 – poważna otyłość.



Amerykańska celebrytka Lizzo nie ma kompleksów z powodu swojej tuszy, ochocho odsłania krągłości
FOT. NETFLIX

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI WATCH GT 3 PRO

Klasyczne, eleganckie wzornictwo połączone z nowoczesną technologią, wysoka jakość wykonania, wydajna bateria, funkcja pomiaru EKG oraz możliwość nurkowania do głębokości 30 m – to największe zalety najnowszej serii zegarków chińskiej marki Huawei.

Huawei Watch GT 3 Pro jest dostępny w dwóch rozmiarach. Wariant damski z ceramiczną kopertą o wielkości 43 mm oraz męski z tytanową kopertą o wielkości 46 mm. Obie wersje są wyposażone w kolorowy wyświetlacz AMOLED o rozdzielczości 466 x 466. W zależności od wariantu ekran ma wielkość 1,32 cala (43 mm) albo 1,43 cala (46 mm). W obu nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z produktem klasy premium. W obu wersjach producent zastosował odporne na zarysowania szkło szafirowe. Oczywiście zarówno damski, jak i męski zegarek można łatwo personalizować, wybierając jedną z kilkuset dostępnych tarcz. Ciekawą opcją są też tarcze dynamiczne, które zmieniają wygląd w zależności od pory dnia. Tarczą zegarka może również stać się dowolnie wybrane zdjęcie z galerii użytkownika.

W obu wariantach nowego modelu Huawei wprowadził także wreszcie obrotową koronkę, która nie tylko ładnie wygląda, lecz także znacząco ułatwia nawigację. Pojawił się również przycisk funkcyjny, który służy również jako elektroda podczas robienia prywatnego „badania” elektrokardiograficznego. To przydatna funkcja nie tylko dla pracoholików po czterdziestce... A tak serio, to należy pamiętać, że trwające ok. 30 s „badanie

EKG” dokonywane jest smartwatchem, który nie jest urządzeniem medycznym, więc w razie gdyby zegarek wykrył np. migotanie przedsionków, to taką „diagnozę” należy najpierw potwierdzić u lekarza, bo może się okazać, że to fałszywy alarm. Za pomocą testowanego modelu można też zmierzyć tętno, sprawdzić nasycenie krwi tlenem, określić poziom stresu czy jakość snu.

Testowany zegarek może pomóc nie tylko w sprawdzeniu stanu zdrowia, lecz także w zadbanie o dobrą formę. Huawei Watch GT 3 Pro jest wyposażony w ponad 100 trybów treningowych i może się przydać w przypadku najróżniejszych dyscyplin: od biegania na świeżym powietrzu, poprzez pilates i crossfit, do gry w golfa, snowboarding i triathlon. Dodatkową cechą nowego modelu jest wysoka wodoodporność i możliwość nurkowania w tym zegarku zarówno w wodzie słonej, jak i słodkiej do głębokości 30 m.

Przydatne są także wbudowany mikrofon oraz głośnik, dzięki którym, jeśli zadzwoni telefon podczas biegu w lesie, treningu na siłowni lub wiosennego nicnierobienia na hamaku, to rozmowę można poprowadzić wyłącznie poprzez zegarek, bez konieczności sięgania po smartfona. Można oczywiście nie tylko odbierać, lecz także wykonywać połączenia głosowe. 4 GB pamięci na dane pozwala wgrać do zegarka wystarczająco dużo utworów, aby wybrać się na długi trening bez konieczności zabierania ze sobą smartfona.



W obcym mieście przydać się może również prosta nawigacja, wyświetlająca wskazówki dotarcia do celu.

Plusem jest też wydajna bateria, a także możliwość szybkiego, bezprzewodowego ładowania.

Wady? Wprawdzie zegarek można sparować zarówno z telefonami z systemem Android, jak i iOS, ale przez sankcje nałożone przez USA na Huawei testowany model nie obsługuje płatności NFC. Z tego samego powodu liczba aplikacji na ten zegarek jest mniejsza niż w przypadku konkurentów.

Dla wielu minusem będzie też wysoka cena. Za Watch GT 3 Pro 46 mm z czarnym fluorescencyjnym paskiem albo szarym skórzanym paskiem trzeba zapłacić 1699 zł, a z tytanową bransoletą – 2199 zł. Watch GT 3 Pro 43 mm w wersji ze skórzanym paskiem kosztuje 1999 zł, a z ceramiczną bransoletą 2399 zł. ©© **Jacek Przybylski**



WYJĄTKOWO JASNY PROJEKTOR OD LG

CineBeam HU915QE to najnowszy projektor krótkiego rzutu koreańskiego koncernu. Flagowy produkt potrafi wyświetlać obraz w rozdzielczości 4K. Na szczególną uwagę zasługują maksymalny kontrast na poziomie nawet 2 000 000:1 oraz bardzo wysoka jasność, która wynosi nawet 3700 ANSI lumenów. Za wyświetlanie treści odpowiada potrójna wiązka laserowa. Urządzenie potrafi wyświetlić obraz o przekątnej 90 cali po odsunięciu od ściany lub ekranu o ok. 7 cm. Aby wyświetlić obraz o przekątnej 120 cali, wystarczy odsunąć projektor na odległość niecałych 18 cm. Projektor ma wbudowany system webOS, który pozwala łatwo odtwarzać treści z takich serwisów jak Netflix, Amazon Prime, Disney+ czy YouTube. Premiera zapowiadana jest na pierwszą połowę obecnego roku. Cena: ok. 26 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWY FRITZ!BOX ROZPĘDZI SIĘ AŻ DO 6 GBIT/S

FRITZ!Box 4060 to pierwszy trójpasemowy router bezprzewodowy niemieckiej firmy AVM z obsługą wi-fi 6, który m.in. dzięki trzem modułom radiowym i łącznie 12 antenom pozwala uzyskać sumaryczną przepływność danych wi-fi na poziomie 6 Gbit/s, w tym 2400 + 2400 Mbit/s w paśmie 5 GHz oraz 1200 Mbit/s w zakresie 2,4 GHz. W przypadku transmisji VPN i USB limit gigabitowej przepustowości może zostać znacznie przekroczony, co docenią zwłaszcza osoby nadal pracujące w domu, które potrzebują szybkiego połączenia z firmową siecią. Router jest wyposażony w port USB 3.0 oraz port WAN o przepustowości 2,5 Gbit/s oraz dodatkowo w trzy gigabitowe porty LAN, które można wykorzystać do integracji z siecią domową wielu różnych urządzeń, takich jak dyski sieciowe, drukarki, telewizory smart TV lub konsole do gier. Urządzenie już jest w sprzedaży. Sugerowana cena wynosi ok. 1,2 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Złowróźbny pogrzeb hetmana w Brodach

Stanisław Koniecpolski
FOT. MNW

Dzisiejsze Brody to rezydencja jednego z najpotężniejszych magnatów Korony – Stanisława Koniecpolskiego, wodza i prawdziwego wicekróla Ukrainy. Koniecpolski zbudował w Brodach twierdzę bastionową nowoczesnego typu, przebudowując zamek istniejący tu od czasów poprzednich właścicieli. Pracami kierowali: Andrzej dell'Aqua i Wilhelm Beauplan. Pod ich kierunkiem zbudowano wokół zamku cytadelę, samo miasto zaś także otoczono pełnym obwodem bastionowym. Pozostałości fortyfikacji miejskich zobaczyć można dzisiaj przy ul. Wałowej, natomiast cytadeli – wokół zamku przebudowanego w XVIII w. na pałac.

Wspomniany Stanisław Koniecpolski, pogromca szwedzkiego króla Gustawa Adolfa, zmarł właśnie na zamku w Brodach

11 marca 1646 r. Jego pogrzeb 30 kwietnia był jednym z największych wydarzeń w historii miasteczka i dziś wart jest przypomnienia, gdyż śmierć hetmana stała się początkiem tragedii dawnej

Rzeczypospolitej. Kiedy dwa lata później wybuchło powstanie kozaków Bohdana Chmielnickiego, zabrakło tego wybitnego wodza na czele armii koronnej.

Ciało w trumnie obitej aksamitem zostało wyniesione z zamku przez tylne wrota i umieszczone na wozie obitym czarnym materiałem, ciągnięty przez sześć koni okrytych czerwonymi atłasowymi kapami. Kiedy uformował się kondukt do kościoła w miasteczku, miały miejsce pierwsze niepokojące zdarzenia. Spłoszyły się konie

– jeden z nich przewrócił stangreta i poszarpał zdobienia. Wreszcie, po przemowie księdza kanonika łuckiego, pochód ruszył. Dokoła wozu szli przedstawiciele miejskich cechów, odświętnie ubrani i z bronią. Później 200 ubogich – dziadów i bab, dalej 26 popów i trzech protopopów. Dalej postępowało bractwo w białych kapach ze świecami, następnie cztery chorągwie piechoty niemieckiej z muszkietami, których lufy obrócili w dół. Następnie zakonnicy – 16 par franciszkanów, 23 pary bernardynów, 32 dominikanów, potem zwykli księża i biskup łucki niosący krzyż. Po nich szło 20 surmaczy i sześciu doboszy z bębнами. Później prowadzono 12 par koni przybranych po husarsku, sześć w kapach, prowadzonych przez 12 masztalerzów – jeden z wierzchowców przybrany był dwoma żurawimi skrzydłami. Za nimi jechał pan Bartłomiej Brodnicki, na tureckim koniu, czyli arabie, w szmelcowanej, złocistej zbroi, w szyszaku, z kopią w rękę. Z tyłu zaś podążał pan rotmistrz Komorowski – archimimus wyobrażający osobę zmarłego – „bardzo staturą, a osobliwie brodą do zmarłego JMP krakowskiego podobny”.

Dalej postępowała reszta konduktu – dwaj słudzy przebrani za Turków prowadzili kolejnego hetmańskiego konia. Za nimi tłoczyła się reszta gości z pocztami, czeladzią, słudzy i tłum szlachty oraz mieszczan. Kościół, do którego wstawiono ciało, obity był czerwonym adamaszkiem, a katafalk – czarnym materiałem. Msza żałobna była śpiewana, brał w niej udział m.in. Balcerek, czyli Ferri Baldassare, kastrat, nadworny śpiewak króla Władysława IV. Kazanie wygłosił miejscowy pro-

boszcz, jednak tuż po nim zdarzył się kolejny złowróźbny wypadek, który już wtedy obecni poczytywali za zły znak dla Rzeczypospolitej. Otóż gdy do świątyni wjechał pan Brodnicki, aby skruszyć kopię o katafalk, jego koń spłoszył się – drzewce złamało się o belkę, a wierzchowiec skoczył w bok, trając ludzi, wspinając się na ławki, na których siedziały niewiasty; poranił też brata pana Brodnickiego. Spanikowany przeskoczył katafalk, a potem nad otwartym wejściem do krypty, wreszcie zaszarżował na ołtarz, wzbudzając przerażenie księży. Brodnicki opanował go na chwilę i zsiadł, wtedy rumak wyrwał się jeszcze raz – rzucił w stronę białogłów koło katafalku: „W wielkim huku uchwycony, buzdyanami, kijami, laskami w łeb zbity i ledwie już za głosem JM pana chorążego niezabity, z kościoła był wyprowadzony”. Ledwie koń znalazł się na zewnątrz i zdjęto zeń siodło i rząd, wyrwał się znowu, uciekając do stajni na zamku, po drodze stratował piechotę i mieszczan, wzbudzając taką trwogę, że pan Komorowski, który jako drugi miał wpadać na koniu do kościoła i ceremonialnie spadać na posadzkę, już tam nie wjechał.

Od prawie 400 lat nie ma w Brodach drewnianego kościoła, w którym pochowano hetmana. Sam zresztą w testamencie zalecał synowi Aleksandrowi zbudowanie murowanego. Takowy wznosił jednak dopiero w latach 60. wnuk wielkiego wodza – Stanisław. Dziś jest to świątynia greckokatolicka pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego. Grobowce i przeniesione tutaj szczątki rodziny Koniecpolskich nie zachowały się, zniszczone w najeździe Turków w 1696 r. i pożarze miasta. ©©



RYS. OBA



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Słodka jak truskawka

Sezon na truskawki już się rozpoczął. Będą czerwienić się na straganach i pysznić na naszych stołach niemalże przez całe lato aż do jesieni. Truskawki to nie tylko smaczny owoc, lecz także ratunek, gdy nie ma pomysłu na obiad lub deser. Wówczas makaron z białym serem i truskawkami, posypany cukrem, jest szybkim daniem na letni czas. Nie wspominając o najprostszym, a zawsze smacznym deserze, jakim są truskawki ze śmietaną (my najbardziej lubimy z bitą) i z cukrem. Niebo w gębie! Truskawki mają dużo witaminy C, B, mają garbniki i związki mineralne. Są zdrowe i niskokaloryczne.

Polska jest jednym z największych na świecie producentów tych owoców. Na przykład w Czerwińsku nad Wisłą u stóp starego klasztoru rozciągają się pola truskawkowe.

Miejscem na truskawkowej mapie Polski, które w tym roku warto odwiedzić, są Kaszuby. Kaszubskie truskawki są niepozorne, niezbyt duże, ale ze względu na tamtejszy mikroklimat mają niezwykle silny zapach – a przecież to on w truskawce jest najbardziej kuszący – i wyśmienity smak. 2 lipca tego roku na Złotej Górze odbędzie się Truskawkobranie – ogromna impreza plenerowa organizo-

wana już od kilkadziesiąt lat, na którą rokrocznie przyjeżdża kilkadziesiąt tysięcy osób. Można tam poprobować niemal wszystkich odmian truskawek, jakie rosną w Polsce, i spędzić miło czas w jednym z najbardziej malowniczych miejsc na i tak malowniczych Kaszubach. A tymczasem z truskawek kupionych na bazarku – aby były smaczne, muszą być świeże – zróbmy sobie coś pysznego. Może torcik bezowy mascarpone?

Potrzebne będą na bezę:

- 8 jaj rozmiar L • 400 g drobnego cukru • szczypta soli • łyżka mąki ziemniaczanej • 1 łyżka octu

Białka oddzielamy od żółtek, ubijamy ze szczyptą soli na bardzo sztywną pianę, na końcu dodajemy łyżkę octu i mąkę ziemniaczaną. Pieczemy w 120 st. C ok. 3 godz.

Krem:

- 250 g mascarpone • 500 ml śmietanki kremówki 36-procentowej • 4 łyżki cukru • świeże truskawki

Schłodzony mascarpone ubijamy razem ze śmietanką i cukrem. Wykładamy na wystudzoną bezę i układamy świeże truskawki. ©



FOT. MAGDALENA M. KRUPA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Eliksir ze złotą nakrętką

Co zawiera w sobie kosmetyk? Tym anonsem Urząd Ochrony Konsumentów i Konkurencji, zasłużona i dobrze działająca instytucja kontrolująca działania rynku, zachęcił mnie do przeczytania raportu na powyższy temat.

Która z nas, mam teraz na myśli żeńską część czytelników, nie chciałaby wiedzieć, czy krem, który kosztuje 300, 400, a czasem i ponad tysiąc złotych, naprawdę działa lepiej niż krem za 30 zł?

Ale nie, proszę pań, nigdy się tego nie dowiemy. Więc kupimy ten droższy krem, wyciągniemy z eleganckiego pudełka słoiczek ze złotą zakrętką, a do niego instrukcję tak grubą jak do lekarstwa (zapoznaj się z ulotką... itp.). W instrukcji barwna opowieść o tym, jak zawartość słoika zapewni nam szczęście i młodość, naszpikowana techniczno-chemicznymi formułkami. Tak – my, producent X, w naszych laboratoriach odkryliśmy eliksir wiecznej młodości. Tylko my. Niech poświadczą to zdjęcie pięknej dziewczyny reklamującej krem. To nic, że ma ona 25 lat.

Byla bym zapomniała – do ulotki, właściwie bardziej książki reklamowej, dołączony jest spis produktów tej samej firmy, których musimy używać razem z tym kremem. Tonik, mleczko, serum, balsam itp. Kup je. Bez całego zestawu kuracja na nic.

Ale kto odpowie na najważniejsze pytanie: Czy używanie tego kremu rzeczywiście nas odmłodzi? Nie wiem tego i nie wiedzą także eksperci UOKiK, którzy zbadałi zawartość produktów. A producenci nigdy w życiu nie powiedzą, każdy z nich

swoją sekret trzyma w grubym sejfie. Eksperci powiedzą, żeby czytać skład (kto to robi, ciekawa jestem), „Skanując skład produktu, dowiesz się, jakie ma składniki aktyw-

ne czy bazowe, które z nich chronią go przed zepsuciem, a które nadają zapach. Zobaczysz, jakie jest ich pochodzenie – naturalne czy syntetyczne. Ponadto łatwo możesz wykluczyć w swojej pielęgnacji składniki, które cię uczulają, oraz zapisać swoje ulubione składniki, zwracając uwagę na składniki alergizujące”.

No dobrze, ale gdzie najważniejsze: Czy ten, który kosztuje 200 zł jest lepszy niż ten za 40 zł z sieciowej drogerii? Kto nam to powie? Trzeba sięgnąć do obserwacji własnych. A te mówią, że: po pierwsze, są kobiety, które nigdy nie używały żadnego/drogiego kremu, a mimo tego wyglądają młodo. Po drugie, są kobiety, które całe życie stosowały bardzo drogie kosmetyki, a mimo tego wyglądają na więcej lat, niż mają.

I co na to panowie eksperci? ©



FOT. JOBBE STOCK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Davos i Genewa

Zbiegły się dwie imprezy w jednym czasie i nie wiadomo, gdzie zwrócić swoją uwagę. Globalistów – jak to wiadomo – nie ma dopóty, dopóki się nie odezwą. Otóż mamy coroczny ich zjazd światowy w szwajcarskim Davos, gdzie świat biznesu i polityki z ostentacją zbliża się do siebie. Rzecz jasna, pod czujnym okiem moderujących to wszystko globalistów. Których nie ma.

Ale jak odczytać otwarcie przemówienie z Davos globalistycznego guru? Klaus Schwab, który jako gospodarz przywitał gości takimi oto słowami: „Bądźmy szczerzy, że przyszłość nie tylko się dzieje, lecz także jest budowana przez nas, potężną społeczność na tej sali. Mamy środki, aby narzucić stan świata”. No i co zrobić z takim oświadczeniem – przecież tu jest wszystko jasno powiedziane? A media to raportują bez słowa komentarza, jakby to był naturalny proces, że gdzieś w górach moiżni tego świata planują, jak „narzucić” mu swój pożądany (przez elity) stan.

W tym samym czasie w Genewie, pod auspicjami ONZ i WHO, zbierają się z kolei sanitaryści moiżni tego świata na Światowym Zgromadzeniu Zdrowia. Dyskutuje się już tam końcowy etap traktatu światowego, na mocy którego w razie epidemii (a ogłasza ją WHO i może to zrobić w każdej chwili, np. jak ostatnio modna małpia ospa zakazi z setkę ludzi w każdym kraju) rządy zrzekają się władztwa na rzecz tandemu ONZ/WHO. To w sposób,

nomen omen, globalny ma dać radę kolejnym pandemiom, bo rozproszone działania covidowe prowadzone przez pojedyncze państwa nie przyniosły efektów.

Aż strach się zapytać – jakich? Bo jeszcze się człowiek dowie, że wirus wciąż jest, kolejne czekają za rogiem, a puszczenie z torbami całego świata może wykazać, że było to za mało. Choć i bez WHO jako rządu światowego większość krajów powtarzała w COVID drogę wejścia w pandemiczny lejek. Po co więc ta zmiana? Widocznie było za mało jednolitego podejścia, oczywiście w eskalacji obostrzeń.

Niestety, Polska bryluje na obu salonach, choć przynajmniej w kwestii traktatu epidemicznego weto zgłosiły Węgry i Brazylia. My w pandemicznej karuzeli obostrzeń byliśmy i tak bardziej liberalni niż cały Zachód. Z jednym wyjątkiem – ponadnormatywnych zgonów. To sobie zrobiliśmy już bez podpowiedzi od „starszych i mądrzejszych”. Nie leczylimy ludzi, na co system służby zdrowia okazał się zaskakujący... przygotowany. Dziś możemy biernie poobserwować, jak niewybrane elity urządzają nam świat. Pandemia miała tę jedną zaletę – pokazała utratę złudzeń o sprawczości obywateli. I co najgorsze – wielu tego nawet nie zauważyło, a większość się z tym pogodziła. Utracono bowiem wolność, której nie kulturowano. Bilans wyszedł na zero – nieużywana wolność za pozory bezpieczeństwa na poziomie przetrwania biologicznego. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Apel do Solidarności o solidarność

Na jednej z ostatnich rozpraw procesu, w którym prezydent Aleksander Kwaśniewski, z powództwa cywilnego, pozwał Jacka Łęskiego, Rafała Kasprowa i tygodnik „Życie” za artykuł „Wakacje z agentem”, gdy miało dojść do ogłoszenia wyroku, na sali pojawili się dziennikarze niemal wszystkich ówczesnych mediów. Ranga zarzutów – kontakty prezydenta z rosyjskim szpiegiem, siła dowodów przedstawionych przez dziennikarzy, precedensowy charakter sprawy (prezydent kontra prasa), a w tle wolność słowa, niezawisłość wymiaru sprawiedliwości i mediów od polityki sprawiły, że był to jeden z najważniejszych procesów III RP.

Po rozprawie (sąd orzekł, że informacje na temat spotkań Kwaśniewskiego z Ałtanowem były nieprawdziwe (sic!) i nakazał publiczne przeproszenie prezydenta) zapytałem Jacka Łęskiego, co czuł, wchodząc na salę. Przecież na miejscu były wszystkie redakcje, a istotą – zmagania o wolność słowa i niezależność zawodu dziennikarza. Czy czuł, że relacjonujący rozprawę są z nimi solidarni? Jacek odparł: „Coś ty! Jaka solidarność? Raczej mogłem wyczytać: »Po co wam to było? Frajerzy! Macie teraz za swoje!«”.

Dziś, gdy izby i sądy lekarskie nękają lekarzy, którzy w interesie pacjentów zakwestionowali covidowe dogmaty: zamiast zgadywać przez telefon, co pacjentowi

dolega, leczyli ich dostępnymi środkami, nie zamykali szpitali i przychodni, nie zgadzali się na uwięzienie w kwarantannach zdrowych ludzi, ostrzegali przed szczepieniami, wskazując, co piszą producenci na ulotkach dołączonych do fiołki, podobny los spotyka uczciwych medyków.

Przecież branża medyczna powinna być wdzięczna doktorom Bodnarowi, Martyce, Basiukiewiczowi, Orlickiej, Ratkowskiej i innym, którzy w obronie pacjentów, a także w obronie zawodu lekarza, odrzucili absurdalną i szkodliwą politykę ministerstwa. Niestety, wygląda na to, że tak jak wielu dziennikarzy w tamtej postkomunistycznej Polsce, tak dziś branża medyczna nie jest skłonna do solidarności. Wybiera raczej oportunizm i podobnie jest podatna na korupcję.

Mam nadzieję, że znajdzie się wielu porządnym lekarzy, którzy będą skłonni stanąć w obronie prześladowanych. Potrzebny jest impuls, który zainicjowałby ogólnopolską akcję solidarności, zbierania podpisów czy manifestowania wywieszaniem flag lub noszenie w klapach symbolicznych wstążek. Nikt takiej akcji lepiej nie zrobi i nikt nie ma lepszego mandatu niż NSZZ „Solidarność” Ochrony Zdrowia. Zwracam się personalnie do Marii Ochman. Wasze milczenie dziś ustawia was w tej samej drużynie kompromitacji i hańby, gdzie są rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec i wielu innych. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Są jednak rzeczy pewne

Są jednak rzeczy pewne. Każda tragedia w USA, kiedy jakiś wariat strzela do niewinnych ludzi, zawsze wywołuje w Polsce historię pozytyczniaków: „Żadnego dostępu do broni! O jęku! Zobaczcie, do czego to prowadzi! O jęku!”. Ta histeria jest pewna jak to, że po nocy przychodzi dzień, czy to, że Marianna Schreiber ma dość. Pozytyczniaki mogą być religijne albo ateistyczne, ale zawsze krzyczeć będą: „Broń to zło, zło! O! Zło!”.

Oczywiście broń to zło, ale nieposiadanie broni to nie tylko zło, lecz także zbrodnia i frajerstwo. W bardzo niebezpiecznych czasach, w których żyjemy, w czasach, w których być może (oby nie) będziemy musieli bronić naszych domów i bliskich, my prostu nie mamy czym. Jesteśmy jednym z najbardziej rozbrojonych krajów w Europie, a z takimi Stanami nie mamy powodu się porównywać. W USA na stu mieszkańców przypada ok. 120 sztuk broni, w Polsce na stu mieszkańców 2,5 sztuki. Jesteśmy daleko w tyle za Szwajcarią, Niemcami, Rosją... Właściwie za nami jest podobno tylko Watykan. Bez sensu? Bez sensu. Liberalizacja dostępu do broni jest konieczna dla naszego bezpieczeństwa, co nie oznacza, że mamy iść w kierunku wolnoamerykański z Ameryki, w której broń kupuje się w zasadzie jak pomidory. Tak, niektórzy posiadacze broni palnej będą popełniać

przestępstwa, tak jak niektórzy posiadacze noży kuchennych dżgają nimi bliźnich. Jednak nie przychodzi nam do głowy zakaz sprzedaży noży czy np. cegieł. I dobrze. Tu wywód przerywam, bo jego najróżniejsze kombinacje w ripostach i ripostach na riposty stron mogą państwo przeczytać sobie w mediach społecznościowych.

Zmieniamy temat, bo Niemcy i Szwajcarzy zmienili redaktora naczelnego „Newsweeka”. W kwietniu ukazał się na łamach Wirtualnych Mediów artykuł o tym, że Tomasz Lis od 10 lat kieruje z powodzeniem „Newsweekiem”. Sam Lis napisał, że nigdzie dłużej nie pracował i „wrogów informuję, że odstawiania nogi nie będzie”, a wiele innych, utytułowanych dziennikarzy twierdziło nawet, że bez Lisa ten tytuł nie istnieje. Po miesiącu na łamach Wirtualnych Mediów ukazał się artykuł o tym, że wydawnictwo odstawiło nogę i zrezygnowało z Lisa, który nie będzie już szefował „Newsweekowi”. Wtedy ukazało się sporo informacji, że za bardzo upolitycznił tytuł, a nawet że siedł i idzie drogą Kamila Durczoka (ale zawodową, a nie prywatną). Wszystko to razem jest krzepiące, bo i tu – jak widać – reguły się nie zmieniają: gdy ci dobrze idzie, to cię wychwalają i cukrują, a gdy ci się noga powinie, zawsze ktoś życzliwy skoczy ci z troską na klatkę. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Michniki w Madrycie

Małgośka, mówią mi, a ty znów pchasz się do Madrytu jako samozwańczy emisariusz sprawy polskiej. Owszem, zamarzyło mi się, aby wcisnąć się na konferencję prasową ludowców i spytać, czy ten, który podjął się w styczniu misji obalenia polskiego rządu – Esteban Pons – nie zechciałby przypadkiem obalić moskiewskiego rządu. Nie mogłam jednak zadać moich wrednych pytań hiszpańskim kolegom Tuska, bo odmówiono mi akredytacji. Gdzie spojrzeć – czerwona międzynarodówka, która wciąż chroni i wspiera swoich.

Oto siadam w sobotni poranek do śniadania w maderzyckiej kawiarni, jednej z tych zabytkowych i starszych chyba niż nasz Wawel, gdzie wszystko smakuje jeszcze lepiej, niż wygląda, i otwieram mój ulubiony dziennik „ABC”. Diabeł mnie podkusił, żeby kupić gazetę, bo wiedział, że zepsuje mi weekend. Już na drugiej stronie wyłazi facet z Czarskiej, ten, który to wciąż fartem udaje autorytet moralny, i to na tyle sprytnie, że chciał mu na jesieni dać Nagrodę Księżnej Asturii (nie tyle Hiszpanie, ile obrotowi Polacy, którzy umieli się za nią zakręcić).

Tytuł długiego wywiadu z Michnikiem brzmi obiecująco: „Trzeba zdenazyfikować Kreml, a nie Ukrainę”. Im bardziej się jednak zanurzam w lekturę, tym bardziej tostada nie przechodzi mi przez gardło,

a kawę odsuwam, jakby mi ktoś wlał do niej nowiczoku. Michnik nawet w czasie wojny musi swoje toksyny przekazywać Hiszpanom i snuć jadowite opowieści o polskim rządzie, który jego zdaniem „w polityce wewnętrznej skutecznie buduje państwo putinowskie”. Szkoda tylko, że nie wyjaśnia, kto jest naszym polskim Szojgu, kto Ławrowem i dokąd sięga imperium medialne Polska Today. Ale przecież tu, na krańcu Europy, naiwnym Hiszpanom wszystko można wcisnąć, nawet to, że Kreml symbolizuje Trzeci Rzym, a polski rząd – faszystowski reżim.

Czego to Michnik i spółka jeszcze nie wymyślą, aby tylko zożydzić Polskę w zachodnich mediach? Może jeszcze wzorem Putina powiedzieć, że Polską rządzi „gang narkomanów i neonazistów”, i też część Hiszpanów mu uwierzy i nawet przyznają mu kolejną nagrodę! I po co ja się wykosztowuję na te wszystkie wyjazdy, skoro nie mogę od michnikowszczyzny odpocząć nawet nad rzeką Tag?

Całe szczęście, że mogłam zabrać głos na konferencji prasowej VOX i tak sformułować pytania, aby w świetle kamer i wśród dziennikarzy wybrzmiało o Polsce to, co potrzeba. Oczywiście, gdzie mi tam do zasięgów Michnika, ale „Rodacy, róbmy swoje! Niejedną jeszcze paranoję przetrzymać przyjdzie, robiąc swoje”. Oczywiście – paranoję w wykonaniu Michnika. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Panom już dziękujemy

W ramach dekomunizacji, w fatalnym towarzystwie m.in. Hanki Sawickiej, Juliana Marchlewskiego, GL i AL, na listach patronów ulic do wymiany znaleźli się też pisarze. Już w 1989 r. władze Krakowa zdjęły z cokołu popiersie pisarza Adama Polewki w parku na Krowodrzy, od dawna oblewane czerwoną farbą, zmieniły nazwę jego ulicy oraz szkoły w Krakowie i Nowej Hucie. Za gorliwe wysługiwanie się komunistycznej władzy od jej pierwszych dni był posłem do Krajowej Rady Narodowej, pierwszym, samowwłaścicielem komunistycznego „parlamentu” na czele z Bolesławem Bierutem, posłem do Sejmu Polski Ludowej, sekretarzem organizacji partyjnej krakowskich literatów, inicjatorem ich rezolucji potępiającej w 1953 r. oskarżonych o szpiegostwo krakowskich księży, nadzorcą literackiego „obszczęzitia” przy Krupniczej, skąd przeganiał starą i młodą „reakcję” – kulawą Jadwigę Witkiewiczową, wdowę po Witkacym, a za ślub kościelny – pisarza Jerzego Korczaka.

Najbardziej jednak psuł krakusom krew codziennymi, radiowymi felietonami, drukowanymi też w „Gazecie Krakowskiej”, wydanymi w tomie „Kocham i nienawidzę”, za które dostał wyrok śmierci od krakowskiego podziemia i chodził z bronią. Walił w nich agresywnie w Kościół, w „krakowskiego kołtuna”, zniszczonego wkrótce przez proletariacką Nową Hutę. Obrzucał Kraków, według niego „śmietnik historii”, niespotykanym sowiecko-moskiewskim łajnem. Oskarżał go o czarno-żółtą kołtunierię, pisał w swojej legendarnej rubryce „Silva rerum” w londyńskich „Wiadomościach” (24 lipca 1955 r.) redaktor Mieczysław Grydzewski, nazywając Polewkę „nieuleczalnie chorym na kołtuna czerwonego”.

Gdy nie tylko w jego rodzinnym Klimontowie zdekomunizowano ulicę futurysty, Brunona Jasieńskiego, protestowali nawet literaturoznawcy z Uniwersytetu Śląskiego, przypominając, że był ofiarą komunizmu, choć również jego katem. Wydalony z Francji za bulwersującą powieść „Pałę Paryż”, wizję miasta rządzonego przez proletariatus, wybrał wolność w Kraju Rad. „Poeta kacapski”, jak nazywał go Żeromski, wyparł się wtedy „pańskiej Polski”, pisał już tylko po rosyjsku, wstąpił do partii bolszewickiej, awansując szybko do jej elity, zostając, jak pisał w „Moim wieku” Aleksander Wat, groźnym, fanatycznym aparatczykiem, współpracownikiem Jagody, szefa NKWD, członkiem najwyższych władz Tadżykistanu, który brutalnie sowietyzował, wprowadzając przymusową kolektywizację, masowo deportując za Ural rzekomych wrogów. Wziął też udział w nagonce na Majakowskiego, rozstrzelanego wkrótce Babla, był jednym ze współautorów haniebnej książki o Kanale Białomorskim – peanu o obozach przymusowej pracy. Gdy rozprawiono się krwawo z Jagodą, oskarżono Jasieńskiego o szpiegostwo i stracono.

Nie tylko w Płocku stracił ulicę reżimowy rymopis, Stanisław Ryszard Dobrowolski, uczestnik powstania warszawskiego, autor jednej z najpiękniejszych powstańczych piosenek „Warszawskie dzieci”, ale później klakier władzy. Współautor „Wierszy i pieśni poświęconych funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa”, w 1968 r. antysemickiej „Głupiej sprawy”. Największego samobójca strzelił sobie jednak w czerwcu 1976 r., gdy robotników Radomia, Ursusa, Płocka, protestujących przeciw podwyżkom cen żywności, pałowano, przepuszczając przez

twz. ścieżki zdrowia, w wyniku których zostawali często kalekami. Na wiecu poparcia dla władzy, na Stadionie Dziesięciolecia, Dobrowolski, poeta proletariatus, jak siebie nazywał, obrzucał protestujących najgorszymi obelgami, jako pierwszy używając wobec nich sławetnego określenia „warchoły”.

Z przestrzeni publicznej – ulic, nazw szkół – zniknął też poeta Lucjan Szenwald, przedwojenny jeszcze komunista, ochotnik do Armii Czerwonej, politruk Armii Berlinga, absolwent Szkoły NKWD w Kujbyszewie, członek partii bolszewickiej. Autor wyjątkowo obrzydliwych wierszy-agitek, sławiących sowiecką okupację Polski po 17 września 1939 r., Armii Czerwonej, wyzwolicielkę narodów, Syberię („piękny, żyzny kraj narcyzów i cedrów”), choć bydłocymi wagonami wywożono tam wówczas transporty Polaków. Szkalował powstanie warszawskie, „wynik obcych, imperialistycznych knowań”.

Nie wszystkie samorządy realizują ustawę dekomunizacyjną, w rodzinnym Sosnowcu, w Warszawie, Gdańsku nadal więc ma swoje ulice Leon Kruczkowski jako autor „Niemców” i „Pierwszego dnia wolności”. W większości miast zostały jednak zdekomunizowane, podobnie jak szkoły i osiedla jego imienia. W najgorszych, stalinowskich latach był członkiem KC PZPR, Rady Państwa, posłem na Sejm, laureatem Nagrody Stalinowskiej, twardegłowym prezesem ZLP, autorem propagandowych sztuk: „Odwetów” – o żołnierzach wyklętych, politycznych bankrutach, „Juliusz i Ethel” – o skazanych w Ameryce na karę śmierci małżonkach Rosenbergów, rzekomych męczennikach walki o pokój, w istocie sowieckich szpiegach, którzy przekazali tajemnice bomby atomowej. ©©

WREDNA JĘDZA



FOTO: W. CEJROWSKI (LUD) / ARND BRUNY / SÖSKE

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy państwo pobiera opłatę za usługę (np. za wyrobienie paszportu), powinno pobierać tyle samo od każdego. Inny układ jest niesprawiedliwy, a nawet niekonstytucyjny. Tymczasem Morawiecki mnie właśnie stuknął na 5 tys. zł, a mojego kuzyna (który jest ode mnie kolosalnie bogatszy!) obciążył za to samo kwotą 270 zł. Nie chodzi o wyrobienie paszportu, lecz o dostęp do służby zdrowia, ale zasada logiczna i porządek moralny ten sam – jednakowa usługa to jednakowa opłata i wtedy możemy gadać o równości obywateli.

W tym przypadku stawki były drastycznie różne. To tak, jakbym poszedł z kuzynem do knajpy, zamówił po schabowym i zapłacił 19 razy więcej niż on. Do knajpy mogę nie iść, ale wiele usług świadczonych przez państwo jest przymusowych, czyli nawet jeżeli się nie zgłoszisz po schabowego, to płacić musisz.

Gdy mi księgowa napisała, że mam naliczone pięć koła składki zdrowotnej za kwiecień, to mnie zaniepokoiło. Nie było mnie wtedy w Polsce, a nawet, gdy jestem, nie korzystam z tej usługi – ubezpieczyłem się prywatnie i za 3,5 tys. rocznie mam nieograniczony dostęp do leczenia w prywatnej sieci.

Mój bogaty kuzyn mógłby kupić sobie szpital, gdyby chciał – tyle ma forsy. Wszystko, co zarobi, wydaje na kolejne inwestycje, więc wykazuje zero dochodu do opodatkowania. W tej sytuacji Morawiecki pobiera od niego stawkę minimalną 270 zł. Ja wykazałem dochody, zapłaciłem podatki, więc Morawiecki naliczył mi składkę zdrowotną jako procent od dochodu i zapłaciłem 5 tys. Usługa w obu przypadkach była identyczna, ale stawka drastycznie różna.

Jeżeli zarobię milion, to Morawiecki policzy mi składkę od miliona i nie ma górnej granicy tych naliczeń. Jeżeli zostanę miliarderem, to policzy od miliarda. Cały czas dokładnie za taką samą usługę, za którą od innych pobiera 270 zł.

Gdy sprawdza się modele naukowe (np. ekonomiczne), robi się eksperymenty na wartościach ekstremalnych – po to, by sprawdzić, czy dany model po wcieleniu w życie będzie sensowny. W przypadku składki zdrowotnej wyobraźmy sobie, że mieszka u nas Elon Musk, jego dochód roczny przekracza PKB Polski i ten jeden facet musiałby zapłacić składkę zdrowotną większą niż cała reszta narodu razem wzięta. Absurdalna niesprawiedliwość, a coś takiego mamy w Polsce.

Polska – twoja ojczyzna, czyli coś jak mamusia. Jednocześnie masz wrażenie, że traktuje cię jak wroga i nie kocha. Za komuny łatwiej było to znosić i jakoś sobie tłumaczyć. Dziś jesteśmy u siebie i rządzą nami nasi, więc gdy Polska jest wredna wobec własnych synów, nie wiesz, co z tym robić.

Mam gospodarstwo rolne. Połowa ziemi to doskonałe łąki. Chciałem ogrodzić, podzielić na sektory i wypasać daniela. Daniele to dziczyzna, więc łatwiej z nimi w ramach kołchozu UE niż z bykami, owcami, kozami czy stadem gęsi.

Poszedłem po poradę do leśniczego. Powiedział, że daniela to będzie atrakcyjna wyzerka dla wilków. Ja na to, że wilka lub dwa się odstrzeli, a one szybko się uczą, jak kotojoty na prerii, więc wystarczy

potem zawiesić na płocie kilka trupów i stado przestaje wchodzić na teren obwieszony trupami. Leśniczy odpowiedział, że takie rzeczy może wolno robić w Arizonie, ale w Polsce „za wilka dostaniesz więcej lat niż za moją starą”. Hm. Prawdę mówi. Poczytałem te skandaliczne ustawy o ochronie zwierząt, które nie biorą pod uwagę praw człowieka. Wilk niechby sobie był chroniony, ale w lesie, natomiast gdy włazi na teren rolnika, powinien tracić wszelkie prawa do ochrony – pif-paf! i będzie się trzymał lasu.

Podobnie jak bobry, które próbowały się pchać w moje rowy melioracyjne. Za komuny rowy były, potem zarosły. Odnowiłem je, dzięki czemu mam doskonałe łąki, a nie bagno. I czuję się przy tej robocie jak Zamoyski w swojej Ordynacji, gdzie stworzył dobrze działające gospodarstwo.

Leśniczy poradził mi, abym nikomu nie opowiadał o tym, jak przegoniłem bobry z moich rowów, bo „za to też dostaniesz więcej lat niż za moją starą”.

Komu ma służyć ten regres cywilizacyjny, który władza zaprowadza w Polsce? Rząd wcześniej wykończył uprawy tytoniu, przemysł mentolowy, zwierzęta futerkowe, a do tego ustawa wodna PiS, która każe założyć licznik na własnej studni i płacić za własną wodę.

Mam jeszcze na mojej ziemi staw. Jest zarośnięty, czyli bezużyteczny. Przeczytałem przepisy i nawet nie podchodziłem tam z koparką. W czasach Zamoyskiego okopałbym, zaprowadził hodowlę ryb, a do

tego miałbym zapas wody na wypadek suszy. Współcześnie tego typu inicjatywa gospodarstwa jest srogo karana lub mocno utrudniona.

Na mojej wsi ludzie modlą się o wichury, bo po wicherze można usunąć kilka niepotrzebnych drzew. Gdy zawieje, wówczas wszyscy ruszamy z piłami usuwać „wiatrołomy”. Nikt na własnej ziemi nie wycina drzew niepotrzebnie – po prostu stale kombinujemy przeciwko własnemu państwu, które stale kombinuje przeciw nam. To nie jest zdrowe.

Napisał do mnie ogrodnik. Do upraw szklarniowych potrzebuje regularnych dostaw miału węglowego. Do tej pory był to miał polski i ruski. Premier, wprowadzając embargo na rosyjski węgiel, powinien zapewnić dostępność innego węgla. Nic takiego nie zrobił. Ceny miału z polskich kopalń poszybowały z 300 zł do 1,6 tys. zł. Ogrodnicy stoją przed wyborem zakupu miału o 500 proc. droższego lub zaprzestania ogrzewania upraw, co będzie się wiązało z ich likwidacją. Likwidacja gospodarstwa stała się ekonomicznie bardziej opłacalna niż zadłużanie się na zakup miału po pięciokrotnie wyższej cenie.

Przy drastycznym braku węgla na rynku Polska Grupa Górnicza ogłasza przetarg na miał, podając cenę wywoławczą 1,2 tys. zł i ograniczając ilość zakupu, czyli zarządza racjonowanie. Nie wiem, jak mocno embargo szkodzi Roskom, ale w Polsce grozi upadkiem ogrodnictwa szklarniowego, a na tym skorzystają Holendrzy i Belgowie. Morawiecki przed podjęciem decyzji ani się nie przygotował (zgromadzić zapasy i zapewnić dostawy z innych rynków), ani nie wykonał eksperymentów na wartościach ekstremalnych – po to, by sprawdzić, czy jego model z sankcjami będzie sensowny. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~577 zł~~

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TERESA KOWALIK
I PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„WIELKIE DZIEDZICTWO POLAKÓW”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

233,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 344 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 1753148712



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

NBP na straży stabilności makro- ekonomicznej Polski

Dzięki dbałości o solidne fundamenty gospodarki i silną pozycję finansową banku centralnego, Polska weszła do elitarnej ligi gospodarek, które nie tylko relatywnie dobrze przetrwały globalny kryzys finansowy z lat 2007-2012 i pandemię COVID, lecz także kreatywnie wykorzystały oba te wyzwania do zwiększenia swojego potencjału.

nbp.pl



Siedziba
Narodowego
Banku Polskiego
w Warszawie

Jednym z obszarów działalności NBP, w którym ten awans się zmaterializował, stanowi zarządzanie rezerwami dewizowymi, których wartość przekroczyła już 144 mld euro, zwiększając się w ciągu ostatniej dekady niemal dwukrotnie. To niezwykle istotne, gdyż aktywa rezerwowe zapewniają wiarygodność płatniczą polskiego państwa, w tym pośrednio także sektora prywatnego.

144 mld euro



WARTOŚĆ
REZERW DEWIZOWYCH
NBP NA KONIEC 04.2022 R.

Mimo niesprzyjających warunków na świecie NBP uzyskuje bardzo dobre wyniki inwestycyjne. Suma wpłat z zysku NBP do budżetu państwa dokonanych w latach 2016-2022 wynosi 43,3 mld złotych.

43,3 mld zł

SUMA WPŁAT Z ZYSKU NBP
DO BUDŻETU PAŃSTWA
W LATACH
2016-2022



Jednym z filarów strategii inwestycyjnej NBP jest sukcesywne zwiększanie zasobów złota, które jako tzw. *safe haven asset* skutecznie dywersyfikuje ryzyko związane z pozostałymi inwestycjami. W latach 2018–2019 bank centralny zakupił 125 ton złota, zwiększając zasób kruszcu do blisko 230 ton, co stanowi ok. 8% oficjalnych aktywów rezerwowych NBP.

230 ton złota

W ZASOBACH NBP



ok. **8%**

OFICJALNYCH
AKTYWÓW
REZERWOWYCH
NBP

Wysoki poziom rezerw umożliwił NBP udostępnienie Narodowemu Bankowi Ukrainy linii swapowej na parze dolar amerykański/hrywna do kwoty 1 mld USD. Środki te mają ograniczyć ryzyko dalszej destabilizacji sytuacji polityczno-gospodarczej Ukrainy, co miałoby negatywny wpływ na stabilność systemu finansowego w Polsce.

1 mld USD

WARTOŚĆ
LINII SWAPOWEJ
DLA NARODOWEGO
BANKU UKRAINY

